



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Infantka, tom trzeci


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Infantka

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

(ANNA JAGIELLONKA)

KSIEGA TRZECIA. ZAWODY

*Gdzież one złote góry nieprzebrane?
Gdzie Gaskonowie i Wojska ubrane?
W co poszły działa i nasze turnieje?
Wiatrem nadziane puknęły nadzieje.*

J. Kochanowski

Znało całe miasto karła (Karola) Sederyna, który trzymał kamienicę w Rynku, zwaną Starą Mynicą. Kupiec był zamożny, co się zowie, bo oprócz tej posiadłości i kilku pomniejszych placów i dworków, posiadał wieś Zielonki pod Krakowem.

Kupcem się zwał i w istocie kupczył, ale jakim towarem, niełatwo powiedzieć było, raczej czem nie handlował. Sklepu nigdy żadnego nie miał, chociaż w domu u siebie różne rzeczy sprzedawał, ale szopy i składy pełne kupi wszelakiej. Sprowadzał miedź, żelazo, ołów, kruszec różny, wywoził futra, miał pełne wina piwnice; na składzie trzymał sukno i różne tkaniny, których na łokcie nie dawał, chyba przyjaciółom, ale je hurtem sprzedawał.

Gdzie się kolwiek okazała albo potrzeba czegoś lub nadzieja zysku, tam pan Sederyn pierwszy był i drugich prześcigał. Nie znaczyło dla niego nic czy wodą czy łądem ściągać kupią, a najdalsze podróże go nie zastraszały. On sam, gdy tego było potrzeba, dobrze zbrojny i z ludźmi pewnymi puszczał się w podróż, a miał oprócz tego kilku sprawnych pomocników, których na wszystkie strony rozsyłał.

Ludzie mu naówczas przepowiadali, że dojdzie do takiego znaczenia i majątności jak Wierzynek i Bonery — ale los później inaczej zarządził.

Sederyn też nie starał się nigdy o to, aby u dworu znaczenie miał i do urzędów żadnych się nie ciskał. Miał bez tego wiele do czynienia.

Pieniądz u niego wszystko znaczył, o resztę się nie troszczył i z mieniem, jak to drudzy umieją, nie popisywał i nie pysznił.

Gdy zrana w kożuchu, długich butach i czapce baraniej prostej po składach chodził, ludzi doglądał, sprawdzał towar przywieziony, niktby go za możnego kupca nie wziął, tak wyglądał niepocześnie i skromnie.

Miał też tę naturę, że zamiast się chwalić z dostatkiem, piszczał i rad się był czynić ubogim, choć się z tego śmiano.

Ludzie rozpowiadali, że dla oszukania pieniędzy pożyczal, choć ich nie potrzebował, aby myślano, że dostatku wielkiego niema. Tymczasem świadomi rzeczy twierdzili, że żelazne skrzynie w lochu trzymał pełne pieniędzy.

Oddawna już Sederyn z Zachodu, z Włoch i z Francji różny towar sprowadzał i miał tam mnogie stosunki. Sam jeżdżąc w interesach języków się nauczył i po włosku a po francuzku mówił dobrze.

Gdy Henryk się począł starać o polską koronę, Sederyn nie wiadomo napród przez kogo użyty został dla wywiedzenia się o wielu rzeczach w Paryżu, potem do ułatwienia stosunków z Francją, przesyłania listów i pieniędzy. Naostatek się tak złożyło, że Francuzi przybywający do Krakowa, niemal sobie gospodę założyli u niego.

Był ich sługą.

Musiał na tym nieźle wychodzić, bo pilno i serdecznie brał każdą ich sprawę.

Cały teraz dom niemal, Stara Mynica, otworem dla Francuzów stała. Tu się oni zbierali, naradzali, miewali schadzki i zabawy, które na zamku zbytby oczy zwracały.

Na dole niejaki Beraldi otworzył był temi czasy winiarnię pod złotym gronem, do której przeważnie uczęszczali dworzanie Henrykowi i cudzoziemscy. Gospodarz był z południowej Francji gdzieś rodem, otyły, osmalony, czarny, a gorący, jak żywe srebro ruchawy człek, krzykacz i zuchwalec. Ten gotował dla swoich ziomeków potrawy, do których nawykli, poił ich winami, jakie lubili, i dostarczał wszystkiego, czego z nich który zażądał.

Gdy mieszczanin albo szlachcic przypadkiem pod to złote grono zabłądził na lampkę wina, prędko się przekonywał, że to nie było miejsce dla niego; przyjmowano go tu zimno, częstowano jakby się zbyć chciało. Francuzi oprócz izby przystępnej dla wszystkich, mieli tylko dla siebie pozostawione, w których się zamykali.

Stara Mynica była w istocie jedną z najdawniejszych kamienic murowanych i pomimo odnawiania znać to po niej było. Mury miała ogromnie grube, okna wązkie, izby sklepione, niskie, a że nie od razu powstała i lepiono ją a przerabiano, więc przejść, kurytarzy, wschodów, skrytek, ciupek, komórek było w niej bez miary. Obcy człowiek w biały dzień tu sobie rady nie dał w tym labiryncie. Oprócz połaci od Rynku, wielki podwórzec jeden i drugi dokoła był ostawiony budowlami różnych rozmiarów.

Ponad pierwszym wznosiło się drugie piętro, a nad niem w części kamienicy i trzecie. Z dawnej budowy krągła baszta stała w podwórzu, która nad dachy całego rozległego domostwa górowała.

Na piętrze Sederyn zajmował sam dosyć izb dla siebie, służby i na składy, ale i próżnych stało wiele na wszelki wypadek, które teraz Francuzi najczęściej zamieszkiwali, a nawet Francuzki, bo i tych się coś zaraz do Krakowa przywlekło.

Czy kto z Paryża przybywał, czy odjeżdżał tam nazad, bez Sederyna się nie obszedł i o niego zawadzić musiał. O każdym on wiedział, dostarczał koni, wozów, przewodników, listów. U niego składano co na zamku nie mogło się pomieścić, od niego brano czego ztamtąd pożyczać nie chciano.

Poczawszy od Pibraka, od posła francuzkiego pana de Bellièvre, aż do najmniejszego pacholika królewskiego i czeladzi, nie było ktoby go nie znał i kogoby on nie mógł nazwać. Wszyscy szli do niego jak w dym.

Karł Sederyn był człowiek niemłody, posiwiały w trudach, ale rumiany i krzepki. Twarz jego okrągła, puciołowata, oczy małe, nie mówiły nic; wydawał się pospolitym człowiekiem, a mowa nie zdradzała też w nim żadnych szczególnych darów, jąkał się nawet czasami, a jednak był to najpraktyczniejszy z ludzi, bystrego oka, zręczny, odgadujący i cudownie umiejący milczeć.

Wymowa jest niezaprzeczenie darem bardzo wielkim, ale milczenie rozumne, rzadsze jeszcze, prawdziwym skarbem. Człowiek, który milczeć umie a myśleć nie przestaje, więcej zdoła czasem niż najpotężniejszy retor.

Dowodem tego był Sederyn, który przegadać siebie dawał każdemu, ale co zrobił milcząc, to było więcej warte niż najpiękniejsza oracya.

Wprost Starej Mynicy, w której wiadomo było że się Francuzi zbierali, a czasem, choć okiennice zamykano i okna zawieszano, po całych nocach się tam świeciło i gwar słychać było, znajdował się jeden z najsłynniejszych ówczesnych browarów i szynków piwa u Grocika.

Tu już pewno Francuza nigdy nikt ani na lekarstwo nie znalazł, ale za to mieszczan, rzemieślników zamożniejszych, nawet szlachty z okolicy zawsze bywało pełno.

U Grocika kto się chciał dowiedzieć, co się w mieście działo, z kąd wiatr wiał, jakie chodziły wieści, kogo wieszano, wyświecano, a komu kadzidla palono, dostał najprędzej języka.

Przychodzili tu i Niemcy, ale gospoda była polska i oni tu silili się mówić jak mogli językiem polskim. Piwo było doskonałe, marzec najlepszy, a przekąsić też znalazło się czem; usługi zaś sam Grocik pilnował.

Francuzi ze Starej Mynicy mogli wygodnie patrzeć na browar polski, a od Grocika na Sederyna kamienicę także wyglądać mógł kto chciał.

W początkach czasem tu jaki Francuz pod boki się wzięwszy z Polakiem zabłądził, próbowali piwa, braterstwo się przy nim zawiązywało, ale od zabójstwa Wapowskiego i początku postu, jak nożem uciął. Żaden Francuz już w ulicy się nie pokazał z Polakiem i dwór królewski stanął jakby wyłączony, osobno. Patrzeć zaczęto na siebie z ukosa, krzywić się wzajemnie, nawet zaczepiać i z każdym dniem ten rozdział widoczniejszym się stawał.

Na zamku po cichu mówiono, że czasami, gdy się król zamknął ze swoimi faworytami, najwyższych urzędników nawet do niego nie dopuszczano, a obchodzono się z niemi tak zuchwale, że kanclerz koronny Dembiński, gdy mu Francuzina jakiś burknął, pięścią go skarcił i trochę zębów nadwęrzył, aby pamiętał z kim miał do czynienia.

Wielkie braterstwo i serdeczna przyjaźń dwóch narodów, na którą się niby zanosilo, zmieniły się jak liche wino w ocet kwaśny.

Unikali jedni drugich aby swaru nie mnożyć — obchodzono się po ulicach. A nie było, pomimo to, dnia, żeby jakieś starcie na zamku lub na mieście nie potrzebowało

załatania.

Francuzi, których garść była mniejsza, choć króla mieli po sobie, cicho się sprawowali i starali się nie wywoływać walki, ale czasem który nie strzymał. Co się tyczy szlachty polskiej, ta nie nawykła się poskramiać, a zawsze na języku mająca to co w sercu było, wykrzykiwała głośno, drwiła jawnie, niemal wyzywała.

W ulicach poczęli się pokazywać umyślnie poprzebierani po francuzku na śmiech ladający trefnisie, w opiętych spodenkach jak królewski dwór, za którymi gawieź szydząc i rychocząc biegła.

Po murach tu i owdzie malowano na laskowatych nogach poczwarki i podpisywano je nieprzystojnymi wyrazami.

W senacie jeszcze ciągnął się proces Zborowskiego, przeciw któremu jedni instygowali, drudzy go bronili, gdy te symptomata wzajemnych niechęci i rozdrażnienia pokazywać się zaczęły.

Prawda, że choć w ulicach Francuzi nie dawali powodów do waśni, a nie pokazywali się nawet we dnie, za to na zamku to co spotkało kanclerza Dembińskiego, trafiało się innym codziennie.

Król zamykał się jak mógł najszczelniej, odosabniał ze swoimi i po całych nocach z nimi się zabawiał przy drzwiach zapartych. Nawet podkomorzy musiał odchodzić, a wten czas dopiero poczynały się śpiewy, śmiechy, wieczerzanie, bankiet i gra w karty.

Nazajutrz rano wygrane konie, sprzęty, srebro przenosiły się do Sederyna.

Noc tak przesiedziawszy, król na dzień zasypiał. Senatorowie stali czekając na niego próżno, a gdy się pokazał, jak z krzyża zdjęty, blady, niewyspany, zmęczony, ziewający, znudzony, albo ich prędko zbywał, lub spał czasu narady.

Wszystkie sprawy zalegały, a najpilniejsza Zborowskich wlokła się bez końca.

Pani Wapowska czekała dekretu nie ruszając się z Krakowa. Chodziła do królowej, płakały z nią razem. Król u Anny prawie się nie pokazywał już i prośby jej o zakończenie sprawy spadku po królu a opatrzeniu królowej tak samo nie skutkowały, jak płacz i naleganie kasztelanowej.

Królowna Anna, która bronila długo Henryka, nareście sama się przekonała, że na niego wcale rachować nie było można. Obiecywał, zapominał — nic go nie obchodziło.

Naostatek już naleganie stało się tak gwałtowne, że dekretu królewskiego lada dzień się można było spodziewać.

Samuel Zborowski, snadź nie lękając się tego co go spotkać miało, i pewien bezkarności, chodził jawnie i nie chciał się ukrywać.

Czyniono już wnioski z tego.

Wieczorem ku końcowi postu u Sederyna na górze zebrała się gromadka Francuzów bardzo późno. Sederyn zdawał się czekać na tych gości. Na dole już było pośledniejszej czeladzi dosyć, a do niego przychodzili tylko znaczniejsi.

Posyłał razy kilka dowiadywać się tam, lecz Villequier i Jourdain, których się spodziewał, nie przychodzili. Późno w noc nareście otworzyły się drzwi i drzemący przy stole Sederyn pośpieszył na ich powitanie.

Villequier szedł szybko ku niemu.

— A co? — zapytał Sederyn.

— Dekret podpisany — rzekł Francuz.

Spojrzeli na siebie, ciągnął dalej.

— Król nie mógł inaczej, musiał skazać go na wygnanie, ale przez szpary się patrzeć będzie, choćby granicę przekroczył, a po niej jakim czasie ulaskawi.

Sederyn otarł czoło i coś zamruczał.

— Krzyżać będą okrutnie — rzekł wykrzywiając usta.

— Niech krzyżą — rozśmiał się Villequier. — Król musiał jednych i drugich oszczędzić, nikogo nie narażać sobie.

Dajcie znać panu Samuelowi.

— Niech mu kto chce o tem oznajmi — odparł kupiec — ja się nie podejmuję.

Znacie mnie, siedzę tu w Polsce zdawna, za tutejszego się liczę, ale Polakiem nie jestem. Wiem ich naturę, szaleńcy są wszyscy, pan Zborowski nielepszy.

Machnął ręką.

Villequier się zwrócił do stojącego Jourdaina, który wąsika bardzo młodziuchnego pokręcał.

— Idź ty do Zborowskiego. Sederyn da ci przewodnika. Król życzył sobie, aby mu o tem dziś oznajmiono.

Jourdain również ochoty nie objawiał wielkiej do tego poselstwa.

Stali trochę milczący. Gospodarz korzystając z chwili nalewał kubki, które były przygotowane.

— Za późno do Zborowskiego — odezwał się Jourdain w końcu — a mojem zdaniem pilnego niema nic.

Villequier nie nalegał — usiedli.

Sederyn wzdychał.

— Źle, źle, moi panowie — począł mówić głowę z ramienia na ramię przechylając. — Co tam u was na zamku... u nas w mieście! strach! umysły poburzone... w ulicach co wyspiewują, co przylepiają! po rynkach i szynkach co prawią, uszy więdną!!

Jourdain, który kubek wychylił odrazu, uderzył nim o stół.

— A! nieszczęśliwa to była godzina i najfatalniejszy pomysł Henryka tu na to okropne wyprawić wygnanie!! Tu żyć niepodobna.

— Tak — przerwał Villequier — ale któż mógł przewidzieć gdy pierwsze poselstwo do Paryża przybyło, tak świetne, tak lśniące, ludzie tak wymowni, twarze tak łagodne, umysły tak pozornie prostoduszne, że tu w Polsce natrafimy na jeże i na osy.

Tam się zdawali do całowania stworzeni, a tu do nich przystąpić nie można.

Myśleliśmy że nas na rękach nosić będą, a...

— A... daliśmy się wam okłamać — wyrwał się Jourdain. — Wszyscy co do nas przyjeżdżali, choć było do rany przyłożyć, chwalono ich.

Sederyn milczał.

— Dziś już zapóźno narzekać na to co się stało — rzekł po chwili.

— Król zrażony, zniechęcony — dodał Villequier — boję się o jego zdrowie. Miron powiada, że nie wyżyje ani w tym klimacie, w tej atmosferze, ani między temi ludźmi. Władzy niema żadnej. Senatorowie burczą, szlachta się odgraża, nie szanują go.

— Wiesz pan — odezwał się Sederyn zimno — że jest francuskie przysłowie: wino utoczone, trzeba go wypić.

Francuzi uśmiechając się spojrzeli po sobie.

— Wątpię żebyśmy je wysączyli do końca — wolimy resztę wam zostawić — rzekł Villequier. — Dla was, panie Sederyn — dodał — nie będę czynił z tego tajemnicy. My tu nie wytrzymamy.

— Na dobitkę — przerwał Jourdain — senatorowie niektórzy chcą jeszcze uprzjemnić życie królowi dając mu starą babę za żonę.

Ale... ba! tego już za wiele.

Śmiali się oba, Sederyn spojrzął z ukosa.

— A po cóż się zobowiązał? — spytał.

— Co znaczy takie zobowiązanie? — gwałtownie zawołał Villequier.

Jest to wprost, rzecz poczwarna, niemożliwa.

— Jakże się to skończy? — szepnął niespokojny trochę kupiec.

— Na Boga! nie wiem — wyrwał się Villequier — lecz sądzę, że chyba smutnie i tragicznie.

Zawiedziono króla i nas, obiecywano nam wcale inny stan rzeczy. Gratiani, z którym się pan nasz widział po drodze, zapewniał go, iż władzę monarchiczną w pełni uzyska, a znalazło się, że żadnej niema.

— Moznaby ją uzyskać — rzekł oglądając się Sederyn — ale...

Położył palec na ustach.

Villequier chodził po izbie, głowę to podnosząc ku sklepieniowi, to ją spuszczał na piersi.

— A przytem — począł — to życie! te nudy! to towarzystwo! ten język! wprost piekło. Jedyne lepsze godziny, gdy się panowie Polacy porozchodzą, drzwi na rygiel spuścimy i sami zostaniemy z sobą. Naówczas choć myślą i wspomnieniami przenosim się nad brzegi Sekwany, przypominamy lepsze czasy.

Sederyn okazywał niepokój.

— Panowie moi — przerwał — wszystko to prawda być może, ale ostatecznie com powiedział o utoczonem winie, to powtórzę.

Henryk jest królem z łaski bożej, usiadł na tronie, objął rządy, należy mu je ułatwiać, nie zrażać od nich.

Choćby się musiał ze starą królową ożenić, nikt mu młodych mieć nie zabroni. Panowie polscy nauczą się od was grzeczności, a wy...

— Nie wymagajcie od nas, abyśmy się od nich czegokolwiek uczyli — wtrącił Jourdain. — To zwierzęta, nie ludzie!

Sederyn syknął.

— Zmiłujcie się — zawołał — nuż kto podsłucha! Już i tak dom mój podejrzanym jest bardzo.

Francuzi obejrzeni się i zamilkli. Villequier nalał sobie wina, a gospodarz pośpieszył napęłnić kubek Jourdaina.

— A! ten karzeł przeklęty! — zawołał Villequier. — On temu wszystkiemu winien. I bezwstydnym jest do tego stopnia, iż się ciągle nam około nóg płacze, jakby chwalić chciał dziełem swoim. Król go już znieść nie może.

Pijąc westchnęli Francuzi.

— Wpadliśmy w pułapkę okrutną — zaczął z kolei Jourdain. — Co do mnie, mam nadzieję przy pierwszej sposobności uprosić pana, aby mnie wysłał, choćby z listami, do Francji. Położę się tam w łóżko i więcej nie wrócę.

— A! toby było bardzo ładnie! — odparł Villequier. — Tęgo samego co wam zachciewa się mnie i drugim, ale mamyż biednego króla samego tu na pastwę zostawić?

Wtem kroki i głosy słyszeć się dały pode drzwiami. Sederyn pośpieszył ku nim, właśnie gdy się otwierały i dwie ufryzowane głowy ostrożnie się z nich pokazały.

Byli to dwaj młodzieniaszkowie królewscy z dołu, którzy się zapewne lepszego towarzystwa domyślając na piętrze, wbiegli z wesołymi śmiechami, dowodzącymi iż czasu w winiarni nie tracili.

— Patrzcie! Villequier! Jourdain! Któż został przy królu! — zawołał jeden.

— A! jest ich tam dosyć — odparł Jourdain. — Siedzimy na zamku jak w więzieniu, choć nocą wyrwać się potrzeba.

Sederyn przybyłych gości uprzejmie częstował, dobywszy nowe dwa kubki.

Byli to dwaj ulubieńcy króla, woniejący jakimiś zapachami, postrojeni w atlasy jak dziewczęta, z rączkami białymi, zalotne robiący minki i przybierający ruchy dziwne niewieście.

— Cóż król robi? — zapytał jeden z nich.

— Gra w karty — rzekł Villequier — zostawiliśmy go z Pibrakiem, Souvrayem i p. Bellièvre, któremu dziś nadzwyczajne szczęście służy.

— Wszystkim oprócz królowi — przerwał jeden z młodzieniaszków. — Gdybyż się choć to sprawdziło, że kto niema szczęścia w karty, temu za to miłość płaci!

— A! — przerwał Jourdain z miną poważną. — Cóż chcecie, królowa Anna szalenie w nim zakochana. To wiadomo.

Ogromnym śmiechem powitano ten żarcik.

Zaczęli szeptać coś między sobą, a Sederyn cofnął się kilka kroków przez grzeczność.

— Gdyby się nareście sejm ten skończył — głośno odezwał się Villequier — mogliśmy stąd wyjechać gdzieś na stronę trochę, gdziebyśmy tak bardzo na oku nie byli. Tu ze wszystkim się kryć i zamykać potrzeba.

Jeden z młodszych nagle spytał.

— A! gdzie jest Naneta?

Sederyn, do którego po części było zwrócone pytanie, rzekł bardzo cicho.

— Oddawna na zamku.

— Jakże się przekradła, żeby ją nie widziano na mieście? — rzekł drugi młodzieniaszek — bo wiem, że ciekawi podglądają.

— Jak zwykle, ubrana po mężku — dodał gospodarz. — Niktby jej wśród waćpanów nie rozróżnił od nich.

Śmiech stłumiony mu odpowiedział.

Chłopcy wypiszy wino, posiadali na ławach ziewając.

Wtem Villequier z kieszeni płaszczyka, który miał na ramionach, dobył karty. Wszyscy chciwie rzucili się ku niemu i na nie.

Sederynowi nie pozostało już nic, tylko światło przybliżyć i zdala się grze przypatrywać.

Gdy się tak u niego zabawiano, naprzeciw w browarze też gwarno było i pełno — ale w izbie wielkiej pospolita się gawiedź zabawiała, a *honoratiores* mieli osobną, do których Grocik tylko swoich wybranych, chcąc ich uczcić, dopuszczał.

W pierwszej jak giełda ogromnej można się było dowiedzieć co myślała i mówiła ulica i rynek, w drugiej co na Ratuszu i w wyższych mieszczaństwa kołach myślano i zamierzano. Z zamku przychodzili tu także nieliczni polscy króla słudzy i dworzanie, przynosząc co się im pochwycić udało.

Musieli jednak nadrabiać domysłami, bo Francuzi coraz się bardziej odosobniali, kryli i nie dopuszczali do siebie nikogo. Polakami radzi się posługiwali, gdzie mogli w pracy wyręczyć, w poufalsze nie wchodząc stosunki.

Nie dowierzano sobie wzajemnie, a że Francuzi przy królu śmielszymi się czuli i kupą stali, niebardzo ukrywali się z tą nieufnością i niechęcią.

Wyjątek stanowiła piękna Dosia, która jako kobieta, nie uważana za niebezpieczną, a piękną swą pozyskując płochych młodzików, obracała się tu swobodnie. Musiała mieć wysoką protekcję, bo jej słuchali wszyscy.

Talwosz tylko do progu komnat królewskich mógł ją ścigać, dalej nie wolno mu się było cisnąć. Nienawidził też Francuzów coraz więcej.

Kilka razy już przychodziło do poswarków — tylko ostrożny Litwin dopuścić nie chciał do żadnego wybuchu, bo się z gawiedzią tą obcą zadawać nie chciał. Z szlachcicem się poważnie i ścigać było chlebem powszednim, z cudzoziemcem, który plebejuszem mógł być, nikt sobie nie życzył.

W pierwszej izbie u Grocika dla późnej godziny przeredzać się zaczynało. Kilku upartych gromadkami małemi po kątach Marce dopiwało, ciszej między sobą rozmawiając. W bocznej komorze za to gwarniej było, bo się nie obawiano podsłuchania.

Dwóch panów radnych, ławnik jeden i kupców dwu żywo sobie rozpowiadali co ich w ciągu dnia doszło.

Obchodziła i mieszczan sprawa Zborowskich, a wielu interesa króla.

Miasto i kupiectwo potrzebowało spokoju, rozruchy handlowi nie szły na pożytek, bezkrólewie nie było dobre. Wzdychano, aby lepsze czasy nadeszły.

— Jak ono było, to było — mówił Kaczer do Smolika — za nieboszczyka króla, ale życie płynęło jak rzeka wybitym korytem i każdy wiedział, jak po niem żeglować, a teraz człek nie zgadnie gdzie się ma obrócić.

— I wątpię — przerwał Smolik — aby z tym panem, kiedy nam lepiej było... codzień gorzej. Francuzi się osobno trzymają, Polacy osobno.

Ile razy gdzie się zetną z sobą, pewna waśń i guzy. Król młody i o panowaniu nie myśli. Gry tylko coraz nowe i zabawy wynajdują, dziewcząt mu szukają, a co ma i czego nie ma faworytom rozdarowuje. Rzuca pieniędzmi jak plewami.

— Ja — rzekł ławnik — nie uwierzę w to, żeby on nam panować miał, póki się z królowną nie ożeni.

— Na zamku powiadają, że jemu to ani w głowie — odparł Kaczer. — Rozpustnik jest a ta ani młoda, ani ładna.

Na tak rozpoczętą rozmowę wszedł krocząc powoli Talwosz, który tu czasem się przywlekał dla powzięcia języka. Dwóch starszych znali go i grzecznie pozdrawiając zbliżyli się zaraz, bo ich ciekawość piekła, czy nie przynosił nowiny jakiej.

— A cóż, miłościwy panie — spytał Kaczer — będzie kiedy koniec tej sprawie Zborowskiego?

Talwosz się obejrzał dokoła.

— Zdaje się — odparł — że ona lada chwila się rozstrzygnie.

— Na czyją stronę? — wtrącił Smolik — to ciekawa.

Talwosz ramionami poruszył i smutnie się uśmiechnął.

— Łatwo to odgadnąć — rzekł — król zechce aby i wilk był syty i koza cała... a nie dogodzi ni jednym, ni drugim. Głowy Zborowskiemu nie zdejmą.

Panowie mieszczenie popatrzyli na siebie.

— Prawda — odezwał się jeden — że Francuz Zborowskim wiele winien.

Milczał Tälwosz i poprosiwszy o piwo siadł za stół. Obrócili się ku niemu wszyscy.

— Jutro — rzekł niepytany tym razem — dekret pono ogłosić mają.

Słuchano w milczeniu.

— Królowi on przyjaciół nie zjedna — ciągnął dalej Litwin.

— Sam sobie winien — przerwał Smolik — a więcej niż on Francuzy te jego, które w gościnę do nas przybywszy, chcieli nam na własnych naszych śmieciach przewodzić.

Straż miejska musi za niemi chodzić i czuwać, bo gawiedź Francuzów nie cierpi. Szczęściem, że oni języka nie rozumieją, bo co po murach na nich piszą i malują, to strach.

U mnie na kamienicy dziś zrana szorować musiałem kazać króla, tak mi go szpetnie ktoś z rana nabazgrał na ścianie. I żeby się nikt nie omylił, dopisał mu Gaweńskiego i koronę sążnistą z osłemi uszami włożył na głowę.

— Moi ludzie — przerwał Kaczer — ledwie wychodzącego od Sederyna napilego Francuza czeladzi z rąk wyrwali, bo gonila go i chciała wybatożyć. Codzień się to po ulicach trafia.

— Sederynowi nie zazdroścę — dodał inny mieszczanin. — Bądź co bądź, panowanie to Francuzów kiedyś się skończy, a nie będzie długie, widzi mi się, tymczasem on cały się im oddał.

— Dla milego grosza — dodał Kaczer. — On tylko o zarobek dba; zdaje mi się, że rodzonego ojczyzny przehandlował, gdyby na nim mógł zarobić.

Tälwosz słuchał chwilę.

— Dekret więc jutro posłyszemy — rzekł ławnik — ciekawym! Pani Wapowska ma przyjaciół wielu.

Prezentowała zwłoki tak długo, że i obojętni ludzie żal w sobie poczuli, będzie *larum* nie małe, jeżeli kary przykładowe nie wymierzy.

— Śmiercią powinien karany być — odparł Kaczer — ubił niewinnego człowieka, gdzie? na zamku, a prawo gardłem za dobyte miecza przy królu karze.

— Dobylże go i pan Tęczyński — odezwał się drugi.

— Ale w obronie życia, zmuszony — mówił Kaczer. — To całe co innego, a mówią, że on gotów też gardło dać, byle Zborowskiemu nie przebaczone.

— My z Tęczyńskimi — wtrącił Smolik — zdawna nie jesteśmy w zgodzie. Dali się oni nam we znaki, ale Jan winien nie jest.

— Zborowscy wszyscy wicherzyciele i zbóje! to wiadoma — odezwał się ławnik — jakby jednemu łeb ucięto...

— Ha! drudzyby się za niego mścili — wtrącił Smolik.

— Nie — dokończył Ławnik — musieliby siedzieć cicho. Samuel, jeżeli życie uniesie, będzie czekał pogodnej chwili i zawichrzy nam znowu.

Chwilę jeszcze trwała ta rozmowa u Grocika i zgromadzeni się rozchodząc poczęli, gdy, pomimo późnej pory, szybkim krokiem, zadyszany, wsunął się, jakby pośpieszając, przestraszony drab jak żerdź długi i chudy, czarno odziany, ni klecha, ni pacholek, mizerny i chudy. Obejrzał się po przytomnych, szukając kogoś oczyma, spostrzegł Kaczera, zbliżył się do niego i coś mu, tkając papier w rękę, poufnie rozpowiadać zaczął.

Na twarzy mieszczanina pomieszanie widać było, obejrzał się bojaźliwie.

Przybyły, jakiś pisarz sądowy, usunął się zaraz na bok.

Kaczer poszedł do kaganka i pochylony nad nim z trudnością z papieru coś odczytywać zaczął.

Na twarzy jego widać było podziwienie i przestach.

Wszyscy z ciekawością spoglądali, co mu pisarz mógł przynieść, gdy Kaczer, raz jeszcze po przytomnych się obejrzawszy, rzekł stłumionym głosem.

— Otóż jak po mieście króla i Francuzów opiewają!! a to dopiero początek. Gdy się jeden taki głos odezwie, to jak w błocie żaby, zaraz za nim tysiące kwakać zaczną.

Skupili się wszyscy około trzymającego papier w drżących rękach mieszczanina.

— Niech Franek przeczyta — odezwał się ławnik — on przyniósł, to go też dobrze musiał wysylabizować.

Tuśmy wszyscy swoi, czytajcie.

Talwosz wstał i zbliżając się dodał.

— Czytajcie, co to jest.

— Paskwillusz straszny! odparł Kaczer.

Franek, ów pijaczyna chudy, któremu pismo w ręce wetknięto, przysunął się do kaganka i na głos, ale nie zbyt go podnosząc, począł.

Rada skuteczna

Nim Krawcowi dasz sukno, a skórę szewcowi,
Patrzaj czy zna rzemieślnik to o czym ci mówi,
Bo kurdyban i sukno zaprzepaści marnie,
Kiedy je lada partacz pokraje niezdarne.
I dla Polaków taka potrzebna nauka,
Co się dali okłamać przez zdrajcę Mamluka ¹,
Gaweńskiemu książęciu ² wkładając koronę...
A ten nie wie na którą obrócić się stronę.
Łątka na cienkich pałkach, ni z pierza, ni z mięsa,
Tańcuje i gra w karty, rozumu ni kęsa...
Bodajżeście przepadli tacy gospodarze,
Henryku z Mamlukiem i Psubratem ³ w parze
Francuzka sprawiedliwość! Winien pan z Zborowa,
A Wapowskiego za to pokutuje głowa.

Wiersz, choć go Franek wyjął niezręcznie, uczynił na wszystkich wielkie wrażenie. Stali milczący, okazując tylko ruchami, iż rzecz była smutna i znacząca.

— Zniszczyłyby to — szepnął ławnik.

— Mnie dajcie — rzekł rękę wyciągając Talwosz — ja nikomu nie okażę, a jutro pewnie po mieście tego będzie dosyć.

Zwrócili się do Franka, pytając z kąd dostał.

Pisarz zaręczał, że na wielu kamienicach, na wartach nalepione to czytał, i sam w ulicy św. Anny spisał to około kościoła.

— A no — dodał — są i inne.

Pokiwano głowami — mieszczanie się poczęli do czapek brać, Talwosz też, piwa dopiwszy i papier za suknię wetknąwszy, gotował się z powrotem na zamek.

Wszystkim twarze sposepniały.

— Źle się dzieje — skonkludował Kaczer — kiedy na mieście strzelają, to się wprędce skończy, ale jak papiery pójdą między ludzi, zbierze się na długą burzę.

Nazajutrz w istocie po długim wahaniu wyrok być miał ogłoszony.

Oznajmiono o tem zawczasu; senatorów i posłów liczba nie mała od rana się ściągać zaczęła.

Miała przyjaciół dosyć wdowa Wapowska i jej też dano znać o tem.

Postanowiła natychmiast nazajutrz znajdować się sama z synaczkiem przy ogłoszeniu dekretu.

Do dnia więc, aby ją to nie minęło, była już w kościele św. Stanisława, gdzie mszy świętej wysłuchawszy, że jeszcze sala była zamknięta, do królowej szła, aby u niej czekać, aż jej znać dadzą, iż się wszyscy zebrali.

Żalobnie ubrana, w grubym kirze, dziecko też odziewszy czarno i w suknię z kapturkiem, chociaż już pierwszą boleść swą przemogła i wyplakała, czyniła wrażenie męczennicy, która rozpacz w sobie tłumi, a nad siły cierpi.

Gdy szła, ludzie jej z poszanowaniem z drogi ustępowali, taki majestat boleści miała na pięknej, bladej twarzy.

Na zamku ruch od rana panował ogromny, cisnęli się kto gdzie mógł, a kogo nie puszczano, ten w podwórzu stał czekając, aby się prędzej dowiedzieć o wyroku.

¹Mamluk — Montluc. [przypis autorski]

²Gaweńskie książęcie — Kze Andegaweński. [przypis autorski]

³Psubrat — Pi brak. [przypis autorski]

Dopiero późno na dzień oznajmiono Wapowskiej, że mogła być do sali wpuszczoną. Szła tedy sama, z dzieckiem tylko, a gdy się ukazała, choć tłok był wielki na sali, wszyscy się jej zaraz rozstąpili i miejsce uczynili.

Zabierali głos senatorowie, dla formy tylko, bo dekret już przygotowany był, o czym wiedziano.

Cisza zapanowała straszna, gdy z rozkazu króla czytać poczęto wyrok.

W krótkich słowach był on ujęty.

Król mocą swą, zdania widząc podzielone, gdy jedni się na starszych, drudzy na nowszych prawach opierali, zabójstwo osądziwszy przypadkowem, Samuela Zborowskiego skazywał na wygnanie z państwa i ziem jemu podległych, bez utraty czci i sławy.

Ciszą długą przyjęto wyrok, na niektórych tylko twarzach znać było oburzenie, które nawet i na innych, mniej zrazu wyrazistych, malować się zaczęło.

Wapowska stała jak skamieniała, słuchając. Podniosła głowę, oczy wszystkich zwróciły się na nią.

Chwyliła synaczka za rękę i zwolna od tronu się oddalając, z twarzą i wzrokiem ku niemu wzniesionym, odezwała się głośno.

— Jeżeli taka twoja na mężobójców sprawiedliwość, niech ten twój pierwszy wyrok będzie ostatnim.

A po chwili łkając dodała.

— Bodaj Bóg tobie też nie przeznaczył paść mężobójcy ofiarą.

Proroczych tych słów nikt, oprócz bliższych nie słyszał. Wzięto pod rękę rozplakaną i wprowadzono z sali, a król, jakby się wstydził wyroku swojego, widząc czem go przyjęto, natychmiast sałę opuścił.

Tu dopiero oburzenie większości objawiło się z gwałtownością całą.

Wyrzekano głośno, a prymas objawił zdziwienie swe, że sprawę kryminalną, prostą cywilną uczyniono.

Było i innych naigrawań i ucinków dosyć, których Francuzi już nie słyszeli, bo razem z Henrykiem natychmiast się wynieśli.

Wapowska we łzach szła na górę do królowej, która już o dekreście zawiadomiona, płakała też, choć wcale okrutną dla Zborowskich być nie chciała. Wedle ówczesnych jednak pojęć ząb za ząb, krew za krew były ścisłym tylko wymiarem sprawiedliwości.

Z sali wprost przyjaciele Samuela biegli na miasto, gdzie Samuel na schwał pijąc i łając, czekał co mu zwiastować będą.

Nie spodziewał się on wcale, aby go na gardle sądzono, wszelako konie mu bracia trzymali pogotowiu, aby natychmiast zbiedz mógł, gdyby niebezpieczeństwo zagrażało.

Bracia Samuelowi mieli na zamku umówiony znak, który im Francuzi na chorągwi wielkiej królewskiej, wywieszanej na wieży dać mieli — białą lub czerwoną chustą.

Wiedzieli więc zawczasu, iż dekret życie salwował. Przybiegli z tem do niego.

— Biała chusta powiewa!

Samuel się nie radował, nie rzekł nic, czekał na posła. Spodziewał się wyjść całe bezkarnie.

Wtem wpadł komornik jego, niosąc papier, który mu na sali wetknięto, a stał na nim dekret jako brzmiał.

Z brwiami ściągniętymi odczytał go Zborowski i na stół cisnął z przekleństwem.

Bracia stali zmieszani, lecz okazując radość, bo się im banicya wiekuistą nie wydawała.

Wybuchnął zaraz Samuel.

— Taka jest królów wdzięczność! Jam mu królestwo dał, a on mnie ojczyzny pozbawia... Głupim był i słuszne ukaranie!

Uderzył w stół pięścią aż wszystko na nim zadrżało; głowa mu opadła na piersi i zadamował się.

Zbliżyli się do niego pocieszając powinowaci, których odpychał, słuchać nie chcąc.

— Poznają mnie — zawołał — żem wygnany może niebezpieczniejszy dla nich niż tutaj. Schronić się znajdę gdzie, przyjmą mnie otwartymi rękami.

I zwróciwszy się ku zamkowi, grożąc pięścią, zawarczał.

— Pilnuj się dobrze laskonogi, abys ze stolca twego nie zleciał.

Pić potem zaczął znowu i śpiewał, a namarszczona brew świadczyła, że się rozmyślał co czynić.

Przytomni występowali z radami.

Według nich łatwo było znaleźć poczystne przyjęcie u książąt niemieckich, w Saksonii, u tych, którzy protestantyzm wyznawali.

Samuel głową potrząsał.

— Zdaleko to dla mnie — przerwał — ja im pod bokięm siadę, aby mnie każdego czasu czuli i drżeli.

Nagle, jakby mu myśl przyszła szczęśliwa, wstał i krzyknął.

— Na Niż! Na Niż! do Kozaków! Hetmanic im będę!

I przy tej myśli swej pozostawszy, natychmiast zwoływać począł swoich, kto mu chciał towarzyszyć.

Po mieście wionęło tym duchem, jaki z izby senatorskiej buchnął. Jeden był głos, że król pobłążył mordercy.

Krzyczeli przeciwko Henrykowi przyjaciele Zborowskich, bo chcieli go mieć bezkarnym, a całą winę widzieć złożoną na Kroatę i Tęczyńskiego; więcej jeszcze wyrzucali mu Wapowskiego i Tęczyńskiego zwolennicy, dowodząc, że Zborowski pierwszy dobył miecza i przelał krew.

Francuzi rychło spostrzegli, gdy Pi brak wkrótce potem wyszedł po języki, że nikogo wyrok nie zaspokoił. Gwałtowne mu czyniono wymówki, wróżąc, że po całej Polsce pójdzie odgłos, który królowi serca odejmie.

Henrykowi, jak się zdaje, niewiele już o to chodziło, czy go tu miłować będą lub nie. Duchem i myślą był gdzieindziej.

Prawie codzień przybiegali gońce od królowej matki, a gdy listy przyniesiono z Francji, żadna siła Henryka utrzymać nie mogła, choćby senatorami otoczony był, choćby najważniejsze toczyły się sprawy, rzucał wszystko, zamykał się i czytał a odpisywał.

Francja go stokroć więcej obchodziła niż Polska, dla której obojętności i niechęci nie ukrywał.

Z królowną, dla której zawsze jeszcze pewne okazywał uszanowanie, obejście się było dziwne i nierówne. Czasami sam sobie ją przypominał i, jakby ukołysać pragnął, szedł do niej.

Nie bawił tu nigdy długo, rzadko usiadł, ale uśmiechał się, wdzięczył, obiecywał bez miary, czego tylko zapragnęła — i na kilka dni ją nakarmił nadzieją.

Gdy potem Anna wysyłała Solikowskiego lub uproszonego Czarnkowskiego, aby się upominał o to, co było przyrzeczonem, nic nie mogli wyprosić, odprawiano ich z niczem, odkładano.

Anna, na przemiany ludzona i zawodzona, w końcu chciała już zrzec się wszelkich nadziei.

Ale kobiety ją otaczające nie dopuszczały. Pani Łaska i wszystkie ile ich było upierały się przy tem, że Henryk żenić się powinien był i musiał.

A że łatwo jest to wmówić czego serce pragnie, biedna królowna, gdy już rozczarowana przygotowywała się do zawodu i rezygnacyi, wracała znowu do próżnych i zawodnych nadziei.

Tak dzień tu jeden do drugiego nie był podobnym. Przychodziły jedne z przesadzonymi widokami szczęśliwej przyszłości, a zaraz po nich inne, czarne, smutne i łzami oblewane.

Łaska i panie a panny upierały się szyć francuzkie lilie na sukniach, które królowna sprawiała, krajczyna mówiła o weselu ciągle...

Czarnkowski tryumfował, choć ostrożnym był, bo jeszcze nie widział dosyć jasno przyszłości.

Coraz mocniej jednak przekonywał się, że panowanie Francuza może być nietrwałem, a w takim razie jego kandydat Ernest tym razem, jak się spodziewał, wszystkich za sobą pociągnąć był powinien.

Sam na sam z królowną, powtarzał jej.

— Jam się po nim nigdy dobrze nic nie spodziewał. Płochy i zepsuty jest, a o nas nie dba.

Jeżeli się nie mylę, królowa matka, której on najulubieńszym jest, tron dla niego francuzki gotuje.

Karol IX. dzieci niema i pono ich mieć nie będzie, a Francuzi się z tem zdradzają, iż ciągle chory jest i nie pożyje długo.

Królewna słuchała co jej pan referendarz przynosił, ale strzegła się z czemkolwiek przed Czarnkowskim zdradzić.

Nikt naówczas przewidywać nie mógł rychłej śmierci króla Francyi.

Anna, jak tylko mogła, trzymała się ostatniej nadziei jakiegoś szczęścia, które się jej nie wydawało niepodobnem.

Sama ona nie mogła, bo niewieścia skromność jej nie dozwalała, upominać się o spełnienie przyrzeczeń Henryka, ani pobudzić senatorów, ażeby oni je przypominali, ale krajczyna, inne panie i ks. biskup chełmski, od czasu do czasu próbowali przyjaźniejszych królowi panów skłonić do przemawiania za nią.

Niektórzy z nich przyrzekali to uczynić, próbowali może, lecz przypomnienie to tak zimno przyjmowali senatorowie, tak je lekceważyli, że niepodobna było sprawy na stół wyprowadzić.

Najgorliwsi nawet odkładali ją — było tyle pilniejszych do załatwienia.

Nadzwyczaj zęcznie postępował sobie Henryk, unikając rozwiązania, przeciągając a razem okazując się uprzejmym bardzo dla królowej.

Tylko uporczywe jej dopominanie się o uregulowanie spadku jej i siostr po bracie szło także w odwłokę.

Anna pozbawiona dochodów, zapomniana, gdy się u Stanów domagała wyznaczenia utrzymania stanowi odpowiedniego, najczęściej wywoływała tem przykrości i upokorzenia.

Potrzeba było łzami oblewać opiekę senatorów, którzy zsyłali komisarzy dla rozpatrzenia się w wydatkach, a ci nawet kuchni królowej nie przepuszczali, chleby, mięso, przyprawy obliczając i wyrzucając marnotrawstwo.

Tak, obok troski o przyszłość, biedna pani musiała każdy kawałek chleba powszedniego oblewać łzami.

Wpadała Żalińska z narzekaniem, przychodził ochmistrz Koniecki skarżąc się, że mu skąpe wyznaczenie obcinano. Solikowski wysłany z biskupem chełmskim szli ze skargami i dnia spokojnego nie było.

Nadchodziła powoli wiosna, a położenie ani się wyjaśniało, ni polepszyło.

Król albo się nie pokazywał, lub grzecznie przesunąwszy zamykał i zapominał co przyrzekł.

Życie jego w początkach umiające się pokrywać pozorami pewnej przyzwoitości, pod jednym dachem z królową, wkrótce dla większej części dworu jej nie miało tajemnic.

Wiedziano o nocnych biesiadach, o tańcach przy drzwiach zamkniętych, o szalonej grze w karty, która króla ogołacała ze wszystkiego.

Niepodobna było ukryć tego, że Francuzi przywłaszczali sobie konie, srebra, opony, futra królewskie i natychmiast je do Francyi wysyłali.

Szczodrobliwość ta Henryka przechodziła miarę wszelką, gorszyła zaś szczególniej tych, co z niej nie korzystali.

Talwosz należał teraz do tych, którzy najgwałtowniej przeciwko królowi i Francuzom się oświadczała. Nie mógł on im przebaczyć swej Dosi, która z najpocziwszego dziewczęcia stała jakby oszalałą jakąś istotą... Dopilnować jej nie było podobna, a dla Litwina jawnem się stało, że albo król lub ktoś z jego przybocznych serce jej zajął i głowę zawrócił.

Miłość nawet dla królowej wiele na tem ucierpiała, a przyjaźń dla Talwosza w nieważność się zmieniła.

Ile razy się spotkali, spór był nieuchronny; sam widok Litwina, jak wyrzut sumienia, twarz jej okrywał rumieńcem i do gniewu pobudzał.

Talwosz znośił cierpliwie, ale przez litość z oka jej nie spuszczał.

— Źle się skończy — mówił w duchu — naówczas próżno szukać będzie przyjaciela i obrońcy. Kolej przyjdzie na mnie, gdy wszyscy odstąpią.

Francuzi pierwsi zdradzą.

Gdy z Francyi przywieziono ową piękną Nanetę, która u Sederyna się ukrywała, a wieczorami po mężku przebrana na zamek się wkradała, Dosią przez czas jakiś zdawała się tem oburzoną i zniechęconą. Chodziła z oczami zapłakanemi, ale gdy się przekonała, że

jej tamta w drodze nie stanęła, wszystko znów powróciło do dawnego porządku. We dnie i wieczorami nikła często Dosia, a gdy ją dopytywano co robiła, odpierała dumnie, że miała dosyć spraw królowej na głowie i że za temi nieustannie biegać musiała.

Talwosz uśmiechał się i głową potrząsał, a te jego uśmiechy gniew dziewczęcia podwajały.

Sejm tymczasem obradował nadaremnie, a Francuzi się z tem nie taili, że końca jego z upragnieniem wyglądali. Dwór potem miał na czas jakiś do Niepołomic się udać i tam dopiero swobodnie się wywczasowywać.

Czyniono nawet powoli przygotowania do tej podróży i do pomieszczenia króla w zamczku pod pozorem łowów.

Sederyn już po kilkakroć wysyłany był w tym celu. Sejm tymczasem ciągnął się dalej, nie bez różnych epizodów, które i Infantkę dotykały, przypominając boleśnie co przecierpiała.

Sławna owa Basia Giżanka, której pobyt na zamku warszawskim, pod jednym dachem z Anną, tyle leż królowie wycisnął, dobrze wyposażona dla córeczki, którą nazywano królewskim dzieckiem, zaraz po śmierci Augusta wyszła była za Woronieckiego, który posłem na sejm został wybrany.

Wiedziała o tem szlachta i tak samo jak Kościeleccy z rodziny brata wykluczili za ożenienie z Telniczanką, Woronieckiego z izby poselskiej wyrugowano sromotnie za Giżankę.

Głośna to była sprawa.

Przebaczyła Anna Mniszchom i zapomniano ich nadszkakiwanie królowi, ale Giżance nie przebaczone ani mężowi jej.

Tak samo Anna Zajączkowska po śmierci króla wyszła prędko za Krzysztofa Dunina i z mężem do Krakowa przybywszy chciała u królowej przebaczenia prosić, ale Anna się oparła wszelkiemu zbliżeniu.

— Przebaczam jej — kazała powiedzieć przez Żalińską, która pośredniczyła — ale niech mi się nie pokazuje na oczy. Rana jeszcze się nie zablizniła.

Właśnie gdy Zajączkowska przyjechała do Krakowa, przytrafiło się coś co ją mogło przypomnieć, jeżeli nie królowie, to podejrzliwemu Talwoszowi.

Nie wiadomo z kąd zjawił się nagle jakiś szlachcic Zagłoba, który do stryjostwa Dosi się przyznawał, po owym drewnianym krzyżyku ją jakoby synowicą swą mianował i chciał królowej prosić, aby mu ją oddała, gdyż dzieci własnych nie miał.

W początkach się ta wieść głucho rozeszła i nie wierzono jej. Talwosz się wielce zaniepokoił. Nie mógł strzymać, ażeby panny Doroty samej o to, zszedłszy się z nią zniecka (co teraz się rzadko trafiało, bo ona go unikała), nie zagadnął.

— Ludzie plotą — rzekł zastępując jej drogę — że stryj panny Doroty o nią się upomina. Z kądże on się wziął przez tyle lat o niej zapomniawszy?

Panna stała mocno zarumieniona.

— Cóż w tem dziwnego? — spytała — albo ja stryja mieć nie mogę?

— Ale tak długo się nie zgłaszał! — zapytał Talwosz.

— Albo człowieka sumienie ruszyć nie może? — chmurno odparła Dosia. — Dopóki miał własne dzieci, nie dbał o synowicę, teraz gdy mu je Pan Bóg odebrał...

Litwin głową potrząsał.

— I panna Dorota opuścić zechce królowę — rzekł z trochę ironii — a oprócz tego, mnie się zdaje, że i Krakowaby żal było, gdy dosyć zaczyna być wesołym. Francuzi sobie bez panny Doroty rady nie dadzą.

— Wpan mnie męczysz tem prześladowaniem Francuzami! — zakrzyknęło dziewczę. — Raz na zawsze, powiadam wam, nie opiekujcie się mną.

— Więc i pytać nie wolno? — przerwał Talwosz. — Ja w tego stryja wierzyć nie chciałem, a panna Dorota nie stworzona do tego, aby gdzieś na kresach w lichym dworze z dziewczętami kądział przędła.

Zmarszczyła się Zagłobianka.

— Wolę tam kądział prząć niż tu być na potwarze i posądzenia wystawioną — zawołała.

Tak się rozeszli, ale Talwosz się nie uspokoił. Ponieważ codzień chodził wieczorami do królowej, której donosił o tem co słyszał i rozkazy od niej odbierał, pierwszego dnia

zaraz zapytał o Dorotę.

Królowna Anna zasępiła się.

— Prawda to jest, że się jakiś stryj o nią upomina, a co gorzej, że ona sama się temu nie opiera, aby z nim jechać, ale mnie ona tak potrzebna.

Przeszła się po komnacie królowna i dodała cicho.

— Od czasu jak mnie tak niepoczciwie oszukano z tą Hanną Zajączkowską, nikomu już nie wierzę.

Nie wiem czemu ona mi na myśl przychodzi, ale Dosią była bardzo stateczną.

— Panna Dorota — odważył się szepnąć Talwosz — od przybycia Francuzów bardzo się nam jakoś zmieniła.

Anna odwróciła się do niego.

— Nie sądzę — rzekła żywo — ja jej zmuszoną jestem używać często, aby wiedzieć co się tam dzieje. Jeżeli kto winien, to ja co ją narażam, ale dla tej francuszczyzny niema się kim posłużyć, a ona sobie z nią doskonale rady daje. Śmiała jest. Ufam że jej to ani głowy zawrócić, ani popsuć nie może.

— Dałby Bóg — westchnął Litwin. — Tembardziej w tej chwili szkodaby było ją stryjowi dawać na kresy, gdy tu miłości waszej potrzebna.

Królowna przeszła się zamyślona parę razy po komnacie i odpawiła Talwosza.

— Mój Talwoszu, a dowiedz ty mi się o tego Zagłobę, zkąd on się tu wziął! Co za jeden? Może go kto zna!

Nie chciałabym Dosi dać nie wiedzieć komu, na przepadłe imię, na koniec świata.

Tego tylko było potrzeba Talwoszewi, który zaraz nazajutrz puścił się na zwiady.

Wiemy, że miał w tem niepospolitą biegłość i tropić, co się kryło, umiał i lubił. Tu jednak rozbił się, jak o mur, o owego Zagłobę. Żywa dusza nie знаła tego człowieka, a ów zdala śledzony nadto dobrze zdawał się obeznany z Krakowem i tutejszemi stosunkami, jak na człowieka, co dopiero z kresów przybywał.

Nie dając mu się poznać, przypiął się do niego Talwosz, zagadując go o Podole, o Ukrainę, o kresy, o napady tatarskie, bo to wszystko musiał szlachcic najlepiej znać, gdy z tamtych stron przybywał.

Tymczasem Zagłoba, jakby mu gębę zamalował, o kresach nic mówić nie umiał; z rozmowy zaś dłuższej wydał się dworakowi Podlasiakiem raczej niż Podolakiem.

Włócząc się za nim i podpatrując go doszedł Talwosz, że po nocy Zagłoba do Sederyna zaglądał.

Wszystko to dawało do myślenia, ale na prostych podejrzeniach oprzeć się nie mógł Litwin; postanowił dalej śledzić, nuż go nie przyłapie na czem, a tu, jakby ostrzeżony, stary szlachcic zupełnie mu z oczu zniknął.

Odniósł Litwin królownie niewiele — nie tając tego, iż bez pewnej poręki Dosi mi się oddawać nie godziło.

— Ona sama rozum ma — odparła królowna — a ja jej znowu dla mojej dogodności szczęścia i losu zawiązywać nie myślę. Stryj jej dwie wsie obiecuje pono posagu, może ją dobrze wydać za mąż.

— Ano to święte słowa były W. Król. Mości — odezwał się Talwosz — gdyście Zajączkowską przypomnieli. Dziś takie czasy, iż nikomu wierzyć nie można.

— Ale Dorota łatwowierną nie jest — zamknęła królowna.

Zląkł się niepomału Litwin, gdy potem Żalińska i Koniecki powiedzieli mu z goryczą wielką oboje, że Zagłobianka na nic nie bacząc, gotową była ze stryjem jechać a królownę, dobrodziejkę swą, opuścić.

Spotykał ją poruszoną, z zapłakanemi oczyma, jakąś nieswoją i milczącą.

Królowna, gdy się spytał co będzie z panną Dorotą, powiedziała mu.

— Widzisz sam jak ja jestem ubogą, krupy mi panowie senatorowie mierzają, abym ich zanadto nie zjadła. Zagłobianki wyposażyć nie będę miała czem; jeżeli się jej trafia rodzina co ją przyjmuje i chce wyposażyć, jak świat zawiązywać?

— Jabym tylko ośmielił się powiedzieć, żeby odłożyć koniec aż się szlachcic wywiedzie co ma i kim jest — rzekł Talwosz. — Pannie Dorocie o męża trudno nie będzie.

Anna się uśmiechnęła, bo oddawna wiedziała, iż Talwosz kochał się w niej i starał o nią.

Dosia musiała domyślać się lub wiedzieć, że jej Litwin u królowej mięszał szyki i za pierwszym spotkaniem napadła na niego gwałtownie. Zburczała go bezlitośnie.

— Panno Doroto — rzekł obrażony Talwosz — proszę mi wierzyć, że ja o sobie nie myślę, gdy waćpannę ratuję. Wiem, że mnie nie chcesz, a serca nie mając, do rękibym się nie dobijał. Mnie waćpanny żal.

Przez krótką chwilę zdawało się jakby ta mowa na niej jakieś czyniła wrażenie — stała niema spuściwszy oczy, potem szybko, dumnie podniosła je i odburknęła.

— Bóg zapłać — alem ja nie dziecko.

— Wolno pannie Dorocie czynić co się jej podoba — począł Talwosz — ale czegoż się śpieszyć. Panna czekała kilkanaście lat na stryja, niech stryj choć rok na nią poczeka. Będzie czas się dowiedzieć kto on taki.

Na kresach różnych ludzi pełno, to wiadomo, choćby Zagłobą i stryjem był, może być nie takim jakby go pannie życzyć trzeba.

Królowna potrzebuje dziś i pociechy i posługi.

Dosia popatrzyła na Litwina.

— Masz mnie za niewdzięczną — zawołała żywiej. — Przecież widziałeś, zem siebie dla niej nie oszczędzała, ale w końcu przychodzi na każdego chwila taka, iż musi o sobie pomyśleć.

Łzy się jej kręciły w oczach.

Litwin miękkiego serca, szczególnie gdy ze łzami miał do czynienia — nie śmiał już się jej sprzeciwiać.

— Niech mi panna Dorota dozwoli choćby, abym ja tego szlachcica wziął na spytki i o nim się starał dowiedzieć.

Zagłobianka rzuciła się jak oparzona.

— Jeżeliś mi wpan kiedy życzył dobrze, a słowo moje u niego coś waży — poczęła — zaklinam i proszę, ani badaj, ani śledź, ani pytaj. Wiem dlaczego tego żądam. Daj mi słowo.

Poczęła naglić mocno, zdumiał się Talwosz, i języka w gębie zapomniał.

— Ale cóż to pannie Dorocie szkodzić może? — spytał.

— Nie chcę tego i po wszystkim — odezwała się — śmiertelnie się pogniewam.

Przeszkodził im ktoś, bo rozmowa się w kurytarzu toczyła, musiała odejść Dosia, Talwosz odszedł też, ale więcej podrażniony niż zrażony.

Zamiast puścić Zagłobę, i zapomnieć o nim, nietylko sam, ale swoich pomocników też wyprawili, aby go śledzili.

Szlachcic na takiego kresowego człowieka, który długie lata przebył wśród ludzi innego obyczaju i języka, nie miał w sobie nic, coby go od sandomirskiej lub podlaskiej drobnej szlachty różniło, a jak na dziedzica dwóch wsi w żyznej ziemi, z obszarami wielkimi, chudo wyglądał.

Niewiedzieć jak nawet mógł synowicę zabrać, gdy woza żadnego nie miał, dwoje czeladzi, konie liche i chude.

Wszystko to były zagadki, które Talwosza trapiły i spokoju mu nie dawały. Biegając tak skłopotany chwycił gdzieś złego powietrza i zachorował. W początkach zdawała się ta niemoc małym czernem i leczył ją ciepłym winem z korzeniami, ale gorączka przypadła i dziesięć dni bezprzytomny leżał, aż Anna mu doktora swego posłać musiała.

Gdy do siebie potem przychodzić zaczął, pierwszą rzeczą o którą spytał było.

— Co się z Zagłobianką dzieje?

— A co ma się dziać — odparł chłopak, który mu posługiwał — królowna jak mogła ją wyposażyła, a stryj ją zabrał i wywiózł kędyś na kresy.

Talwosz ręce załamał. Przeklinał teraz chorobę swoją dwakroć więcej, bo był przekonany, iż zdrow nie dopuściłby takiego pośpiechu.

Jak się tylko zwlec mógł biedny i stawić na dworze, poszedł do królowej; lecz nim ją zobaczył zabiegła mu drogę Żalińska desperująca, iż Zagłobianki dla syna nie mogła pozyskać.

Baba zła była, podejrzliwa, swarliwa. Nachyliła się do ucha Litwinowi.

— Wspomnisz moje słowo — wołała zapalczywie — to druga Zajączkowska. Stryj kłamany, wszystko to komedia niecna. Nadużyto dobrej wiary naszej pani. To francuzka sprawa.

Talwosz się oburzył zrazu.

— Ale jakimże sposobem? to nie może być!!

— Albo ją dla króla zwerbowali, albo dla tego Duka co przy nim jest (Nevers), albo dla Pibraka. Dla kogo, nie wiem, ale przysięgnę, że się zbałamucić dała.

Litwin stał tak pogrążony i przybity tą wiadomością, która mu się zdała poczwarna, iż mówić nie mógł.

— Pani Żalińska wie — rzekł w końcu — jak ona była dumna i nieprzystępna. Nigdy najmniejszej nie dopuściła się płochości.

— Królowie nie takich cudów dokazywali — odparła śmiejąc się złośliwie Żalińska. — Wpan myślisz, że Zajączkowska inna była? Kubek w kubek... ani do niej było przystąpić, a przecie ją dla króla dostali.

— Ale Dosia! z tym rozumem! — rzekł Talwosz.

— Głupi to rozum był — zakończyła Żalińska.

— Zkądże pani masz to podejrzenie? — zapytał Talwosz.

— Mam ja swoje drogi! mam ludzi — odparła Żalińska. — Dowiemy się później, gdzie to Podole, do którego Dosię zawieźli. Lękam się bardzo, aby ono dalej Niepołomic nie było.

Król się do Niepołomic właśnie wybierał. Talwosz nikomu nie mówiąc nic, jak tylko cokolwiek do sił powrócił, siadł na konia i sam jeden ruszył, gdzie mu wskazano.

Trzy dni go na zamku nie było, a gdy wrócił i pokazał się znowu, czy z choroby, czy ze zmęczenia, czy z wielkiej boleści tak był zmieniony, zestarzały, iż litość brała patrzeć na niego.

Kazała go do siebie przywołać królowa; ale w rozmowie z nią o Dosi wzmianki żadnej nie było. On nie wspomniał o niej, Anna też czy umyślnie, czy zajęta innymi sprawami, nie mówiła wcale o utraconej słudze.

Wychodzącego od królowej zaczepiła Żalińska.

— Gdzieś waćpan bywał?

— Jeździłem na wieś, sądząc że mi powietrze inne pomoże — rzekł. Nie przyznał się nawet, że był w Niepołomicach.

Nigdy on od lepszego rozpatrzenia się we Francuzach nie był ich przyjacielem, ale od tej chwili stał się im wrogiem najzaciętszym.

Gdzie tylko na nich psy wieszano i odgrażano się, Talwosz tam pewnie był i nigdy nie przyszedł z próżnymi rękami. Wiedział najlepiej o srogiej rozpuszcie na zamku, o nocnych króla zabawach, o jego służkach, Włochach i Francuzach, o kochankach, które z Paryża tu przysyłano.

Wiedział więcej niż wszyscy, bo twierdził, że król francuzki nie pożyje długo, bo mu w sosie do szczupaka truciznę zadano taką, która go powoli ze świata zgladzić musi.

Nie minął tydzień, aż Talwosz na zamku z Jourdainem się przymówiwszy na rękę go wyzwiał, ale tu się bić nie było można. Wyjechali więc za miasto. Litwin jeszcze po chorobie niewiele siły miał, ale wściekły był i Francuzowi, nim się złożyli, łeb szpetnie rozplatał.

Nastawił się drugi mszcząc za niego, i temu się dostało — dali mu pokój.

Nie mógł potem pokazywać się na zamku, bo inni się odgrażali, ale w mieście spotykał się z niemi i już go tam nie zaczepiano.

Niema pono straszniejszej dla serca męczarni, jak gdy ono między nadzieją szczęścia a zwątpieniem rzucane, jak łódka burzą w głębiny ciskana i unoszona falami do góry, naprzemiany ludzi się i rozpacza.

Tak żyła teraz biedna królowa Anna, która w początkach dała się słodkiemi słowy, obejściem się nader uprzejmem, nadskakującym ująć za serce; a z każdym dniem musiała ostygąć i przychodzić do przekonania, że z nią, jak z innemi, odegrano komedję tylko.

Krajczyna Łaska i inne panie dotąd były zaślepione, nie przypuszczały nawet, aby król mógł złać słowo dane krajowi; trwały więc w tej myśli i wpajały ją w królownę, że żenić się musiał. Czyniono nawet przygotowania do tego.

Anna słuchała nie śmiejąc przeczyć, zaledwie czasem rzucając zimniejsze, obojętne słowo, ale Łaska i towarzyski jej natychmiast głośno, gorąco protestowały.

Król wprawdzie nie był częstym gościem u tej mniemanej narzeczonej swej, co się tłómaczyło zajęciem sejmowem, troskami rządu, lecz ilekroć się zjawiał, mógł w istocie utrzymać w błędzie, tak się silił na okazywanie niezmierniej czułości dla królowej.

Uśmiechał się, dowcipkował, jak zalotne dziewczę starał podobać, wrywały mu się dwuznaczne słowa, wychodził potem rad z siebie, i nikt, oprócz jego minjonów nie wiedział, iż sam szydził z tych zalotów, że potem smutną twarz i postawę Anny przedrzeźniał, mowę jej i westchnienia naśladował, co dworaków pobudzało do śmiechu.

Po takich odwiedzinach królowa jakiś czas żyła niemi, rozweselała się, tłómaczyła sama sobie obawy jako płonne, to co o Henryku mówiono jako złośliwe potwarze.

Z jednej strony Łaska i kobiety jej przemawiały za narzeczonym, z drugiej Czarnkowski i biskup Chełmski nie oszczędzali go.

Rodzaj życia jaki król prowadził, choć się starano je pokryć, choć nawet najlepiej u Henryka położony podkomorzy Jaśko z Tęczyna nie był ani przypuszczany, ani wtajemniczony w nocne zabawy, nie mógł pozostać tajemnicą.

Gawiedz zamkowa umiała podpatrywać, odgadywać, rozumieć.

Wiedziano, że Naneta od Sederyna po mężku przebrana przychodziła na zamek i bawiła tu do dnia białego. Oprócz niej były inne.

Ani młodość, ani krewkość nie mogły wytłómaczyć jawnego zgorszenia, jakie król dawał. Duchowieństwo wiele przebaczać nawykłe w ostatnich latach panowania Augusta, w tem życiu coś jeszcze poczwarniejszego widziało.

Krzyczano na Sodomę i Gomorkę!

Gdy któremu z Francuzów, szczególnie Pibrakowi, delikatne dawano przestrogi, oburzał się przeciw potwarzom, nie dawał mówić, oskarżał Polaków o dzikość i barbarzyństwo.

Król i tak dosyć był umęczony, osamotniony, żeby mu nawet rozerwać się z młodzieżą swą nie dopuszczano.

Napróżno biskupi, szczególnie Pibrakowi, rozpowiadali, jak w kraju panowało straszne przeciw królowi oburzenie, jakie chodziły paskwile.

W istocie nigdy pewnie w Polsce takiego nie bywało rozpasania słowa i odgrózek.

Szlachta na zjazdach wołała otwarcie, iż elekcyja nic nie była warta, że to był król ślepych Mazurów, którego oni sobie okrzyknęli.

Mówiono, że go precz pozbyć się potrzeba. Sprawa Zborowskich była pozorem; w istocie pod tym ruchem kryły się intrygi przyjaciół cesarza i partyzantów Ernesta.

Posługiwano się wszystkim. Infantka, którą senatorowie sami chcieli wprzód obezwładnić i usunąć na stronę, teraz w oczach nieprzyjaciół króla rosła ze swemi prawami. Wyrzucano mu, że się z nią nie żenił, i zadawano to jako złamanie paktów.

Dzięki temu Anna stawiała coraz wyżej, w miarę jak Henryk spadał.

Francuzi na mieście prawie się pokazywać nie mogli: drwiono z nich, urągano się, zaczepiano, ścigano.

Na wrotach i ścianach spotykali się z wizerunkami poczwarzami króla i napisami obelżywymi.

Król o tem wiedział czy nie? ale wcale go to nie zdawało się obchodzić. Obowiązki swe pełnił przymuszony, niechętnie, wrywał się jak tylko mógł z rady, zamykał w swoich pokojach i dostukać się już do niego nie było można.

Z tych izb zamkniętych szczelnie i strzeżonych przez Gaskończyków dochodziły śmiechy, muzyka, okrzyki, brzęk naczyń... a Polacy tylko z za drzwi przysłuchiwać się mogli tej wesołej myśli.

Jedną tylko miał dla nich dobrą stronę król — rozsypywał co miał z rozrzutnością niesłychaną.

Znaną była owa Jagiellońska szczodrobliwość tradycyjna Władysława, Aleksandra, Olbrachta, ale Francuz dawał tak, jakby do niczego najmniejszej ceny nie przywiązywał.

W ogóle tego co się tu z nim i koło niego działo, nie brał na seryo.

Przytem największy w świecie nieład panował na tym dworze, jakby na popasie w gospodzie.

Przyjmowano posłów tak, iż zdumieni wychodzili tym monarchą, który się im jakimś paziem wydawał, tak nie po królewsku występował.

Urzednicy dworscy musieli zastepowac króla, gdy poslów traktowac nalezalo, bo na stol królewski czesto i naczynia i potraw braklo.

Tęczyński podkomorzym uczyniony głowę tracił.

Co bylo przygotowanem na dzien jutrzejszy, zjadano w nocy, rano nikt w porę nie wydal rozkazów — i na objad jeść nie bylo co.

Książe Nevers, Pibrak, rzadzil kto chcial, dysponowal pierwszy lepszy, rozkazy się krzyzowaly — a senatorowie przed obcemi wstydzić musieli.

Po posluchaniu u króla, moskiewski poseł na obiedzie u jednego z panów bez ogródki powiedzial, iż szkoda bylo narodu dla takiego króla, który wcale do potężnego monarchy podobnym nie byl.

Kólczyki u uszów królewskich, obcisłe spodenki, białe rączki, trefione włosy razily i śmieszily.

Starsi panowie boleli pocieszając się tem, iż z czasem wszystko się zmienić musi, król z językiem i obyczajem się oswoi, Francuzi powoli do domu powrócą, otoczą go Polacy i przerobią na lepszego.

Francuzów w samej rzeczy ubywalo.

Bito ich, pędzano i tak im bylo w końcu niewygodnie, iż się jeden po drugim wypraszał. Niektórzy po prostu uciekali.

Z tych co bliżej Henryka stali, Jan z Tęczyna, mianowany podkomorzym, przypuszczony do większej zażyłości, dał się ująć i bronil króla gorąco.

Widzial i on wady jego, ale je przypisywal młodości, chwail dobre serce i łagodność. Henryk umiejący się przypodobac gdy chcial, pozyskal go sobie.

Wielu też z senatorów bylo za tem, aby króla do małżeństwa nie zmuszac, punkt ten paktów pokrył milczeniem i zapomniec o warunku, który mógł odstręczyć młodego pana. Zborowscy, Tęczyński, Opaliński, Górkowie, Kostka i wielu innych byli za tem.

Biskupi kujawski i plocki popierali to zdanie. Nie rozprawiano o tem głośno, ale samo milczenie i nienaglenie o małżeństwo mówilo wiele.

Właśnie dlatego iż żenić się wcale nie myslal, a on i dwór królowę „starą czarownicą” między sobą nazywali, Henryk ile razy się z nią spotykal, staral się ją uspic grzecznością, oklamac uprzejmością nadzwyczajną.

Jedyny to byl talent młodego pana, iż nikt z ręczniej serdeczności zmyslac nie umial nad niego, gdy w duszy nie kochal nikogo.

Naówczas już z pewnością przychodzilo na myśl to, co później staral się naprózno wykonać: chcial powrócić do Francyi, gdzie na niego po bracie korona czekala, a Polskę, na wzór Ludwika Węgierskiego, zdac wielkorzadzcom. Zresztą lekko sobie wazyl tę koronę.

Gdy sejm nareście się skonczyl, a wiosna zblizala, myslano tylko o wycieczkach, zabawach, turniejach, o rozrywkach dla wielce znudzonego pana, a młodzież polska, zachęcona przez Jana z Tęczyna, gotowala się do turniejów, do tańców, do uczt, w których uciekających Francuzów zastapic miala.

Wybierając się już do Niepolomic, Henryk, który oddawna nie byl u Anny, oznajmil się jej na pożegnanie. Byla tak słabą, że znowu z radością przyjela ten dowód pamięci o sobie. Ubrala się staranniej i czekala na zapowiedzianego.

Henryk nadzwyczaj wyelegantowany, wonięjący, przybyl z jednym tylko swoim grand prévôt, Villequierem, i sekretarzem Beaulieu. Od progu przywdzial maseczkę nadzwyczaj wesolą, zobaczywszy stojącą i oczekującą na siebie Annę, która stala smutna i blada.

— Nie prawdaż — rzekl biorąc ją za rękę, którą przytrzymal chwile — iż mi za złe nie macie tak długiego zapomnienia? Lecz, wyraz to niewłaściwy. Pamiętałem, smucilem się, wybieralem i nie dopuszczono mnie do was. Panowie senatorowie polscy są prawdziwymi tyranami i nie ja nad nimi, ale oni panują nademną!

Trzymano mnie czesto głodnego do nocy.

Henryk śmial się.

— Ale nareście ten sejm się zakończy i wszyscy, oni i ja odetchniemy swobodniej. Jadę do tego zameczku w lasach, który i W. Król. Mości znajomym być musi, bo mi mówią, że tam ojciec jej zwykl byl polowac.

— I ja bylam tam wiele razy — odparla ożywiając się powoli Anna — Nie spodziewaj się jednak W. Król. Mość ani wiele przyjemności, ani wygód w Niepolomicach. Miejsce jest odosobnione i dzikie.

— Tem swobodniej tam odetchnę — rzekł król — aby potem do Krakowa powrócić odświeżony i wypoczęty. A Wasza Król. Mość co postanowiliście?

— Ja? — spytała nieco zdumiona Anna. — Ja? jak W. Król. Mości wiadomem być musi, wcale dotąd mej woli nie mam. Panowie senatorowie panują daleko despotycznie nademną.

Dotąd nic się od nich doczekać nie mogłam, ani uregulowania sprawy spadku mojego i sióstr po bracie, ani opatrzenia mnie na przyszłość.

Wiele dóbr macierzystych mi pozabierano...

Anna już parę razy wprzód napomykała o tem królowi — podniosła ku niemu oczy. Henryk się zarumienił, zapomniał zupełnie o tem, co jej przyrzekał.

— A! proszę wierzyć — przerwał żywo, rękę kładnąc na piersiach — nie moja wina! Zawsze pp. senatorów. Co do mnie, gotówem wszystko po myśli i wedle życzenia waszego rozstrzygnąć, podpisać.

— Uczynicież to, W. Król. Mość — odparła Anna — bo niepewność jest przykra, a oprócz tego siostrom odpowiedzialną się czuję za zwłokę. Ja tu jedna bronię sprawy królowej Szwedzkiej i księżnej Brunświckiej.

Król słuchał już jednym uchem tylko, co najprędzej pragnąc się wymknąć, ale Anna dodała jeszcze.

— Proszę bardzo W. Kr. Mość o rozstrzygnięcie. Moje nalegania niewiele znaczą, słuchać mnie nie chcą, W. Kr. Mość masz prawo.

Król się kłaniał i przymruzał oczy, a usteczka krzywił zalotnie.

— Ale możesz W. Kr. Mość być pewną, że co do mnie — rzekł — ja z oczyma zamkniętymi podpiszę wszystko, co może jej spokojność zapewnić.

Chętnie uczyniłbym ofiarę nawet.

— Ja żadnej anibyśmy przyjęła, ni potrzebuję wymagać — odezwała się Anna — żądam tylko sprawiedliwości. Dotąd nie obmyślano dla mnie nic, a nawet do własności swojej przyjść nie mogę.

— A! — przerwał nagle Henryk — ta nieszczęśliwa sprawa tego biednego kasztelana ze Zborowskiemi! Ile nam ona czasu zabrała, jak zawichrzyła wszystkim! Dzięki Bogu skończona raz, chociaż miałem to nieszczęście, że chcąc wszystkich zaspokoić, nie podobałem się nikomu. Zborowscy sądzą mnie nazbyt okrutnym, pani Wapowska zbyt pobbłażającym.

Nie widać było z tonu i dźwięku mowy, aby to wszystko wielce króla obchodziło. Lekko się wyrażał, a uśmiech sarkastyczny, dwuznaczny, do którego był nawykłym, nie przestawał błędzić mu po ustach. Czasem, roztargniony spoglądając na panny fraucymeru królowej, stojące za nią, jedno oko przymrużał.

Królowna podziękowawszy za obietnice, dodała, iż polega na nich i będzie czekać spełnienia.

— Chociaż jadę do Niepołomic — dodał król — nie dadzą mi i tam spokoju i będę pamiętał, aby nic nie zalegało, a sprawa W. Kr. Mości będzie dla mnie najpilniejszą.

Wprędce potem król, jakby się tem chciał przypodobać Annie, począł chwalić polską wiosnę.

— Obiecują mi polowanie piękne, lasy być mają wspaniałe.

— I dawniej zwierza były pełne — przerwała Anna — a że tam nikt polować nie miał prawa, dziś też obfitować muszą we wszystko.

Zapytała jeszcze królowna o wiadomości z Francyi i zdrowie królowej matki, na co posmutniawszy odpowiedział Henryk, że od trzech dni listów nie miał, co go wielce niepokoiło.

— O zdrowie matki mniej jestem niespokojny — dodał — więcej się troszczę o najukochańszego brata, który już cierpi oddawna, a swego doktora Ambr. Paré słuchać nie chce, poluje nadto i zrywa piersi ucząc się grać na trąbce myśliwskiej.

Królowna szepnęła, iż słyszała, jakoby wiersze też pisywał, na co się Henryk uśmiechnął.

— Tak mówią — rzekł szydersko — ale ma przytem tyle rozsądku, że się z tem nie chwali. Królowie mają zbyt wiele do czynienia, aby poezją się zajmowali. A potem, od czegoż Ronsard?

Królowi zdawało się, że nad zwykle jej rozmiary przedłużywszy rozmowę z królową, musiał ją już uszczęśliwić i na długo nakarmić; zakręcił się kłaniając grzecznie, uśmiechnął zalotnie i wesoło, elastycznym krokiem tancerza poszedł ku drzwiom.

Wszystkie panie patrzyły za nim zachwycone, tak zręcznym był, gibkim i młodzieńczo się wydawał.

Łaskę cieszyło to dla Anny.

— Takiego mieć będzie ślicznego męża!

Nie wątpiła bowiem, iż mieć go będzie.

Królowa po wyjściu Henryka natychmiast usunęła się do sypialni, aby tam chwilę przemarzyć.

Jak uczeń wypuszczony ze szkoły, młody król śpieszył do swych apartamentów. Tu go wielka spotkała radość.

D'Entragues, którego lubił bardzo, rówieśnik, przyjaciel, przybywał z listami z Francji.

Czekali wprawdzie oddawna na króla Opaliński, Zebrzydowski świeżo mianowany wojewodą i biskup płocki, ale d'Entragues przywoził tak upragnione z Francji nowiny — nic nie mogło równoważyć się z niemi.

Pibrak pobiegł przeproszać, składając się listami od matki i panowie senatorowie raz jeszcze z niczem odejść musieli.

D'Entragues nie miał nawet czasu zrzucić butów, w których podróż konno, pośpieszenie odbywał, wprowadzono go do gabinetu, którego drzwi natychmiast na rygiel spuszczone zostały.

Gdy się znaleźli sami, Henryk zrzucając z ramion płaszczyk i kapelusz z głowy, westchnął głęboko.

— A! przyjacielu! — zawołał ręce łamiąc — kiedyż ja z tej niewoli babilońskiej wyswobodzonym zostanę? Nie wiesz, na szczęście twe, co to jest siedzieć tu na ciężkiej pokucie w kraju niedźwiedzi, piwa i szabel krzywych, gdzie ludzie się po całych dniach kłóć, godzą, zabijają, a kłótnie i zgodę zapijają beczkami tego narodowego napoju.

Wzdrygnął się.

— D'Entragues, co ty mi przywozisz? matka? król? d'Alençon? co się u was dzieje?

D'Entragues dobywał listy.

— Dowiedcie się trochę z tego, co pisze królowa, chociaż poleciła mi, abym to dopełnił tem co mi ustnie zwierzyła... król coraz jest gorzej.

Henryk spojrział bystro.

— Co mówi Paré?

— Milczy, to najgorzej — odparł spytany. — Król wcale się oszczędzać nie chce, a łóżka nie cierpi. Choroba się wzmaga widocznie.

— Groźną jest? — szepnął Henryk.

— Przynajmniej się nią wydaje — mówił d'Entragues — nam wszystkim i królowej matce, która wcześniej zapobiegać musi, aby w razie nieszczęścia, d'Alençon, król Nawarry a z nimi Condé, Turenne i ich przyjaciele nie pochwycili regencji.

Brwi Henryka się ściągnęły, listy, które trzymał w ręku, ścisnął konwulsyjnym ruchem.

— Zdaje mi się — rzekł stłumionym głosem, w którym namiętne poruszenie czuć było — zdaje mi się, iż królowa ma dosyć środków, aby ich nieszkodliwymi uczynić i nie spuszczać ich z oka. Regencya jej jednej należy; źleby było, gdyby ją miał d'Alençon pochwycić.

Zapobiedz temu potrzeba.

— Sądzę, że zapobieżono — odparł żywo d'Entragues — królowa ma na sercu sprawę W. Kr. Mości jak swą własną.

— Bo ona też jest wspólną naszą — przerwał Henryk. — Potrzeba mieć oko nie tylko na brata mego i na tego chytrego króla Nawarry, który tak dobrze umie, gdy mu potrzeba, dobrodusznego udawać. Kondeusz, Montmorency, de Cossé, Turenne i Thore są niebezpieczni.

Uśmiechnął się d'Entragues.

— Wszyscy oni są tak dobrze jak w ręku naszym — rzekł — o to W. Kr. Mość możesz być spokojnym.

Wątpię, ażeby czas mieli do ucieczki, a najmniejszy ruch podejrzany swobody ich pozbawi.

— Do Bastylii — zamruczał Henryk.

— Trudniej będzie z d'Alençonem i królem Nawarry — ciągnął dalej przybyły — ale ci się na żaden krok stanowczy bez pomocników ważyć nie będą.

Henryk podniósł ręce do góry.

— I trzeba, ażeby mnie los nieszczęśliwy zaniósł tu na drugi koniec świata i związał, abym tylko zdaleka musiał niepokoić się i trwożyć.

— A! W. Kr. Mość możesz być zupełnie spokojnym — dodał d'Entragues. — Królowa czuwa, nic zaniedbanego niema.

— Mów mi jeszcze o Karolu — przerwał Henryk. — Jestże on w istocie tak źle?

— Wnosząc z twarzy — szepnął przybyły — zdaje się, że choroba z każdym dniem się staje groźniejszą. Pomimo starań lekarzy, wychudł strasznie, gorączka go trawi. Paré powiada przed temi, którym ufa, iż w tym wieku w jakim król jest, choroba groźniejsza niż w starości.

— Zmienił życie? — zapytał Henryk.

— Bynajmniej.

— A królowa młoda? — tu spojrzął bystro w oczy przyjacielowi, który go zrozumiał.

— Niema o to obawy — szepnął d'Entragues — jedynym potomkiem zostanie dziecicę Maryi Touchet.

Henryk się uśmiechnął.

— To nikomu przeszkadzać nie będzie — odparł rzucając się na krzesło.

Musisz być straszliwie zmęczony d'Entragues? — dodał — ale ja ciebie nawet dla zrzucenia butów tych puścić nie mogę, póki mi nie powiesz wszystkiego. Tak chciwy jestem nowin z Paryża, tak stęskniony za wami! A! co za kraj! co za ludzie! i na końcu jak miecz Damoklesa wisi nademną straszna ostateczność ożenienia z kobietą, która matką byby mi mogła, a mówią o niej, że jest czarownicą, że struła brata własnego i odziedziczyła po matce wszystkie przymioty, które tu pamięć jej czynią odrażającą.

D'Entragues spojrzął na niego.

— To małżeństwo — począł.

— A! to małżeństwo — nie dając mówić dorzucił król — to małżeństwo byłoby śmiercią dla mnie! czemś jeszcze gorszem od śmierci, męczarnią...

— Nie nagle W. Kr. Mości?

— Wywijam się jak mogę — począł Henryk żywo. — Łudzę, zwlekam, nie daję im mówić o tem nawet. Część senatorów jest za mną, spodziewam się przez nich resztę pozyskać.

Sparty na rękę, mówił z oczyma spuszczonemi i podniósł głowę nagle.

— Miałebym tu do tych lodów przykuty pozostać na zawsze? — zawołał. — D'Entragues! wy na to nie pozwolicie, ja nie wytrzymam!

Wstał z krzesła.

— Dopókiż tak mój los pozostanie nierozstrzygnięty? — zawołał.

— Nie powinno to potrwać długo — rzekł d'Entragues. — Wiem, że i królowa matka tak sądzi. Dlatego czyni wszelkie przygotowania, aby katastrofa nie zastała ją nieczujną.

— Jestże ona nieunikniona? — cicho, jakby sam się tego obawiał co miał wyrzec, szepnął Henryk.

— Tak się zdaje — potwierdził d'Entragues.

Nastąpiły mnogie pytania o szczegóły, o pobyt d'Alençona i króla Henryka, o Kondeusza, o tych, których król za najniebezpieczniejszych uważał. Poseł królowej matki upewniał, że pamiętano o wszystkich, że nikt nie mógł nic przedsięwziąć, czemuby baczna królowa nie zapobiegła zawczasu.

Naostatek d'Entragues został wypuszczony z gabinetu, a Henryk listy przywiezione przez niego czytać zaczął.

Cały potem wieczór oblegano przybyłego z Paryża, bo każdy miał pytać o kogo, ale d'Entragues, otwarty z królem, przed innemi skąpym był w słowa. Składał się niewiadomością.

Nie przeszkodziło przybycie tego posła postanowionej do Niepołomic wycieczce, do kąd oddawna kredensa, kuchnia, służba, łowcze przybory wyprawione zostały. Zabrano

Francuza ze sobą.

Tu na ustroniu król czuł się swobodniejszym daleko, nie tyle oczu na niego patrzyło. Przybywających panów pojono tak, aby nie wszystko co się tu działo widzieli.

Henryk mógł zapomnieć o paszkwilach i usposobieniu niechętnem dla siebie, bo tu mu o nich nie donoszono.

W Krakowie tymczasem nawet pobytowi temu nie przebaczano, rozpowiadając o nim rzeczy straszne. Wiedzano ile Francuzi z sobą przyjaciółek zabrali, że Nanetę Sederyn po mężku przebraną we własnej wyprawili kolebce. Zmniejszyła się liczba Francuzów, ale nienawiść dla nich urosła.

W gospodzie u Grocika poczarne o zabawach nocnych na zamku krążyły plotki. Zamek, choć zamknięty, nie miał tajemnic, zdradzała je czeladź, a najmniejsza rzecz starczyła złym językom, aby z niej straszną potwarz skleily.

Gawiedź krakowska zresztą w tem oburzeniu swoim była wyrazem tego uczucia, jakie w wyższych kołach się odbywało.

Chciano mieć króla, któryby majestat swój blaskiem cnoty uczynił wielkim; ostatnie lata życia Augusta dosyć już zgorzeń i goryczy przyniosły. Natomiast płocze chłopię wiodło za sobą srom i upokorzenie.

Wstydzic się za nie trzeba było przed posłami obcemi, przed ludem, przed światem. Ludzie wywozili z Krakowa tylko powieści o rozpuszcie i nieładzie.

Nie jeden raz odbywały się już głosy, że króla takiego cierpieć się nie godzi; ale ślub monarchy z krajem wydawał się tak nierozzerwanym jak pasterza z owczarnią, jak męża z życia towarzyszką. Rozwód był niepodobnym.

Wymyślano więc różne środki jakimi by na inną drogę młodego pana wprowadzić, a ożenienie stosowne wydawało się wielu jednym z najskuteczniejszych.

Dyssydenci chcieli niemieckiej księżniczki, katolicy bodaj rakuzkiej. Anna miała być uposażoną i skazaną na wieczne osamotnienie.

Wyzdrowiawszy Talwosz, który chodził jak błędny długo, przysłuchując się temu co mówiono, podburzając przeciwko Francuzom, trawiony jakimś niepokojem, po wyjeździe króla począł się także gdzieś wybierać.

Nie zwierzał się nikomu. Podróż to postanawiał, to odkładał, niepewien co pocnie.

Jednego dnia w końcu oglądano się za nim u Grocika, gdzie często bywał, rozmowom i plotkom się przysłuchując, a na zapytanie o niego odparł ktoś, iż go zrana widziano jadącego konno za miasto.

Talwosz w istocie ruszył do Niepołomic. Nikomu się on z niczego nie spowiadał, zdawało się jednak, iż historia Zagłoby i wyjazd z nim Doroty były mu podejrzone. Posądzal piękną Dosię, że gdzieś się dla kogoś ukrywać musiała.

Jak wpadł na myśl, że w Niepołomicach być mogła? Któż to odgadnie?

Mieścinnę tak zastał pełną, iż konia postawić a sobie zapewnić noclegu było trudno. Zjazd był wielki. Bawili przy królu senatorowie niektórzy, urzędnicy niezbędni, wszyscy Francuzi ulubieni i mnogo się przemykało proszących, którzy na szczodroliwość Henryka rachowali.

Litwin znalazł sobie niepoczesny dworek mieszczanina, w którym go przyjęto. Postawiwszy konia, następnego dnia, ubrany tak aby oczu na siebie nie zwracał, poszedł z innymi krążyć około zamku i patrzeć na to co się tam działo.

Życie było bardzo huczne. Tuż około zamku plac obwiedziony służył za miejsce popisów dla biegających do pierścienia, którem i król się czasem zabawiał, lub na turnieje, chociaż one gorzko jeszcze zawsze nieszczęśliwą sprawę Wapowskiego przypominały.

Za gośćmi ściągnęło do Niepołomic mnóstwo różnych przekupniów, spodziewających się z nich korzystać.

Bezpiecznie więc w tym różnorodnym tłumie obracać się mógł Talwosz, nie będąc śledzonym i poznanym. Zwracał on oko baczne na wszystkich wchodzących i wychodzących, na służbę, na tych co zamek zajmowali. Miał nawet przyjemność widzieć tego dnia sławną Nanetę, którą mu tak dobrze opisano, iż ją poznał odrazu. Oprócz niej było kobiet kilka.

Talwoszowi na tę samą myśl, iż w podobnym towarzystwie zmuszonym był szukać swej Zagłobianki, serce się krajało, krew zalewała twarz.

— A! nie — mówił sam do siebie — to urojenie, to być nie może.

Jakaś śmieszna, chorobliwa ciekawość przytrzymywała go tu aż do późnego wieczora, gdy wszystkie okna zapłonęły światłem i król, po powrocie z łowów, do stołu miał siadać. O mroku cały jego dwór zaczął się swobodniej poruszać.

Talwosz już miał zamek opuścić, gdy postać jakaś mężczyzny młodego, ruchami nieśmiało zwróciła jego oczy. Sam nie wiedział dlaczego na widok jej serce mu bić zaczęło. Stał tak, że idący tuż około niego przechodzić musiał.

Im się bardziej zbliżał, tem straszniejsza bladość okrywała twarz smutną i wynędzniałą nieszczęśliwego Talwosza.

W tym zręcznym ale bojaźliwie się przesuwającym chłopaku poznał Dosię Zagłobiankę. W pierwszej chwili taka boleść go przejęła, tak uczył się nieszczęśliwym, że zdrętwiały pozostał w miejscu. Wyminęła go idąc ku bramie. Lecz w tymże momencie oprzytomniawszy Litwin biegł już za nią i śmiało w ciemnych wrotach za rękę pochwycił.

Twary jego dojrzyć nie mogąc, Zagłobianka odepchnęła silnie śmiałego napastnika, który zawołał.

— Panno Doroto! ja to jestem! Na Boga! Mamże oczom wierzyć moim! Wy! w tem ubraniu! w tem miejscu! A! tak...

Zagłobianka stała niema, nie próbowała nawet uciekać.

— Tak — odezwała się zuchwale — ja to jestem; czego chcesz odemnie? Jakie masz prawo?...

Głos jej zamarł w ustach.

— Prawo! — krzyknął Talwosz idąc za nią, gdyż poczęła bramę mijać, jakby na zewnętrzne podwórze wyjść chciała. — Mam takie prawo jak człowiek, który tonącego ratuje.

Dorota wyszedłszy na podwórzec stanęła, założyła dumnie ręce na piersi.

— Według was ja już jestem trupem — rzekła szydersko — nie masz więc już obowiązku mnie wyciągać!

— Wy! wy! mogliście upaść tak straszliwie, tak nisko? — począł Talwosz z uniesieniem.

— Widzicie — odezwała się zimno dziewczyna. — Przysłiście zapóźno.

Rozśmiała się niewesoło. Talwoszowi, mimo oburzenia, na płacz się zbierało.

— I to — zawołał — koniec waszych wszystkich nauk, owoc książek i czytania, mądrości, której byłeś tak chciwą!

Zagłobianka nic nie odpowiadając ruszyła ramionami.

— Nie, to nie koniec — odparła po przestanku — a jaki on będzie, ja nie wiem. To pewna, że nie wrócę tam z kąd przyszłam, ale pójdę dalej.

— Na zgubę! — zawołał Talwosz.

— Może — zimno znowu szepnęła Dorota — ale do czego się to zdało wszystko, że mnie wmość gonisz, szpiegujesz i narzucasz mi swoje nauki i opiekę. Widzisz, że zrobiłam com chciała! Zawracać się ani mogę, ani myślę. Chcesz się mścić i prześladować mnie za to?

Talwosz się rzucił oburzony.

— Panno Doroto — zawołał — tak to mnie znasz, iż możesz o zemstę i prześladowanie posądzać? Widzę cię ginącą, płakać mi się chce. Mylisz się sądząc, że zawrócić nie można. Zawsze czas.

— Nie — odparła Dorota, która znacznie zdawała się ostygłą. — Nie. Zapóźno już.

Ponieważ ludzi się wiele około bramy kręciło, którzy podsłuchiwać mogli, Zagłobianka zaczęła powoli iść dalej, prowadząc za sobą Talwosza.

Stanęli wśród placu dzielącego od miasteczka. Zagłobianka się zatrzymała. Szła dotąd z głową spuszczoną, zadumana, podniosła ją spoglądając na Litwina, który włókl się za nią cały przejęty i drżący.

— Talwosz — rzekła zbliżywszy się nieco ku niemu. — Prośbę do ciebie mam.

Nie było odpowiedzi, pogrążony w myślach, zgryziony Litwin milczał.

— Trzymaj o mnie co chcesz — rzekła — ale nie zdradź przed królowną i temi, którzy dawniej mnie znali.

— Wstydzisz się więc sama? — przerwał Talwosz.

— Wstydzę, gryzę się, jestem nieszczęśliwa — rzekła Dosią. — Nie wiem jak do tego doszło, co się stało ze mną. Winnam ja, winien mój los, przeznaczenie... lecz co się

stało, powtarzam, odstać się nie może. Lituj się, łaj, ale nie czerń mnie przed ludźmi. Ty kiedyś może przebaczysz, albo przekniesz mnie...

Nie mogła dokończyć. Tálwosz słuchał z politowaniem.

— Nie powiem nikomu nic — odparł — na coby się to przydało? Francuzów i tak nienawidzą wszyscy, ale jakże wy, wy z rozumem waszym mogliście dać się tak uwieść nikczemnie, tak upaść?

— Człowiek niezawsze rozum ma — rzekła po chwili. — Nie pytaj.

— Jakaż przyszłość? — spytał Litwin.

Dosia poruszyła ramionami.

— Żadnej, ja nie myślę już o niej.

Zamilkli; Litwin ani jej porzucić nie mógł, ani tak rozmowy skończyć.

— Wszystko to dla mnie zagadka i tajemnica — dodał po chwili. — Niech choć wiem dla kogo poświęciliście tak wszystko?

Dosia podniosła oczy i długo na niego patrzyła.

— Na co ci się to wiedzieć zdało — odparła. — Wart czy nie wart, była godzina, żem go sądziła godnym tego. Może dziś myślę inaczej — westchnęła — ale dziś...

Powtórzyła rozpaczliwym niemal głosem: — Zapóźno! zapóźno!

Tálwosz nie odchodził jeszcze.

— Panno Doroto — rzekł — słówko, Francuzi się u nas nie osiedzą, o samym królu nawet nie wiem czy my z nim a on z nami wyżyć potrafi. Przyjdzie może godzina, gdy wam pomoc będzie potrzebna. Wiecie gdzie mnie szukać.

Dorota podała mu rękę i szepnęła smutnie.

— Bóg zapłać.

A wnet zmieniając rozmowę, dodała.

— Co robi królowna?

— Płacze czasem, niekiedy się ludzi — odpowiedział Tálwosz. — Krajczyna i jej przyjaciółki utrzymują i żywią nadzieje, że król się z nią ożeni.

Rozśmiała się Zagłobianka.

— A! — przerwała — kto jej dobrze życzy, ten myśli podobne wybić z głowy powinien. Król się wzdryga na wspomnienie o niej samo. Nie ożeni się nigdy, może ani z nią, ani z żadną inną. Ludzie mu odmalowali królownę jako niebezpieczną trucicielkę i czarownicę. Wie, że ma lat blisko pięćdziesięciu, a on...

Rzuciła ręką w powietrzu.

— Zawczasu ją przygotujcie do tego, ażeby się nie uwodziła — dodała Dosia. — Wyposażą ją i wyprawią kędyś na Mazowsze, nikt się ani ujmie za nią. Biedna sierota. Siostry, brat, kraj, opiekunowie, wszyscy ją opuszczają.

— Mówmy o pannie, nie o niej — przerwał Tálwosz, który przewidywał, że się rozstać będzie musiał z Dosią. — Dwór zawsze w Niepołomicach zostać nie może, powróci w końcu mają do Krakowa, panna się tam pokazać nie możesz, cóż zrobisz z sobą?

Zagłobianka obojętnie ramionami potrząsnęła.

— Jak gdyby w tym dużym Krakowie — rzekła — albo na przedmieściach nie było dla mnie kąta? Skryję się gdzieś od ludzkich oczów.

— A cóż to będzie za życie? — spytał Litwin.

— Spytaj jakie ono teraz jest? — przerwała mu Dosia, której mowa, słowa, dźwięk głosu powiadały, że wcale szczęśliwą nie była.

Obejrzała się po nocnem niebie, na którym jasne gwiazdy świeciły. Chłodna, spokojna noc wiosenna ciszą jakąś niezupełną świat do snu kołysała. Zdala słyszeć było rzechotanie żab, jakieś szelesty tajemnicze lasu, jakieś szepkanie wiatru i stłumione szczebotanie ptasząt.

Dosia objęła oczyma widnokraj, podała rękę Tálwoszowi.

— Bądź zdrow! — szepnęła niewyraźnym głosem. — Nie myśl o mnie.

— I pobiegła nazad ku zamkowi.

Wiedziano bardzo dobrze w Krakowie, co się w Niepołomicach działo, codziennie prawie ktoś tam jechał lub zamtąd przybywał, ale do królowej Anny dochodziły tylko te wiadomości, które troskliwy o nią dwór jej dopuszczał.

Nikt z tych co, jak Solikowski lub biskup chełmski, jaśniej widzieli położenie, nie śmiał rozczarowywać Anny i przynosić jej wieści, któreby ją zasmucić musiały.

Wszyscy widzieli, że owo małżeństwo, którem się jeszcze ludzono, gdyby nawet możliwym było, bardzo nieszczęśliwymby być musiało.

Poznawano coraz lepiej owego księcia Andegaweńskiego, który zdala się wydawał rycerskiem panięciem, a zbliżka był zepsutym chłopakiem, który sobie żartował ze wszystkiego, a sam potrzebował tylko zabawy i roztargnienia. Tych tu trudno mu było dostarczyć.

Francuzów ubywało, gdyż pobyt w Polsce stawał się dla nich coraz trudniejszym, zapominając o panu uciekali, gdy tylko mogli; z Polakami ani się rozmówić, ani zrozumieć, ni do ich obyczajów nie mógł Henryk nawyknąć.

Tęczyński, najbliższy króla, najmilszy mu może, był za szlachetnym, zanadto zacnym młodzieńcem, aby z nim mógł on przestawać na stopie zupełnego zaufania.

Z zaślepieniem i prostotą jakąś dziecinną prawie, podkomorzy króla daleko innym, lepszym sobie wyobrażał i czynił niż był w istocie.

Ile razy król się z czem niezdarnem mimowoli zdradził, Tęczyński nie brał tego na seryo, a poważniejąc zmuszał Henryka do zwrotu.

Z tym swoim podkomorzym król był, jak ze wszystkimi Polakami, niedowierzającym i ostrożnym. Kłamał po prostu, aby się od niego uwolnić i wydawać jemu innym niż był.

Dlatego też Tęczyński, ilekroć mowa była o królu, gorąco go brał w obronę, wynosił jego przymioty, ujmował się, tłumaczył go, ręczył za niego.

Wieczorami podkomorzy odprowadzał zwykle aż do łóżka, król się przy nim rozbierał, kładł do snu.

Tęczyński siedział aż usnął, zasuwiał firanki królewskiego łóża i odchodził spokojny.

Po wyjściu jego, gdy obawy nie było ażeby powrócił, Henryk wstawał, ubierał się na nowo, przybiegali Francuzi, zapalano światła, przynoszono karty, zbierali się faworyci, ryglowano drzwi i zaczynały się nocne orgje, bankiety, zabawy, o których jeden pan podkomorzy nie wiedział.

Zdradził ktoś je przed Tęczyńskim, ale ten nie chciał uwierzyć, ażeby król mógł brać udział w nocnych rozrywkach — składał to na płochą młodzież. A że nad nią władzy żadnej nie miał, nic na to poradzić nie mógł.

Działo się to pod bokiem prawie królewnej na zamku, która również nieświadomą była rodzaju życia, jaki prowadził narzeczony.

Wiedziała tylko, że kochał bardzo matkę, że do niej pisywał często i miewał od niej wiadomości, że się dla tej korespondencji zamykał, że tęsknił trochę za Francją.

Gościem częstym zarówno u króla jak u królewnej bywał ów karzeł Krassowski, któremu przypisywano, iż on pierwszy Katarzynie Medycejskiej poddał myśl starania się o tron Polski dla syna.

Krassowski dumny był tem i pozostał w Polsce, aby to swoje dzieło doprowadzić do końca. Marzył on o ożenieniu Henryka, znajdując że to go na tronie utwierdzić mogło.

Roztropny, żywy, dowcipny Krassowski, któremu nie zbywało na towarzyskich przymiotach, nie widział nic jasno, okłamywał sam siebie.

To czego pragnął wydawało mu się możliwym, łudził się, a naostatek zdawało mu się, że on jeszcze tu czynnym powinien być i może, aby co rozpoczął dokończyć.

Nieustannie więc prawie krążył pomiędzy królem a Anną, jemu donosząc co się działo u niej, jej co widział na dworze Henryka.

Dosyć przebiegły król, aby karła ocenić i umieć z tego skorzystać, posługiwał się Krassowskim i po prostu kłamał przed nim.

Gdy mu potrzeba było co zanieść do Anny, jemu to powierzał; gdy się chciał o czem dowiedzieć, z niego dobywał. Krassowski w dobrej wierze, sądząc że służy swojej myśli, był narzędziem w ręku Henryka.

Stawał mu się wielce użytecznym, bo w dobrej wierze, co tylko posłyszał donosił i wskazywał królowi jak i od czego się miał bronić.

Częsty gość u królewnej, Krassowski tu przyczyniał się wielce do utrzymania jej i pań przyjaciółek w złudzeniu tem, że małżeństwo nastąpić musi.

A że mu prawie wszystko wolno było, często na króla nastawał, aby myślał o ożenieniu.

Henryk nie chciał go wywodzić z błędu, nie odpowiadał wprost, zbywał dwuznacznikami.

— A ty nieznośny natręcie! — mówił do Karła — czyż nie widzisz, żeśmy tu jeszcze tchnąć nie mieli czasu, a wcale o przygotowaniach do wesela myśleć nie mogli?

Wszystko przychodzi w porze tym, co czekać umieją! — kończył uśmiechając się.

Krassowski potem biegł do Anny, zasiadał z paniami, które go pieściły i bawiły się nim jak lalką i rozповідаł im, jako z Henrykiem, którego znał dzieckiem, otwarcie mówił o ożenieniu, i że król utyskiwał tylko, iż mu na to czasu nie dano.

Słowa Karła powtarzano królownie, a był on i zdawał się powagą, na słowach tych polegać było można. Przynosiły one i utrwały nadzieję.

Wcale inna była rola referendarza Czarnkowskiego, który nadto bystrym był i przezornym, ażeby się dał uwieść lada czem. Zwolna starał się przygotowywać Annę do jakiegoś przewrotu, zmiany, których się spodziewał.

I on i wielu z nim nie czuli aby Francuz miał pewny grunt pod nogami. W powietrzu była jakaś katastrofa.

Biskup chełmski, który milczał aby nie martwić, przejęty był zgrozą z powodu płochego życia króla.

Cóż się po nim spodziewać było można? Katolicy wiedzieli, że w strasznej nocy św. Bartłomieja Henryk był czynnym, choć nie zbyt jawnie, — to obudzało w nich nadzieję, iż głównego nieprzyjaciela, dyssydentów zmoże i zwolna im cugli ukróci — to jedno pocieszało... obyczajnie zrażały.

Na dworze trudno aby się co ukryć mogło, a sam Henryk choćby był czasem chciał udawać surowszego, zdradzał się codziennie roztargnieniem i niezręcznością. Francuzi jego stokroć gorzej i więcej.

Królowna wśród tych wszystkich prądów i ludzi postawiona tak, że wielu rzeczy widzieć nie mogła a wielu nie rozumiała — sprawy sobie jasno nie zdawała ze swojego położenia.

Dni jasne nadziei mieniały się z szaremi dniami zwątpienia.

Zupełnie się zwierzyć nie mogła nikomu, wstydziła się stan duszy odkryć nawet przed krajczyną, którą kochała najmocniej. Do sióstr pisząc, choć się jej boleśne słowo wyrwało, nie mówiło wszystkiego.

Taka niepewność przyszłości nawet w młodszych latach jest brzemieniem do noszenia bardzo ciężkiem — Anna ugięła się pod niem.

Krajczyna czytała to w wychudłej i smutnej twarzy, starzejącej się w oczach, a że jej szło bardzo o to aby Anna podobać się mogła, rozpadała się, czuwała, pieściła ją, aby odżywić i odmłodzić.

Karzeł wyjechał był z królem do Niepołomic w początku, chciał się tam rozpatrzyć, aby opisać życie Henryka królownie. W tym gwarze jednak, gdzie sobie wszyscy daleko więcej pozwalali niż w Krakowie, wśród wrzawliwych rozrywek, przybierających coraz bardziej męzki charakter — gonitw, strzelania, ucztowania niepomiernego, Krassowski wprędce się uczuł znużonym, zniechęconym i postanowił do Krakowa powrócić.

Zręczny dworak jednakże w drodze sobie powiedział, że młodości wiele przebaczyć potrzeba, i że nie wszystko co widział należało opisywać królownie.

Przybył więc z obrazkiem tak ułożonym, aby przyjemne uczynił wrażenie.

Wiózł czy nie pokłony od króla, Krassowski je złożył u stóp Anny, zaręczył jej że Henryk tęskni, że niebawem zapewne powróci do Krakowa, że o niej często wspomina.

Krajczyna nie posądzała go wcale o kłamstwo, a miała potem za złe biskupowi chełmskiemu, który tych nadziei świetnych, marzeń o małżeństwie słuchając milczał, wzdychał, nigdy ich niczem nie popierając.

Prawda nie mogła z żadnej strony dojść do królownej.

Henryk im groźniejsze wiadomości przychodziły z Francji, które go powołać mogły do matki, zdawał się mocniej coraz chcieć sobie pozyskać miłość i zaufanie Polaków.

Przybywający z Niepołomic wszyscy rozpowiadali, iż za powrotem do Krakowa Henryk aby się lepiej poznać z ludźmi, spraszać ma panów i szlachtę z całego kraju, że się pragnie zalecić im, serca pozyskać, języka uczyć i t. p.

Królowna, która od tak dawna nie mogła się doprosić aby Henryk ją uznał spadkobierczynią po bracie, doczekała się wreszcie dekretu, mogła objąć co pozostało z Tykocińskich

skarbów, uczuła się zamożniejszą i swobodniejszą.

Dobre jej serce natychmiast pomyślało o podzieleniu się tem z siostrami. Chwila radości i nadziei rozjaśniła trochę widnokrąg.

— Królowo moja! — wołała uradowana Łaska — widzicie! król jest o was troskliwy, pamięta, czuwa, myśli... Senatorowie byliby jeszcze zwlekali, on sam rozstrzygnął nareście.

Po tej pierwszej radośnej nowinie, Jaśko z Tęczyna podkomorzy królewski, którego się z Niepołomic, jako niewygodnego świadka pozbyć chciano, przybiegł do Krakowa i nazajutrz był u Anny.

Ten też widział wszystko w jak najpiękniejszym świetle.

— Przybywam aby tu wszystko przygotować na zamku na powrót królewski — mówił królownie. — Mam rozkazy króla.

Będziemy się bawili i z wielką okazałością przyjmowali. Miłościwy pan chce sobie serca pozyskać, a godzien jest tego aby go kochano! Szlachetny, uprzejmy, dobry, bez złości w sercu, pragnie dobra wszystkich; przyszłość się obiecuje pod jego panowaniem szczęśliwa.

Wszyscy się na to zgadzają, iż szcudrośliwszego nie mieliśmy monarchy, ani zdolniejszego nad niego.

Dotąd on nas mało, my go wcale nie znamy, ale się to wszystko zmieni, ustaną niechęci, nienawiść musi być zwyciężoną.

Z uniesieniem prawił tak długo Tęczyński, a królowna w milczeniu słuchała go z bijącym sercem.

— Nie powinni ludzie mu wyrzucać — ciągnął dalej podkomorzy — iż się zabawia płocho. Czyni on to nie dla siebie, pragnie poznać i ująć tych, co go otaczają. Ten cel będą miały zabawy, uczt, turnieje, gonitwy, które ja w Krakowie i w ogrodzie pod Zwierzyńcem mam przygotować.

Nie będziemy żałować na to.

Cieszył się tem zawczasu Tęczyński.

— Wasza Królewska Mość — dodał do Anny się zwracając — z paniami swojego dworu musisz też być przygotowaną do uczestniczenia w zabawach.

Król mi wyraźnie polecił ją o to prosić. Pań nam potrzeba jak najwięcej, a pięknych i mogących mu służyć do tańca.

Król lubi stroje wytworne.

Krajczyzna i wszystkie panie posłyszawszy to z ust podkomorzego, zaraz po wyjściu jego zakrzętały się z niezmiernym pośpiechem gotując suknie, ubiory, wszystko co z jak największym zbytkiem i elegancją wystąpić im pomagało.

Królowna, nigdy bardzo o strój niedbająca, choć najmniej się tem zajmowała, dała się wciągnąć, uległa namowom, rzuciła czasem jakieś słowo.

Parę razy przypomniała piękną Dosię.

— A! — mówiła do krajczynej — co to za szkoda, na te festyny że nam tego dziewczęcia braknie, mogła być ozdobą fraucymeru, a tak dobrym była tłumaczem.

Odebrano nam ją, sama chciała, nie mogłam się sprzeciwić. Co gorzej, odciągnęła odemnie Talwosza, który mi już jak dawniej nie służy.

Zobojeźniał wielce.

W istocie chory, zrozpaczony Litwin po ostatniem widzeniu się z Zagłobianką niekiedy myślał o powrocie do matki, do Litwy. Tamby mu łatwiej było zapomnieć, stworzyć sobie jakieś życie nowe. Tu mu ją wszystko okrutnie przypominało.

Lecz król miał powrócić! Ona też zapewne ze dworem tajemnie tu przybyć miała. Talwosz mówił sobie, że mógł jej być potrzebnym.

Dziwnie upartą w sercu jego była ta miłość bez nadziei, do której przyłączyła się litość. Nie obiecywał sobie dla niej nic dobrego, a więc zawsze w nieszczęściu się mógł przydać, bo wiedział, że ona też rachować musiała na niego.

Kto był sprawcą tego nieszczęścia biednej dziewczyny, Talwosz dotąd ani się dowiedzieć, ani mógł domyślać.

Musiał to jednak być lub sam król, albo ktoś z tych dostojniejszych panów, co go otaczali. Zagłobianka nadto była dumna, aby lada komu dała się opanować.

Litwin obiecywał sobie, iż gdy się dwór przeniesie znowu do zamku, łatwiej mu będzie dośledzić czegoś, tu, u Sederyna lub między Francuzami.

W czasie pobytu w Niepołomicach żywe z Francją stosunki trwały ciągle jak przedtem. Nie było dnia prawie, ażeby ktoś nie przyjechał do Krakowa i nie został zaraz odprawiony do króla. Niekiedy dwóch posłów razem, dla pewności dwoma różnemi wyprawionych traktami przez Niemcy przybywali jeden po drugim.

Nowiny być musiały ważne bardzo, gdyż Henryk oczekiwał ich z gorączkową niecierpliwością.

Lecz, tajemnicą było dla wszystkich co przynoszono z Francji, król się nie zdradzał nawet pytany, dwór jego milczał.

Z coraz większej tylko króla uprzejmości, coraz weselszej twarzy, coraz większego ożywienia wnosili panowie senatorowie, iż dobre musiały odbierać wiadomości.

Wcale się działo przeciwnie, lecz Henryk naprzód już był obrachował wszystko i gotował się do tego, co postanowił uczynić.

Zdrowie Karola IX. coraz było gorsze, coraz mniej utrzymania go przy życiu nadziei; matka pisała do Henryka, aby był gotów natychmiast, gdy zawoła, do Francji powracać.

Panowie Polscy, z którymi król próbował bardzo ostrożnie mówić o tem, iż mógłby być zmuszonym na krótki czas pojechać może do Francji, tak jednogłośnie zaprotestowali przeciwko temu, iż raz dotknąwszy tej ewentualności, król już nigdy nie śmiał o tem ani napomknąć.

— N. Panie — wołał biskup płocki — nie puścimy was, ani ty nas możesz opuścić!

We Francji będzie cię komu zastąpić, u nas jesteś potrzebnym niezbędnie. Jest to chwila, w której między tobą a krajem dopełnia się ślub i związek jaki was łączyć ma na wieki. Wrażenie byłoby straszliwe. Przypuścić nawet takiego nieszczęścia nie możemy.

Henryk nietylko przypuszczał je, ale miał już zawczasu stałe postanowienie porzucenia Polski. Wołała go Francya... tam było jego serce... wszystko. Matka w każdym liście przypominała mu co jej był winien. Kazała być gotowym.

Lekarze nie czynili już najmniejszej nadziei aby Karol IX. mógł zdrowie odzyskać i żyć długo.

Choroba się wzmagala i przybierała groźny charakter.

We dnie zabawiał się jak mógł chory, ale noce były straszne. Przychodziła gorączka a z nią krwawe obrazy mordy, rzezi, zabójstw... jakby wspomnienie tej nocy, której wieki zapomnieć nie miały.

Widma wszystkich poległych w tym boju nierównym z admirałem Coligny na czele, cisnęły się do łoża, oblegały je, groziły mu, domagały się zemsty.

Mówiono, że Karol naówczas potniał a łoże jego pot ten krwią broczył. Przelana krew nieprzyjaciół mściła się na zbolalym.

We dnie wszystko to wydawało mu się jakby snem, który już nie miał powrócić, a ciemności nocy niosły z sobą znowu te same męczarnie i tych samych upiorów.

Codziem Karol podnosił się słabszym, piersi męczyły się oddychaniem... Kaszel je rozrywał. Matka przychodziła z politowaniem i użaleniem do łoża syna, który w jej oczach czytał nie miłość ku sobie, ale jakby niecierpliwość końca.

Pilnowano d'Alençona... do chorego nikt, oprócz wybranych, zbliżyć się nie miał prawa. Czekano już tylko na tę godzinę, która miała lada dzień uderzyć i być ostatnią.

Przerażające te doniesienia przyjaciół swoich, pozostałych w Paryżu, król czytał z twarzą rozjaśnioną, z upragnieniem dzikiem, bez najmniejszego wzruszenia, któreby litości domyślać się kazało. Były to dla niego wieści pocieszające, szczęśliwe. Tron Francji okryty całunem miał czekać na niego.

Tem większą miłość potrzeba było okazać dla Polski, przywiązać ją do siebie, aby ją uwieść i nie stracić jej.

Chociaż niewiele dbał w istocie o ten kraj niedźwiedzi, jak go młodzi paniczykowie nazywali — na wszelki przypadek, gdyby się dwie korony udało utrzymać razem, i to nie było do pogardzenia.

A przynajmniej rozstać się spokojnie i bez tragedji w ostatnim akcie.

W Niepołomicach już rozpoczęło się to zdobywanie serc i ludzi, te uśmiechy zalotne, to zaprzysięganie się króla, iż czuł się tu najszcześniejszym, że postanowił sercem i duszą oddać się Polakom.

Jakkolwiek w myśliwskim zameczku dosyć było swobodnie i wesolo, na zawsze tu pozostać król nie mógł, brakło wiele rzeczy, ciasnota się czuć dawała. Kuchmistrz pan

Franciszek Allemani, Włoch, bo naówczas kunszt kulinarny najwyżej stał w Italii, krzywił się, że tu nie miał wszystkiego, co mu było potrzebnem do króla godnych bankietów.

Stajnie ciasne były dla koni. Kobiety przybyłe za dworem zbyt tu jakoś jaskrawo się wydawały, gdy w Krakowie ich widać nie było.

I tak jednego z dni ostatnich maja powrót do Krakowa został postanowiony. Poprzedziły króla wozy kuchenne, stajnia, zbroje, część dworu. Krajczyna przybiegła do królowej z tą dobrą nowiną, iż król stęskniony za nią powracał.

Razem prawie z tem, posłem ze Szwecyi przyjechał chwilowo ksiądz Warszawicki. Przywoził on listy od królowej, nie zbyt czułe, ale stokroć nad nie miłszem było co opowiadał o małym Zygmsiu, którego królowa Anna oddawna wybrała sobie, przyswoiła, chciała mieć jak własne dziecko, zlewając na niego wszystką miłość jaką w sercu zachowała.

Ks. Warszawicki opowiadał z rozrzwiniem jak chłopię modliło się ślicznie po polsku, jak mówiło dobrze tym macierzystym językiem, jak było pobożne, świątobliwe nad wiek i wiele obiecujące.

Anna słuchając tych opowiadań o Zygmsiu zapominała swych marzeń o Henryku, niemal się ich wstydziła naówczas. Czuli, że bezpieczniej było kochać siostrzeńca i jemu się całkiem poświęcić, niż marzyć o niemożliwym zamążpójściu, które jej wmawiano i narzucano.

Po tych opowiadaniach o Zygmsiu (królowa go w listach Zysiem nazywała) Anna była spokojną, szczęśliwą, — gdy nadzieje na Henryku budziły w niej niepokój, rozdrażnienie, niesmak, ból jakiś.

Lękała się złego, przeczuwała je.

Król przybył jednego wieczora i pusty zamek natychmiast się ożywił niezmiernie. Francuzi, którzy tylko czując króla za sobą śmiały się, a w czasie jego niebytności cicho siedzieli, ruszali się teraz gwarno i wrzawliwie.

Z nimi razem przychodziły wieści i zapewnienia, że król postanowił się bawić sam i drugich zabawiać.

Villequier i Tęczyński mieli wydane rozkazy. Na zamku, w ogrodzie na Zwierzyńcu wieczorami muzykę i taniec zaprowadzić miano — król prześlicznie tańcował!

Tęczyński starał się zawczasu namówić królowę, aby i ona raz lub dwa prosiła Henryka do siebie, czemu on pewnie rad będzie.

Anna milczała jakoś niepewna, ale krajczyna natychmiast zakrzyczała, że koniecznie, dla samej godności królowej należało, aby ona u siebie też przyjmowała.

Oddane do przechowania w skarbcu koronnym srebra miano wziąć dla wystąpienia wspaniale.

Królowa musiała, gdy król przybył, trochę znowu o swym ukochanym Zygmsiu zapomnieć, chociaż po opowiadaniu ks. Warszawickiego śnił się on jej tak, jak go później na obrazku sztychowano, klęczący pobożnie z różańcem w ręku i oczyma ku niebu zwróconymi.

Zaraz po powrocie swym na Wawel, Henryk stawił się do królowej z powitaniem, w towarzystwie sędziwego biskupa kujawskiego Karnkowskiego i Jana z Tęczyna.

Nigdy go Anna jeszcze nie widziała tak nadzwyczajnie ożywionym, wesołym, nadskakującym i miłym.

Dla niej był on może zawsze nadto niewieście i pieszczono występującym młodzieniaszkiem, któremu powagi brakło, ale wdzięk i urok miał wielki. Tak doskonale odegrał czułość, do której królowa nie była przywykła, że ją chwycił za serce.

Zdawała się ona szczerą. Mogłaż przypuścić niewiasta dobrej wiary, aby kto tak umiejętnie, tak zdradliwie kłamać potrafił i świętokradzko uczucia wyrażał, których w sercu nie miał?

Wesołość króla, pochwały, jakimi obsypywał wszystko i wszystkich, Annę też w dobry humor wprawiły.

Oświadczyła się z gotowością podzielenia zabaw i dopomagania do nich.

— Jest to dla mnie niezbędnie potrzebnem — rzekł Henryk — bo bez pań, bez kobiet żadna w świecie zabawa nie może być wesołą, zawsze jej czegoś braknąć będzie. Towarzyski W. Król. Mości są nam pożądane!

Od tego dnia poczęły się przygotowania. Zapowiedziano cały szereg uczt, wieczornych zabaw przy latarniach w ogrodzie, wyścigów, gier itp. Tęczyński ożywiony biegał, chcąc

królowi okazać, iż Polska nie była tak barbarzyńską jak ją Francuzi sądzili i że tu także bawić się przyzwoicie umiano.

Wśród tych zaprzątnień czas nadzwyczaj szybko upływał; królowna dawała się porwać temu prądowi i trosk swych usiłowała zapomnieć.

Wtem jednego ranka, gdy Anna z Zosią Łaską w swym pokoju sypialnym spokojnie rozmawiała, radząc jej jak się na przyszły wieczór ubrać miała i ukazując jej klejnoty, w które ustroić ją chciała — wpadła Żalińska z twarzą zmienioną, jakby przeleżała, widocznie niosąc jakąś nowinę straszną. Ale że znaną była z gderliwości i dąsania się próżnego częstokroć, nie zrobiło to na królownie zbyt wielkiego wrażenia.

Żalińska spostrzegłszy Zosię, już otwarte usta zamknęła i chciała się cofnąć, gdy na dany znak Anny, Łaska prędko wybiegła do drugiej komnaty.

— Żalińsiu — poczęła królowna — widzę, że z jakąś skargą przychodzisz! Cóż się stało.

Starej ochmistrzyni ręce opadły załamane, łzy miała na oczach.

W chwili, gdy się już mówić zabierała, odwagi jej zabrakło.

Anna wstała z krzesła, poruszona trochę, bo ta nieśmiałość Żalińskiej dowodziła, iż coś nadzwyczaj ważnego zajść musiało. Nie zwykła ona była cofać się przed lada czem.

— Żalińsiu moja! mów. Cóż to tam takiego?

Ochmistrzyni potrząsała tylko głową.

— A! nieszczęśliwa ty moja sieroto — zawołała — której przeznaczeniem karmić zdradę i niewdzięczników chować na własny srom i zgubę.

— Mówże! zaklinam cię — przerwała już naprawdę zaniepokojona królowna.

Żalińska się obejrzała dokoła, westchnęła i zbliżywszy się do Anny, półgłosem rzuciła jej w ucho.

— Jak mnie żywą widzicie, jak chcę mojego zbawienia... tak... oto przed godziną, tu, w Krakowie, przebraną za mężczyznę widziałam tę niepocziwą Dosię, którą my sądziliśmy już u stryja na Podolu...

Ją Francuzi zbałamucili i wykradli, tak jak przedtem Zajączkowską.

Oburzyła się królowna.

— Żalińska! Śni ci się! To być nie może... Dosi! Zagłobianka! ona! ona... Boże miłosierny!

— Tak ona, ta cnotliwa, ta dumna Dosi, która ani mojego syna nie chciała — poczęła Żalińska — ani tego szalonego Tálwosza... nikogo.

— Oczy cię zawiodły — przerwała królowna. — Przebrana po mężku! ona...

Żalińska uspokoić się starała.

— Wcale mnie one nie zawiodły, a najlepszym dowodem tego — dodała Żalińska — że postrzegłszy mnie, natychmiast uciekła.

— Gdzież to było? — pytała Anna.

— Wysłałam dziś rano na miasto — mówiła ochmistrzyni — miałam różnych rzeczy kupić, bo ich teraz ciągle bez miary potrzeba. Wstąpiłam po drodze do Dominikanów... Klęczała u ołtarza.

Anna milczała.

— To zagadka jakaś, jeżeli nie omyłka — odparła ostygając. — Zawsze wolę sądzić, żeś się omyliła, niż uwierzyć, że ta pocziwa dziewczyna...

Żalińskiej się usta rozwiązały.

— Ale ja się tego obawiałam oddawna — zawołała. — Wyście jej nadto wierzyli, zbyt się nią posługiwali. Po całych dniach była w rozmowach i konszachtach z Francuzami. Latali za nią, a i ona za nimi.

Któryś z nich jej głowę zawrócił.

Ochmistrzyni coraz się mocniej unosić zaczęła.

— Nieszczęśliwy to dzień i godzina, gdy ci Francuzi do nas zawitali, kłamcy, rozpustnicy, kuglarze.

Ja zawsze przeczuwałam, że oni nam nic z sobą dobrego nie przyniosą.

— Zmiłuj się, król, król jest tak szlachetny, dobry — poczęła Anna.

Żalińska się cofnęła na krok i zamachnęła rękami.

— Nie gniewajcie się, królewno — rzekła — jam stara sługa. Tyle on wart co oni wszyscy... przekonasz się o tem.

Anna odwróciła się nic nie odpowiadając.

— Jeśli się to sprawdzi — rzekła — wprost zaniosę skargę do króla, zobaczysz, że mi sprawiedliwość wymierzy.

Tymczasem — dodała uspokajając Żalińską — chociaż radabym wierzyć, że cię oczy nie omyliły, Żalińska moja, pozwól abym sprawdziła to coś mi przyniosła.

— Jak? — przerwała ochmistrzyni ze zwykłą sobie śmiałością. — Tom ciekawa?

Królewna pomyślała trochę.

— Wspomniałaś tego poczciwego Talwosza — rzekła. — Wiesz jak on w niej był rozmiłowany. Gdyby nas wszystkich oszukała, jegoby nie potrafiła. Spytać go potrzeba, powiedzieć mu, on jeden prawdy dojść może.

Żalińska potrząsnęła głową.

— Mnie się zdaje, królowo moja, że właśnie taka miłość jak jego, ślepa jest... ale... A gdzie teraz szukać Talwosza, który się rzadko kiedy pokazuje i odchorował ciężko, że mu Dosię wzięto.

— Kaźcie się o niego dowiedzieć — rzekła z westchnieniem królewna. — Nie chcę napróżno króla tem męczyć, lecz, gdyby się okazało, że istotnie podejściem mi ją wzięto, musi przykładowo winowajców ukarać.

Żalińska postąpiła chwilę milcząca i szepnęła odchodząc.

— Kruk krukowi oka nie wykole.

— Proszę cię, Żalińska moja — dorzuciła smutnie królewna — o tem wszystkim ani słowa. Wstydy mi było, a nuż oczy cię twoje zawiodły?

Ruszyła ramionami Żalińska i potrząsnęła głową.

Krajczyzna i przyjaciółki poznały po królewnie, iż zmartwienie jakieś miała, lecz wiedziały, gdy się z niego nie zwierzała sama, że jej dopytywać i zmuszać do wyznań nie były powinny. One przyczyny nie umiały odgadnąć tego smutku, bo wszystko, w ich przekonaniu, składało się jak najpomysłniej.

Poszukiwania Talwosza nie były bezskuteczne, syn Żalińskiej znalazł go w mieście i powiedział mu, że królewna mówić z nim chciała. Nazajutrz rano stawił się Litwin bladej, wymizerowany i jak z krzyża zdjęty. Królewna, która chciała otwarcie mu powiedzieć wszystko, widząc go tak zbolalym, zawahała się. Żal jej go było. Poczęła więc od rozpytywania o zdrowie, o zajęcie... a że kasztelan Talwosz, stryj jego właśnie był przyjechał do Krakowa, o niego też i o Litwę.

Zbliżyła się nakoniec i zniżając głos, rzekła.

— Co się to tej poczciwej mojej Żalińskiej przywidziało! Wyobraź sobie, iż wpadła tu do mnie z wiadomością, że Zagłobiankę za mężczyzną przebraną widziała wczoraj u Dominikanów w kościele.

Ale to być nie może!

Królewna spojrzała na Talwosza i jeszcze większy żal uczuła nad nim. Litwin stał bladej jak trup, usta mu się trzęsły, oczy latały błędne, odpowiedzieć nie umiał.

— To nie może być — powtórzyła Anna — prawda, Talwoszu mój! Dosi! ona! Nie. Żalińska Francuza jakiegoś, nie wiem kogo wzięła za nią.

Talwosz milczał, nie zebrał był myśli, i nie wiedział co miał odpowiedzieć. Zdradzić ją? czy ratować? Dał słowo, że jej nie oskarży, lecz gdy raz rzecz była odkryta, miałże kłamać? Dlatego wahał się z odpowiedzią. Przyznać się do tego, że i on wiedział o tem, widział ją, a nie doniósł królewnie — nie mógł.

— Miłościwa królewno — rzekł po bardzo długim namyśle — miłościwa królewno, prawdziwie nie wiem co o tem trzymać. Żalińskiej się często niebawale przywidują rzeczy, lecz oczy ma dobre.

Ludzie są źli, a ta gawiedz francuzka, z którą ona przestawała...

Nie dokończył. Anna spojrzała na niego.

— Przypuszczasz więc, że mnie drugi raz tak jak z Zajączkowską oszukano? — spytała.

— Powiedziałem już — powtórzył Talwosz — że nie wiem co o tem sądzić, ale któż to rozstrzygnie?

— Znales Dosię, ona! — dodała Anna.

— Miłościwa Pani — wyjął Litwin z boleścią. — Znałem ją, prawda, ale od przybycia Francuzów dziwnie się nam ona zmieniła.

Przestawała ciągle z nimi. Jeżeli się co stało, nie ją, ale ich obwiniać należy. Dla nich nic świętego niema, a z niewiastami się obchodzą, jakby ani matek, ni siostr nie mieli.

Drgnęła królowna.

— Tak ich sądzisz? — przerwała. — Ależ król? król jest szlachetny, dobry, wszyscy mu to przyznają.

Talwosz, na którego odpowiedź potwierdzającą długo czekała królowna, stał niemy.

— Jeżeli ci się zdaje, iż Żalińska nie zmyśliła — poczęła Anna — mój Talwoszu, postaraj się dosłedzić prawdy. Nie mogę opuścić tej, którą wychowałam od dziecka, a jeżeli jest na drodze zatracenia, ratować ją jestem obowiązana. Okaże się to prawdą, czemu ja wierzyć nie mogę i nie chcę, udam się na skargę do króla. On wymierzy surową sprawiedliwość i ukarze winnego.

Talwosz pomyślał: Jak zabójcę Wapowskiego — ale głośno powiedzieć tego nie śmiał. Podniósł oczy, nie rzekł nic.

Królowna po namyśle dodała.

— Byłażby tak zuchwałą, tak nieroztropną, aby się tu jawnie w biały dzień pokazywała, gdzie ją zna osób tyle? Gdyby nawet przypuścić można najgorsze, sądzę że wstyd i sromu choć trochę zachować musiała.

Spodziewam się, mój Talwosz, że ty potrafisz dojść, czy w tem jest co prawdy.

Litwin stał zamyślony.

— Miłościwa Pani — rzekł. — Gdyby się okazało, że niepoczciwi ludzie ze słabości jej i łatwowierności korzystali, ja nie wiem, czy co na to poradzić dziś można. Zanieść skargę do króla, znaczy ją okryć niesławą.

— Tego co ją uwiódł zmusimy aby się z nią żenił — dodała królowna.

Sklonił się Talwosz i chciał odchodzić. Anna mu rękę podała do pocałowania.

— Biedni my jesteśmy, którzy w niegodziwości serca ludzkiego uwierzyć nie chcemy, aż one nam się czuć dadzą!

Pierwszych dni czerwca wieczorem król zapraszał na zabawę z tańcami do ogrodu przy Zwierzyńcu.

Mówiono już oddawna o tym festynie, na który i królowna ze swym dworem i wiele pań, żon senatorów i co było dostojniejszych w Krakowie gości wezwanych było.

Ogród miał być wspaniale lampami oświetlony, muzyka przygrywać w zielonych dla niej umyślnie pobudowanych szalaszach. Dla pań i starszyny stały szeregami przygotowane ławy kobiercami pookrywane. Stoły wśród starych lip i grabów uginały się od sreber. Allemani z kuchnią pracował od dwóch dni, bankiet gotując godny ust królewskich.

W całym mieście nie mówiono o niczem tylko o tym wieczorze królewskim, a że i królowna się na nim znajdować miała, nadawano mu takie znaczenie, iż miał być wesela zapowiedzią.

Nieinaczej go sobie tłómaczyły przyjaciółki królownej.

Przystęp do ogrodu nie dla wszystkich był wolnym, bo i płoty i straże od nacisku gawiedzi broniły; pomimo to z miasta płynęli ciekawi gromadami, radzi się przypatrzeć choćby przejeżdżającym kolebkom i zdala oświetleniu ogrodu.

Wieczór obiecywał się piękny, a choć dzień czerwcowy był gorący dosyć, ku zachodowi słońca, zapowiadając pogodę ochłodło powietrze, lekki wietrzyk powiał ze wschodu.

Wiosna była w całym swym blasku, z całym wdziękiem jaki miewa w krajach ku północy posuniętych. Drzewa, trawy, kwiaty, wszystko śpieszyło z ciepła korzystać, rozwijając się bujno, rozlewając wonie dokoła. Słowiki w krzewach niezliczone pieśniami swemi napełniały powietrze, które o tej godzinie przerzynały krzyżujące się stada ptaków, gromady wesolych jaskółek, sznury ciągnących na noclegi kaczek i pojedyncze ptactwo wybiegłe z gniazd na żer wieczorny.

Naprzeciw słońca jak siatka złota kręciły się w słupy zbite jednodniowe muszki, cieśzące się życiem, które jutro utracić miały.

W mieście dzwoniło na pacierze wieczorne, ale nawet głos dzwonów w tej wiosennej atmosferze rozpląwał się z jakąś błogą tęsknotą, która w sobie miała pociechę i nadzieję.

Niebo wypogodzone, z jednej strony całe zdawało się złote, z drugiej ciemniało i przechodziło w barwę niebieskawą. Nie było na niem chmur, a kilka obłoczków białych cudownie w oczach malejąc, nikły i roztopiały się na tem ognisku.

Z miasta pieszo po większej części śpieszyli ciekawi, nastrojeni tak wesoło, jak na ten dzień przystało. Witano się wołaniem, pozdrawiano, a gdy środkiem gościńca wiodącego ku Zwierzyniecowi pokazali się konni lub kolebka, wszystkich oczy zwracały się na królewskich gości. Ściągali się oni powoli, jak kto chciał, bo godzina wyznaczona nie nadeszła była jeszcze i ci co się lepiej umieścić chcieli, wyprzedzali drugich. Spodziewano się ścisłu.

Gawiedz, między którą i majątniejszych mieszczan było wielu, miała na co patrzeć.

Nie lubiono Francuzów, wyśmiewano ich chętnie, staczano z nimi bójki, lecz przypatrywano się im ciekawie, bo i strojami i obyczajami nie byli podobni nawet do Włochów, z którymi w Krakowie się dawno obyto.

Dwór Henryka cały odznaczał się nadzwyczajną elegancją, a charakter jej był nie męzki i stroje zdawały się raczej dla kobiet niż dla mężczyzn powymyślane. Kaftany jedwabne z tkanin przetykanych złotem, szyte i pikowane tak, że do sukien i staników kobiecych były podobne, suknie pełne rozporków (*crèvés*), z których różnych barw bufowanie i wstążki wyglądały, opięte spodeńki i pończochy, włosy niezmiernie kunsztownie trefione, bielizna i koronki, klejnoty i pióra, rycerzów wcale nie znamionowały.

Najmłodszy z ulubieńców króla szczególnie, którzy piersi mieli na pół odsłonięte i obnażone, a przybierali ruchy dziewczęce, obudzali u ludu śmiechy i wykrzyki zgrozy.

Wszystko w nich aż do szpadek cienkich i nożyków u pasa wydawało się zamaszystym Polakom dziwnym i śmiesznym.

Pokazywano sobie lalki te palcami i nadawano im obelżywe nazwiska. Ale Francuzi byli tego dnia w tak wesołych humorach, tak hardzi sobą, że się tego albo nie domyślali, lub o to nie dbali.

Gdy po tych niewieściuchach ukazał się potem który z polskiej młodzieży po polsku lub z węgierską odziany, zdrowy, silny, barczysty, w sukni świetnej, a okrywającej go tak, że piękna postać stawała się wydatną, okrzykiwano swoich wesoło.

Polacy też w najrozmaitszych ubraniach się pokazywali, a na wytworności im nie zbywało. Poczawszy od koni do panów i czeladzi, niczego się nie można było powstydzic.

Kolebki pań wspaniale też wyglądały ze swem obiciem szkarłatnem, ze złożonemi słupkami, z zaprzęgami od złota, czubów i malowanych grzyw i ogonów. Czeladź towarzysząca godną była panów. A wszystko to rumiane, zażywne, zdrowe, gdy Francuzi przy nich wymokli wyglądali, bledzi i słabi.

Francuzkich kobiet, choć o nich wiedziano w mieście, tu na okaz i porównanie nie było wcale, więc ich ze swemi porównywać nie mogli patrzący, ale własnymi się cieszyli, bo i matrony i dziewczęta jaśniały powagą i krasą, a ubraniu ich chyba zbyt przepych zarzucić było można.

Okryły się klejnotami, które pokolenia pokoleniom zostawiły w spadku, a i tkaniny sukien świeciły złotem, srebrem lub bogatym perł naszywaniem.

Króla z zamku nie było jeszcze.

Spóźnił się on zawsze, dziś zaś przybyły do Sederyna posłaniec z Paryża z listami pilnemi wstrzymać go musiał.

Tymczasem uprzedzając go, jechała z fraucymerem swym królowna Anna, a ludziska ją znajdowali wcale jeszcze przystojną i hożą, nie tak starą jak jej lata mówiły. Jechała w złotogłowie i klejnotach, z wianuszkami na czółku, ale taka smutna jakaś, gdyby nie na tańce, ale na pogrzeb siwe konie ją ciągnęły.

Przy niej paziowie strojni, straż jej przyboczna, urzędnicy i cały wieniec panien i cały zastęp poważnych matron.

Lud witał ostatnią z Jagiellonek, a ona mu pokłonami odpowiadała.

Naostatek szmer zdala nadjeżdżającego króla zwiastował. Tłum z większą jeszcze może ciekawością podbiegł mu się przyglądać niż swej Infantce, ale z usposobieniem wcale różnym. Śmiano się, pokazywano palcami, przedrzeźniano postawy i miny Francuzów, ich ruchy wymuszone. Wybuchy były śmiałe, poszanowania żadnego.

Henryk niewiele na to uważał, jechał wystrojony, w kapelusiku dziwnej formy, obwiedzionym sznurem pereł, śmiejąc się do swych towarzyszków, przebierając rękami i okazując humor tak wysmienity, jakby całe go nie obchodziło co się wkoło niego działo. Nie mógł z pewnością niewiedzieć, że lud pospolity drwił sobie z niego, bo towarzysze czuli to dobrze i niektórzy z nich złośliwie zaciskali usta i podnosili pięści.

Cała ta kawalkata przemknęła szybko i znikła wjeżdżając do ogrodu, u którego bramy zatrzymały się kolebki i konie i czeladź od powozów z niemi.

Wewnątrz przygrywały już muzyki skoczne tańce, których ich nauczono, po większej części włoskie, więc w Polsce znane od czasów Bony.

Ogród w miarę jak się na dworze zciemniało nabierał uroczego jakiegoś wdzięku, który mu nadawały fantastycznie rozrzucone światła i cienie, grupy malownicze mężczyzn w strojach najrozmaitszych, kobiet połyskujących od klejnotów i powiewnych tkanin.

Wszyscy musieli to przyznać Francuzom, że zabawy pięknie dla oczu urządzać umieli i nie żalowali nic na to. Opony, kobierce, całe postawy drogiego sukna wyścielały ziemię, gdzie było potrzeba, oddzielały ścianami jedwabnemi u gałęzi drzew poprzywieszanemi, jedne do tańca przeznaczone szranki od drugich.

Nie brakło też masek i przygotowanych figur poprzebieranych za jakieś mitologiczne postacie.

Król wszedłszy zaraz, a dowiedziawszy się, iż go królowna poprzedziła, pośpieszył ją powitać, jak zawsze, z nadskakującą grzecznością i poszanowaniem. Poprowadził ją potem po ogrodzie pokazując oświetlenie, które właśnie pośpiesznie zapalać kończono.

Od jednych drzew do drugich sznury latarń błyskały różnobarwnemi światłami; były to jakby wieńce kwiatów jakichś, których kształt przybierały.

Muzyki odzywały się wśród zielonych gałęzi rozkwitłych czeremch.

Na jednej z najpiękniejszych łąk wśród ogrodu, otoczonej staremi drzewami, wznosiły się srebrami zastawione kredensy, całe połyskujące, a kilka ogromnych stołów czekały tu na gości. Włoska *collazione* była gotową.

Król naprzód na nią królownę i jej panie zaprosił, a inni Francuzi poszli resztę zaproszonych gości pozbierać. Z wyjątkiem duchownych, którzy nie przybyli na tę zabawę wieczorną, senatorowie znajdujący się w Krakowie w niewielkiej liczbie, dwóch panów Zborowskich między nimi, siła majątnej szlachty i urzędników, wszyscy stawili się na królewskie wezwanie.

Przy wieczerzy król był w tak nadzwyczaj wesołym humorze, tak ożywiony jak nigdy. Zdawał się szczęśliwym, a był tylko gorączkowo niespokojnym. Wiadomości z Francji odebrane upoiły go, poruszał się, śmiał, szalał, aby nie wydać z tem, co nosił w sobie.

Po wieczerzy miały rozpocząć się tańce.

Francuzkim obyczajem otworzyć je miał poważny, ceremonialny *Pavanne*, który i królowej Annie był znany. Mogła go, nie naruszając powagi swej, przetańczyć z królem, a za niemi poszły inne pary.

Prowadząc zwolna Annę, przyznał się jej Henryk, że lubił bardzo taniec, ale skoczniejszy i żwawszy. Na co mu odpowiedziała, że dawno już z powodu żaloby i osamotnienia nie tańcząc, i zapomniała tych tańców, i nie mogła w nich uczestniczyć.

— Będę się przypatrywała — dodała królowna — a to mi zrobi wielką przyjemność. Proszę więc abyś W. Kr. Mość zabawiał się wedle upodobania, wcale nie zważając na mnie.

Król zdawał się tylko czekać na to upoważnienie, i po Pawannie, odprowadziwszy Annę na miejsce, które wśród starszych pań zajęła, sam bardzo żwawo począł z Francuzikami następne tańce przygotowywać.

Wszyscy ich byli ciekawi, bo ci co króla z jego przyjaciółmi w poufalszych towarzystwach widywali popisującego się, wiele opowiadali o zręczności, gibkości i wdzięku, z jakim żaden się z jego dworu ani mógł równać.

Po Pawannie już pewne powzięć było można wyobrażenie o tem z odtącnzonego włoskiego *Corrente* znanego pod tym nazwiskiem na polskim dworze, którego Francuzi nazywali po swojemu *Courante*, a Hiszpanie *Segidylla*. Brakło tylko Francuzom kobiet, któreby im równą wprawę miały w tych skokach.

Henryk zdawał się całą duszą oddawać tej rozrywce, co na panach senatorach niemal przykre czyniło wrażenie. Było w tem coś majestatowi królewskiemu uwłaczającego.

Tańczący w chwilach wolnych uciekali się do kredensów, na których stały pełne ciągle weneckiego szkła puhary, i wychylano je obficie. Król też pił dużo. Twarz mu się zarumieniła, oczy zaczęły przyświecać.

Po Kurancie, w którym panny polskie nadto poważnie i skromnie się znajdowały, nie dając zbyt Francuzom rozbrykać, zażądał król coś weselszego, szaleńszego, a że panny przełękłe oświadczyły, iż tańców obcych nie umieją, nastąpiły narady, szepty, śmieszki, bieganie poza krzewy, zwoływanie się i, zamiast kobiet, przybiegli młodzi paziowie Henryka Francuzi, ale postrojeni tak, że nie wiedzieć za co je brać należało: za kobiety w strojach męzkich, czy mężczyzn wół na kobiety przerobionych.

Chłopaki młodziuchne mieli włosy długie, trefione, w puklach puszczone na ramiona, piersi na pół obnażone, a kaftaniki ich i spodeńki kroju były niezwyklego.

Mieli oni zastąpić brak tancerek. Zmarszczyło się kilka poważniejszych twarzy, lecz była to fantazyja królewska, czemu się nie miał zabawić?

Zagrała muzyka popularną Farandolę, taniec z południowej Francji rodem. Miał on wszystkie cechy gorącego kraju z którego pochodził, ruchy i figury trochę czasem nadto swobodne raziły, lecz jeszcze to uchodziło.

Król dokazywał strasznie w Farandoli, podskakiwał, wyginał się, tupał, rękami i mimiką nadrabiał. Śmiał się i jak dziecko tem bawił.

Patrzyła królowna Anna zdumiona a smutna. Wesołości tej, mimowoli, podzielać nie mogła, niepokoiła ona ją. Spuszczała oczy niekiedy zawstydzona i wdychała, lecz wkrótce ciekawość podnosiła powieki. Tłómaczyła sobie swą bojaźliwość przesadną, długiem osamotnieniem zrodzoną.

Wiodąc życie na pół klasztorne, niedziw że do takich zabaw swobodnych nie była nawykłą.

Panie jej dworu odwracały oczy, nie śmiejąc się odzywać.

Farandola coraz nabierając większego ognia, szaleńsza coraz ku końcowi, skończyła się nareście.

Noc już była nadeszła i gwiazdy na czarnem tle jej polyskiwały. W całym ogrodzie niezmiernie było wesoło, starsi pili i nucili, młodzież podzielona na grupy tańcowała.

Muzyki najpocieszniej, zdała słyszane, sprzeczały się z sobą.

Chwilę ledwie odpoczynku dozwolono sobie po nużącej Farandoli, a król naglił, ażeby czasu nie tracić.

Tańcowano spokojniej już nieco Sarabandę dla spoczynku, ale głosy ożywione Francuzów domagały się *Branles*, tańca, o którym powiadano, że bardzo rozmaicie bywał wykonywany, a wymagał wielkiej zręczności i siły.

Domyślano się czegoś szalonego, i królowna szeptała krajczynie, że mogłyby wstać a przejść się po ulicach.

W istocie raziło ją to pospolitowanie się króla, jego trzpiotanie i ruchy, które się niezbyt przyzwoitemi wydawały... Wolała na to nie patrzeć.

Lecz zamiast tego straszego *Branles*, zaczęto grać i tańczyć znośnego i dosyć spokojnego Gawota, a król, z pewną przesadzoną powagą, był w nim bardzo zabawny.

Zacna pani Łaska westchnęła i szepnęła.

— Ale ktoby się domyślił że to król!

I on sam i ci co z nim skakali, rzeczywiście zdawali się o tem zapominać.

Po Gawocie, Anna, która z przykrością się przypatrywała tańcom, szepnęła powtórnie towarzysze, iż chętnieby się przeszła, że zadługo już siedziały.

I w momencie gdy następujący taniec się układał, królowna z towarzyszką i nieodstępnym ochmistrem Konieckim wstała po cichu, niepostrzeżenie wymykając się poza ściany jedwabne tego salonu, w którym król pozostał.

Długo nie mogły mówić nic i nie wiedząc dokąd pustą uliczką poczęły iść dalej, tam gdzie się druga muzyka odzywała.

Obie z pewnością myśli miały jedne, lecz smutno dzielić się było niemi.

— Śliczny wieczór — odezwała się Łaska — a i festyn też, niemożna powiedzieć, z królewską wspaniałością urządzony.

— Tylko — westchnęła Anna cicho — król nadto dobry i zbyt się z sobą spoufaląc daje. Trudno mu potem będzie powagę swą utrzymać.

Łaska pomyślała chwilkę, musiała go bronić.

— Młody jest — rzekła — no i niezawsze się może rozerwać. Co dziwnego! spoważnieje on rychło.

Szli tak dalej. Wśród drugiego koła drzew, część Francuzów, której gorsza muzyka przygrywała Kuranta, zwiјаła się ochoczo. Tu, oprócz tancerzy, kupa ludzi ciekawych przypatrywała się zabawiąjącym.

Królewna z Łaską podszedłszy cicho, stanęły także nieco opodal w cieniu, z kąd skaczące pary dobrze widać było.

Nagle z piersi Anny wyrwał się okrzyk wprędce stłumiony, potrąciła jakby przestraszona krajczynę i nic nie mówiąc, ręką drżącą ukazała jej na prawo.

Oczy pani Łaskiej idąc w tym kierunku zatrzymały się na młodziku stojącym niedaleko, który płaszczem otulony, w berecie z piórem na głowę ułożonym od niechcenia przypatrywał się także tańcującym.

Krajczyna zobaczywszy go, o mało nie wykrzyknęła także.

Nie chciała wierzyć oczom swoim.

Gdyby nie strój mężki, powiedziałaaby że miała przed sobą Dosię Zagłobiankę. Królewna, chwilę się tylko zawahawszy już z krajczyną do tego zjawiska miała się zbliżyć, gdy Zagłobianka (ona to bowiem była) obejrzała się, poznała Annę, rzuciła się jak szalona w zarośle i znikła.

Królewna długo stała nie mogąc się z miejsca poruszyć.

— Widziałas ją? — zapytała towarzyszki.

— Widziałam kogoś nadzwyczaj podobnego do Dosi — zawołała Łaska.

— Ale to ona sama — odparła ręce załamując królewna. — Niema wątpliwości! Posadziłam biedną Żalińską, że się jej to przywidziało.

Niestety! Boże mój... ta dziewczyna biedna.

I Anna oczy sobie zakryła.

— Królowo moja — przerwała Łaska — byćże to może!

— Na świecie! na świecie — odpowiedziała królewna smutnie — wszystko co złe być może.

Chodźmy stąd.

Krajczyna widząc wielce rozżaloną panią, ani jej pocieszać już, ani chciała o tem przedłużać rozmowy.

Zawróciły się obie nazad tą samą drogą ku miejscu z którego wyszły, i prawie milcząc zbliżyły się ku niemu. Ale Anna nie myślała już zająć siedzenia i zatrzymała się nieco opodal, z kąd króla mogła widzieć tańcującego.

Muzyka grała *Volte*, taniec włoski, który we Francyi musiano inaczej jakoś i śmieiej daleko a mniej przystojnie wykonywać.

Król, który już wprzódy sobie bardzo swawolnych ruchów pozwalał, widząc że królewna odeszła i sądząc może, iż widzieć go nie będzie, a lekceważąc pozostałe starsze panie i panów, nie miał już wcale miary i zapomniał wszelkiej przyzwoitości.

Anna stała osłupiona tem na co oczy jej padły.

Henryk tańczył w parze z młodym chłopaczkiem, zastępującym dziewczynę, i odegrywał z nim scenę miłosną tak bezwstydnie, tak zuchwale, tak rażąco, iż niektóre z kobiet porwały się z ławek, oczy sobie zakrywając i rozbiegając się na wszystkie strony.

Jak skoro jedna się z nich ruszyła, na dany znak spłoszyły się inne, ławki wywracać zaczęto, krzyki się słyszeć dały. Uciekał kto mógł.

Króla ani jego tancerzy wcale to nie powstrzymało, owszem jakby na przekorę, z szalem jakimś dzikim, podśpiewując, zaczęli się obejmować, całować, ścisnąć i taniec przeszedł w niedającą się opisać scenę, od której królewna też co żywiej uciekać poczęła, a nie uspokoiła się aż w bocznej uliczce, na której wiele pań z jej towarzystwa przestraszonych się znalazło.

Serce jej biło, twarz oblewał wstyd i ból czuła niewypowiedziany.

— Łasiu moja — odezwała się głosem drżącym — proszę ja ciebie, gdzie jest Koniecki? mnie słabo, czuję się niedobrze, wracajmy na zamek.

Koniecki był o kilka kroków.

— Żalińska z pannami, jeśli chcą, mogą pozostać dłużej, ja powrócę, głowa mnie boli; nie wiem co mi jest. Możemy boczniemi uliczkami do powozów się dostać.

Z pomocą Konieckiego i dwóch dworzan, którzy się szczęśliwie znaleźli, królowna unikając tych miejsc, w których brzmiała muzyka, przesunęła się niepostrzeżoną ku wrotom.

Tu, oprócz niej, wiele pań także starszych podążyły już, zmieszane i skłopotane, dłużej się tym tańcom nie mogąc przypatrywać.

Młodzież tylko przystała.

Widok Dosi, potem to szaleństwo króla, które tak boleśnie dotknęło królownę, przejęły ją i strapiły niezmiernie. Popłakując w milczeniu, razem z wzdychającą krajczyzną dostały się do zamku.

Ale królewskiej zabawy ta ucieczka większej części pań nie przerwała.

Francuzi oswobodzeni, po odejździe królownej rozpoczęli dopiero dokazywać, wcale się już nie troszcząc co ludzie pomyślą i powiedzą.

Henryk im do białego dnia dotrzymywał, i dopiero prośby usilne Tęczyńskiego, który chodził skłopotany wielce, skłoniły go, że się udał na spoczynek, gdy już jasno było i słońce wstawać miało.

O tym wieczorze królowna mówić nie mogła i nie chciała, lecz z jej posepnego milczenia widać było, że go mocno wzięła do serca.

Około południa, przypomniawszy sobie Dosię, kazała zawołać Talwosza.

Litwin na wieczornej zabawie nie był, bo wszelkich takich gromadnych a hałaśliwych rozrywek unikał.

— Niemasz się już co trudzić — odezwała się gdy przyszedł — ja wczoraj na moje oczy, sama widziałam po mężku przebraną Dosię. Nie myliła się Żalińska.

— Gdzie? — zawołał przerażony Talwosz.

— A! na tym wieczorze w ogrodzie królewskim — odpowiedziała królowna. — Nie spodziewała się pewnie, ażebym ja tam się przechadzała. Spotkałam się z nią zblizka.

— Kiedy tak — rzekł Litwin po krótkim namyśle — nie mam i ja już co przed W. Król. Mością ukrywać. Widziałem ją też i ja, a co więcej, mówiłem z nią.

— A! — zakrzyknęła Anna zbliżając się ciekawie. — Mówiłeś z nią, powtórzże mi... co ci powiedziała?

— Nicem z niej nie wybadał — począł Talwosz — miarkuję tylko, że wcale szczęśliwą nie jest. Sama zeznaje, iż się zgubiła, ani chce się uniewinniać, ale ratować się nie daje.

Plakać mi się chciało po tej z nią w Niepołomicach rozmowie.

— Ale któż winowajca? Kto? — przerwała żywo Anna. — Gdybym wiedziała, udałabym się do króla dla pozyskania sprawiedliwości.

To mówiąc królowna przypomniała sobie wczorajszy wieczór, tego króla, w którego sprawiedliwości pokładała nadzieję — zarumieniła się i zamilkła.

— Nie mogłem się od niej o nikim dowiedzieć — odparł Talwosz — tyle tylko wiem, że w Niepołomicach mieszkała na zameczku, więc ktoś ją tam ze sług króla umieścić musiał.

Anna nie przeciągała tej rozmowy.

Talwosz odszedł.

Zniknięcie prędkie królownej z ogrodu musiało króla uderzyć, — wiedział czy nie, iż na taniec jego patrzyła? — ale nazajutrz wysłał do niej Tęczyńskiego z pozdrowieniem, a może dla wybadania.

Królowna po rozmyśle znalazła właściwszem tak postąpić, jak gdyby świadkiem wybryków nie była.

Krajczyzna już zrana usiłowała niemal uniewinnić tem Henryka, że królownej nie widział, że może napił się trochę. Młodemu coś trzeba było przebaczyć.

Anna musiała zamknąć w sobie co czuła i milczeć.

Tęczyński dopytywał królownej o zdrowie, o które król był troskliwy, i przypomniał w jego imieniu, że Anna przyobiecała zabawę jedną przynajmniej sprawić im na pokojach u siebie.

Zmieszalo to żądanie Annę, która się namyślała długo.

— Powiedzcie N. Panu — odparła — iż radabym go przyjąć u siebie, ale nie wiem, czy się u mnie tak ochoczo bawić będzie jak wczoraj.

Rachuję się z czasem — dodała — i widzę, że przed czternastym tego miesiąca trudno mi będzie się przygotować. Na czternasty więc prosić będę.

Chciał już z tem oddalić się pan podkomorzy, gdy królowna po krótkim namyśle wstrzymała go.

— Mam do was prośbę, hrabio — rzekła spuszczać oczy — ale to tak drażliwa i przykra okoliczność, że mi ciężko nawet powiedzieć i przyznać się do niej.

Słyszeliście pewne, jak za życia mojego brata niegodziwie z mojej dobroduszości korzystano, biorąc mi Handzię Zajączkowską. Powtórzyło się to, niestety, z małą odmianą. Miałam przy sobie wychowankę, do której sercem całym byłam przywiązana. Dosię Zagłobiankę. Śliczna była jak rozkwitła różyczka polna, a rozumna i stateczna na podziw. Któżby to był mógł przewidzieć? To dziecko któryś z Francuzów mi zbałamucił i w najniepocziwszy sposób oszukano mnie, ją porwano. Ona jest tutaj. Kryje się, a tak niezręcznie, iż i moi słudzy i ja nareście sama widziałam ją po mężku przebraną.

Tęczyński słuchał, okazując coraz większy frasunek.

— Muszę prosić króla o sprawiedliwość — dodała Anna. — Co się stało, niepodobna zmienić, lecz niech się winowajca żeni, takiego zgorzenia nie można puścić bezkarnie.

Podkomorzy schylony, zadumany zdawał się przemyślać nad odpowiedzią.

— Niewiadomo kto się tego dopuścił? — zapytał.

— Ja nie wiem — rzekła królowna — ale król z łatwością się potrafi dowiedzieć o tem.

— Lękam się — odparł cicho Tęczyński — aby winowajca nie był zbyt wysoko położony. Król wielu ze swoich Francuzów oszczędzać musi, nie nad wszystkimi ma władzę.

Sprawa ta wymaga wielkiej oględności, ale mogę W. Król. Mości zaręczyć, że się będę starał ją wyświecić.

W mowie pana podkomorzego czuć było, iż rad się chciał sianem wykręcić z tego co mu narzucano.

Anna rozpoczęła skargi jeszcze, posłuchał ich cierpliwie i odszedł ponawiając zapewnienie, że uczyni co tylko będzie w mocy jego.

Królowna wiedziała, że spełniła co było jej obowiązkiem.

Po odejściu Tęczyńskiego, natychmiast się trzeba było odwołać do Konieckiego, do Żalińskiej, do wszystkich sił dworu dla przygotowania wieczoru, naznaczonego na czternasty. Czasu stosunkowo nie pozostawało wiele, a Anna tak była mało przywykłą do przyjmowania licznych gości, do wystąpień wspaniałych, musiała tu tyle osób zapraszać, tyle uczynić przygotowań, iż w głowie się jej zawracało.

Nadzwyczaj dbała o utrzymanie powagi swej i dostojności, chciała wytwornością przyjęcia nie być upośledzoną i nie wstydzić się przed ludźmi. A ona sama, jej dwór tak zdawna byli przywykli do jak najprostszego życia, do oszczędności i skromności.

Znowu więc ze skarbcza trzeba było srebra odbierać, opony zawieszać, kobierce ściągać, których oszczędzając chowano je także. Służba też nie starczyła, a kuchmistrza musiała od króla pożyczyć, bo nie miała takiego, któryby popsutym gębom pieszczonych Francuzów mógł dogodzić.

Zakłopotana się niemal do łez królowna.

Tymczasem krajczyna, która dotąd się nie chciała wyrzec nadziei ożenienia Henryka z Anną, uszczęśliwioną była tą nową oznaką jego... czułości. Tak ona to nazywała. Zbliżał się, starał widocznie o łaski, żywił tę myśl, która zresztą należała do zobowiązań.

Łaska i inne panie idące za jej przykładem tak uparcie w tej wierze trwały, że niekiedy sama nawet królowna dawała się nią uwieść.

Pytała tylko siebie samej często — czy małżeństwo to dobremby było, czyby szczęśliwym być mogło?

Najczęściej lży na to odpowiadały i niepewność wielka. Tak młody, tak płochy — możnaż się było po nim przywiązania spodziewać? Im lepiej go poznawała, tem bardziej powątpiewała o tem.

Wreście z rodzajem rezygnacyi rzekła się własnej woli, mówiła w duchu — Stanie się co Bóg da, co przeznaczył! Nie władam sobą, należę do kraju, każą mi do ołtarza iść z nim, pójdę. A potem...

Stań się wola Twoja.

Rzadko myśl weselsza rozjaśniła te ciemne obłoki przeczuć trwożnych; a pociechą najczęściej było wspomnienie Zygmunia, który wydawał się jej przybrany dziecięciem,

jej jakby własnem. Dlaczego nie myślała przybrać sobie swojej imienniczki Anny, siostry jego? czemu ona ją mniej daleko obchodziła? — nie wiedziała sama.

Zdała, za mgłami śnił się jej czasem tron Polski dla siostrzana. Dla niego byłaby się rzekła chętnie praw swoich. Onby krew Jagiellońską znowu wprowadził tu na długie wieki.

We wtorek czternastego czerwca od rana biegano w zamku, przygotowując ów zapowiedziany wieczór u królowej.

Cały fraucymer trefił włosy i przysposabiał stroje, służba była na nogach, Żalińska i Koniecki ochrypli oboje, a Anna siedziała w sypialni smutna, bo jej serce nic już sobie nie obiecywało w przyszłości.

Krajczyna musiała dla niej sama obmyślać ubiór i napróżno dopytywała o zdanie, królowna uśmiechała się obojętnie.

— Wszystko to jedno — odpowiadała przyjaciółce — jakkolwiek się ubiorę, nie będę ani młodszą, ani piękniejszą.

Nie troszcz się tak bardzo o mnie a pomóż raczej, abyśmy wstydu nie zrobili pamięci moich rodziców, imieniowi królewskiemu. Francuzi są do wspaniałości i rozrzutności nawykli, nasz obyczaj prostszym był zawsze, lękam się, aby nas nie wyśmiewali!

Oburzała się Łaska na samo to przypuszczenie — jej wydawało się wszystko bardzo pięknem i smakownem.

Anna nalegała, ażeby niczego nie żałować, i gotową była, pomimo wielkich wydatków, wyłożyć ostatni grosz dla czci swojego domu.

Pokoje też królowej, która sprosiła i przyjaciół i tych co jej niechętnymi byli jawnie, jaśniały nad wieczór całym przepychem pozostałości po Bonie i Zygmuncie Auguście.

Królowa matka, chociaż bardzo wiele wywiozła z sobą uchodząc z Polski, pozostawiła jednak dużo sprzętu, którego zabrać było niepodobna. Zygmunt August kochał się w rzeczach pięknych, więc tkanin, kobierców, sreber nie brakło, a wspaniałe komnaty nadawały się do przystrojenia niemi.

Nie zbywało też na pięknych twarzach we fraucymerze królowej, — i gdy wieczorem zebrano się całe grono gości, nie było się czego wstydzić — Anna mogła z dumą spojrzeć na swój dwór i grono ludzi najdostojniejszych, które ją otaczało.

Król nadszedł dosyć późno, z tą samą wdzięczną i wesołą twarzą, którą zawsze tu przynosił, starając się przypodobać królownie.

Dlaczego tego dnia właśnie, kłamany uśmiech i uprzejmość nie uczyniły wrażenia miłego na niej, i ani na chwilę nie złudziły? Anna nie wiedziała sama. Od tego wieczora gdy Henryka szalejącym w tańcu widziała, wstręt jakiś ku niemu czuła i obawę.

Wydawał się jej tak fałszywym i przewrotnym jak był w istocie. Wyrzucała to sobie a powściągnąć się nie mogła.

Tańce, od których Anna chciała się zupełnie wymówić, tak przykre one obudzały w niej wspomnienia, musiała rozpocząć Pawannem z Henrykiem, który, zdaje się umyślnie, starał utrzymać poważnym bardzo. W oczach tylko jego czasami błyski jakiejś ironii przelatowały jak ogniki błędne.

Od dalszych tańców stanowczo się wymówiwszy królowna zajęła się swemi obowiązkami gospodyni, zasiadłszy pomiędzy starszemi paniami.

Król wielce ożywiony, nie przestał skakać, wziął Zosię Łaskę, zapraszał inne panie do znanego im Kuranta i Gawota, ale znajdował się ciągle wstrzemięźliwie i nader przyzwoicie.

Dnia tego nic mu zarzucić nie było można, a wdzięk, z jakim występował w tańcu, zawracał głowy, bo nie można było mu zaprzeczyć układności, zręczności ruchów i sztuki przypodobania się.

Do późna w noc, przy odgłosach muzyki tańczono w salach jednych, w drugich biesiadowano i zabawiano się rozmową.

Nadedniem dopiero cofnął się król, uprowadzając z sobą Francuzów, i goście wszyscy rozjeżdżać się zaczęli.

Infantka panu Bogu podziękowała, odchodząc ostatnia do sypialnej komnaty.

— Łasiu moja — mówiła do przyjaciółki — powiedz mi? prawda? wszystko się nam powiodło? nie zabrakło nic? nie potrzebujemy się wstydzić? nieprawdaż?

— A! królowo moja — odparła krajczyna — żaden festyn się tak jak ten nie udał. Ludzie podobnego nie pamiętają.

Król nazajutrz w dziedzińcu pod oknami naszymi — dodała uśmiechając się — ma biegać do pierścienia. Niechże królowa moja nie zapomni wyjść na galeryę do łoży, aby się jego zręczności przypatrywać i przyklasnąć, boć to on dla was czyni.

Anna poruszyła ramionami i odparła.

— Pocznijmy wieczorne modlitwy.

Piętnastego w istocie Henryk i inni Francuzi zapowiedzieli bieganie do pierścieni, ćwiczenie, w którym celowali. Uczyło ono celnego władania kopią, ale w Polsce zabawkę tę mniej ceniono i, jak mówił stary Bieliński, wolano silną, niż wydelikaconą a zręczną dłoń u rycerza.

Król, jak zazwyczaj, długo na dzień zasnął, i nie wyszedł na pokoje aż po dziesiątej.

Tęczyński, który się zaledwie zdrzemnął, był już na zawołanie oddawna.

Ze wszystkich Polaków, pan podkomorzy najmilszy był królowi, a i on też króla uwielbiał; a przywiązał się do niego z zaślepieniem takim, że w nim samo dobre widział.

Przy hrabi Janie królowi nic zarzucić nie było można, tak gorąco stawał w jego obronie, i gotów był o najmniejszą obrazę czci Henryka krew przelewać. Przez całe dnie Tęczyński go nie odstępował, starając się przewidywać i uprzedzać wszelkie króla życzenia.

Przed dniami kilku podkomorzy miał przyjemność obdarzyć go bardzo pięknym koniem, wschodniej krwi, który się Henrykowi podobał. Jak z tym koniem, tak z każdą inną królewską zachcianką postępował — starając się ją zaspokoić, bodaj największym kosztem.

Za tę miłość król wprawdzie płacił mu uprzejmością wielką, przywiązał go do swej osoby, dawał widoczne pierwszeństwo, ale wcale do swych tajemnic, do tego co się w głębi serca działo nie przypuszczał. Kłamał tak przed podkomorzym jak przed innymi Polakami, a do swych zabaw z Francuzami nie zapraszał go, krył się z niemi.

Blady i zmęczony wyszedłszy z sypialni król powitał Tęczyńskiego pytaniem, czy kto nie przybył z Francji?

Ostatnie przed dni dwoma odebrane wiadomości z Paryża kazały się co godzina spodziewać katastrofy.

Henryk wiedział, że Karol leżał w krwawych potach dogorywając, trapiiony widzeniami mordów i rzezi, i że matka nie spuszczała z oka księcia d'Alençon i Henryka króla Nawary, a Montmorency i Cossé już byli do Bastylli odprowadzeni, Turenne i Thoré zbiegli, Molé i Coconnas pod sądem.

— Z Francji nie wiem o nikim — odparł Tęczyński — ale poseł cesarza Maksymiliana prosi o posłuchanie i czeka.

Był nim Andrzej Dudycz, i natychmiast go wprowadzono. Król, który miał wejrzenie bystre, usiłował z jego twarzy odgadnąć z czem przychodził. Dudycz nie okazał po sobie ażeby niósł coś ważnego.

Oznajmił tylko, że ma od cesarza własnoręczne pismo do króla, z poleceniem, aby oddał je do własnych rąk jego.

W istocie na małym zwitku papieru opatrzonym pierścieniową pieczęcią cesarza poznał Henryk pismo Maksymiliana, domyślił się, że musiał list coś ważnego zawierać i nie rozpieczętowując go podziękował Dudyczowi. Cofnął się z nim do swojego gabinetu.

Podkomorzy pozostał z Dudyczem sam i po krótkiej rozmowie odprowadził go do kolebki.

Król zamknięty długo, nie powrócił na pokoje.

List cesarza w kilku słowach zawarty donosił, że Karol IX. dnia 30 maja zmarł na zamku w Vincennes, regencyę przekazując matce.

Cała twarz Henryka zapłonęła ogniem, lecz trwało to mgnienie oka, zbladł, schował kartkę i po krótkim namyśle poszedł do zwierciadła, aby z pomocą jego twarz taką ułożyć, któraby nic poznać nie dawała, ani radości, ani niepokoju. Musiał do czasu zachować tajemnicę. Wiadomość zresztą nadesłana przez cesarza nie była urzędową. Nie mógł król powątpiewać o jej prawdziwości, lecz potrzebowała potwierdzenia.

Znał dosyć matkę swą i jej przywiązanie do siebie, by nie wątpić, że natychmiast gońców po niego wysłać musiała.

Rozmyślał jeszcze zamknięty, gdy jeden z paziów zapukał do drzwi bocznych.

— Gонец z Francji!

Henryk rzucił się naprzeciw niemu.

Był to dworak królowej matki, młody de Chemerant, który nie otrząsnąwszy się z pyłu podróznego, śpieszył do Henryka, a gdy się drzwi zamknęły, przyklęknął przed nim, dobył list z za sukni i cicho zawołał.

— *Vive le roi!*

Król palec położył na ustach. Chemerant wstał.

— Wiem już! zachowaj tajemnicę! Nikomu ani słowa dopóki ci ust nie rozwiążę. Nikt wiedzieć o tem nie powinien.

Zdziwił się niezmiernie gонец, który pędził na złamanie karku, starając się aby go nie wyprzedzono, gdy z ust króla posłyszał, iż ktoś śpieszniej tu przybył od niego.

— Któż mógł przedemną tu przybyć! — zawołał smutnie.

Henryk uderzył go po ramieniu.

— Wyprzedził cię cesarz Maksymilian — rzekł żartobliwie i to mówiąc zdjął kosztowny pierścień z palca, który oddał posłowi.

— Chemerant — dodał — idź, spocznij, ale nikomu słowa! rozumiesz... Nie chcę nawet, abyś stał w gospodzie na mieście, niech ci dadzą mieszkanie w zamku.

To mówiąc król z listem matki poszedł niespokojny do okna. Chemerant cofnął się zaraz.

Na twarzy Henryka niemogąca się już ukryć i zamaskować radość promieniała. Był więc królem Francji! u celu życzeń; spełniło się to co matka przepowiadała mu i czego tak gorąco pragnęła, był panem tego pięknego kraju, w którym miał się bawić tak przedziwnie! Śmierć brata ani na jedną sekundę nie zachmurzyła go smutkiem... Była upragnioną.

Rozpowiadano, że z czyjejs naprawy czarnoksiężnik Rugieri ulepił lalkę Karola IX. i na niej tajemniczym sposobem spełnił morderstwo, które żywego życia pozbawiło.

Aż do obiadu król siedział zamknięty u siebie. Sam jeden rozmyślał co miał począć z Polską, w której był królem, ale razem w niej niewolnikiem.

Wprzódym nim urzędowa wiadomość przyjść miała chciał coś postanowić. Komu się zwierzyć? kogo miał wezwać na pomoc?

W godzinie obiadu wyszedł, ale posępny i zafrasowany, a na zapytanie troskliwe Tęczyńskiego czy wiadomości z Francji pomyślne były, potrząsnął tylko głową dwuznacznie. Ten więcej dopytywać go nie śmiał.

Obiad przeszedł w milczeniu.

Wszystko było gotowem do biegania. Dostyc ludzi zgromadziło się dokoła placu. Przyszedł mu o tem oznajmić Tęczyński.

— Hrabio mój — odparł oczy ku niemu podnosząc Henryk — widzisz sam jak jestem zmęczony. Nie mogę biegać, potrzebuję spoczynku, chcę nawet dziś położyć się wcześniej. Niech kto chce się zabawia.

Tęczyński natychmiast poszedł spełnić rozkazy. Ani on, ani nikt na zamku nie domyślał się jeszcze niczego.

Wieczór się zbliżał, gdy Henryk sposobem do którego Francuzi byli nawykli dał znać najzaufanszym swoim, iż z nimi sam na sam naradzić się potrzebuje. Villequier, Pibrak, Souvray i poseł francuzki Bellièvre zostali w ten sposób powołani.

Na zamku tak wszyscy byli nawykli do częstych z Francji posłańców, iż nikogo nie zdziwił jeszcze jeden nad wieczór przybywający, de Neufvy. Wiózł on z sobą takie same listy, jakie zrana oddał Chemerant, ale oprócz tego ustnie miał wiele do opowiedzenia o ostatnich króla godzinach i męczarniach, dla których Henryk okazał się obojętnym. Więcej daleko rozpytywał go o środki, jakie przedsięwzięła królowa matka, aby sobie zapewnić regencją aż do jego przybycia.

Drugiemu posłowi temu nakazawszy tajemnicę, Henryk przywołał podkomorzego i zaraz po wieczerzy, skarżąc się przed nim na głowę, oświadczył iż idzie do łóżka.

Ze zwykłą ceremonią odprowadził go Tęczyński, dwóch paziów posadził na straży u łoża, świece zapalono, drzwi zamknięto.

Podkomorzy zaledwie się miał czas oddalić z zamku do swojego dworu pod wałami, dosyć odlegle położonego, gdy król wstał żywo, paziów odprawił i wezwanych swych doradców wpuścić kazał.

Stawili się oni wszyscy, nie jeden już raz tak do nocnych narad zapraszani, nie przewidując co ich tu czekało.

Villequier i Bellièvre weszli pierwsi i zastali Henryka w długim czarnym płaszczu stojącego w gabinecie.

Strój ten niezwykle miał już znaczenie.

— Brat mój umarł — odezwał się głosem stłumionym nieco i drżącą ręką dobywając listy, które na stół rzucił. — Królowa wzywa mnie, abym conajprędzej przybywał.

Souvray i Pibrak nadchodzili gdy to mówił. Wszyscy oni powitali go jako króla, a Villequier przykląkł do ucałowania jego ręki.

Wiadomość, chociaż spodziewana, uczyniła tak wielkie wrażenie, iż przez chwilę żaden z nich przemówić nie mógł.

Bellièvre pierwszy uczynił uwagę, że poselstwo jego tu było tem samem skończone i że natychmiast powinien do Francji powrócić.

Rzecz była tak małego znaczenia, iż nikt na nią nie zwrócił nawet uwagi.

— Królowa nagli, żąda, wymaga, abym przybywał niezwłocznie — począł mówić Henryk. — Nie ulega wątpliwości, iż im prędzej dostanę się do Paryża, tem dla mnie i dla Francji z tem będzie lepiej. Zapobieżono wszelkim pokuszeniom, d'Alençon i Henryk są strzeżeni, ale...

— Ale — przerwał Pibrak żywo — niemniej śpieszyć należy.

— Sądźcie — rzekł Henryk — iż mnie panowie senatorowie puszcza ztąd tak łatwo?

Spojrzeni po sobie wszyscy.

— Ba! — zawołał Pibrak — pomiędzy Polską a Francją wybór niewątpliwy. Z pierwszą stanie się... co zechce, a W. Kr. Mości do Paryża biedz należy jednej nie tracąc chwili.

— Sądźcie, wy Pibrak, co ich tu najlepiej znacie, że mi Karnkowski, Opaliński, Tęczyński ułatwią wyjazd rychły? Nie będą się starali strzymać tutaj?

Obejrzeni się wszyscy po sobie.

Pibrak z nich najlepiej znał Polskę, tak sobie przynajmniej pochlebiał, miał tu i serdecznych przyjaciół i okrutnych wrogów. Na niego zwracały się oczy wszystkich.

— Senatorów w Krakowie jest niewielu — odparł Pibrak — nie wiem, czy oni na siebie wzięć zechcą odpowiedzialność i sami rozstrzygać. Mogą, co najprawdopodobniejsze, sejm zwołać.

Jam o tej ewentualności mówił już z biskupem kujawskim. On sądzi, że bez sejmu się nie obędzie.

— A nim się sejm zbierze — tupiąc nogą zawołał król, który się okręcił na niej niecierpliwie — nim się on zbierze i nim się wygardłują, upłyną miesiące.

— Kilka co najmniej — potwierdził Pibrak.

— Cóż tu robić? — wykrzyknął król, bijąc papierami po rękach.

— Ba! — przerwał Villequier — rzecz bardzo prosta, nie pytać o pozwolenie nikogo i jechać gdy potrzeba.

— Przebojem? — zapytał Pibrak. — Nie mamy tu wojska na nieszczęście!

— Ale mamy doskonałe konie — rozśmiał się Villequier — i wrota gdy będziemy potrzebowali potrafimy sobie otworzyć.

— Uciekać? — zapytał Pibrak.

Król spojrzał na niego.

— Mój Guy — przerwał — można to nazwać inaczej, a przyznam ci się, że nawet ucieczka z tego kraju, przynajmniej w waszych oczach powinna być usprawiedliwioną.

Widzicie jak ja tu żyję, co cierpię... naostatek... (zżymnął się) grożą mi małżeństwem.

Souvray się głośno rozśmiał.

— N. Panie — rzekł — oni sami nie wierzą w nie.

— Ale królowa ciągle mi grozi, jak miecz Damoklesa — żywo począł król. — Wdzieliście ją wczoraj, poważna to matrona, włożywszy jej czepiec, starszą się pewnie wyda od mojej matki, a nudną jest i smutną i milczącą, a kwaśną tak, że nawet na mniszkę wydaje się za ponurą, coż dopiero za żonę dla... dla...

Pibrak przerwał.

— A! to małżeństwo łatwobyśmy potrafili tak odkładać, ażby się nareszcie samo zerwało.

— Oprócz tego — zawołał król z przekąsem — mój Guy, nie znajdujesz, iż jest tysięcy innych trujących mi życie okoliczności, dla których ja tu pozostać nie mogę?

Pomóżcie mi, abym się mógł ztąd wyrwać; jak najcięższa niewola ciąży mi to moje królestwo.

Bellièvre stał nieco na uboczu słuchając, trzech doradczy zbliżyli się do króla wyprzedzając się z zapewnieniami, iż na wszystko co każe są gotowi.

— Najjaśniejszy panie — zawołał Villequier. — Z tego co nam mówił Pibrak wnosić można, iż na pozwolenie czekać byłoby niedorzecznością.

Potrzeba o nie prosić, aby czas zyskać i czujność ich uspić, ale my musimy gotować się do... nazwijcie to jak chcecie, chociażby ucieczką.

Ja i Souvray bierzemy to na siebie. Chwili niema do stracenia.

Z wyrazu twarzy Henryka widać było, iż oświadczenie to przyjmował wdzięcznie.

— Myśl nie jest zła — rzekł — Pibrak niech gorliwie pracuje nad wyrobieniem mi u panów senatorów łaskawego zezwolenia na rozporządzenie osobą moją, a my tymczasem starajmy się obejść bez pozwolenia.

Pibrak stał zadumany.

— O jedno mi idzie — odparł po chwili namysłu. — Ucieczka jest zawsze trochę niebezpieczną. Że się za nami w pogoń puszcza, nie ulega wątpliwości. A nuż króla na polskiej dogonią ziemi?

Villequier się oburzył.

— Dogonić nas nie mogą — zawołał. — Rzecz cała powinna się tak ułożyć, aby się nie postrzegli wprzód nim my przekroczym granicę. Obmyślim do niej najkrótszą drogę... konie możemy rozstawić.

Henryk się uśmiechał.

— Nie mam obawy najmniejszej — odezwał się — jeżeli Villequier i Souvray wezmą to na siebie.

Wiele na to czasu potrzeba, ażeby wszystko przygotowane być mogło? — dodał zwracając się do pierwszego.

— Dwa lub trzy dni starczą — rzekł Villequier śmiało. — Ja i Souvray nie stracimy ani godziny. Dziś jeszcze w nocy pójdziemy do Sederyna.

— Patrzcie, abyście zawczasu nie uderzyli na alarm — zawołał Pibrak.

— Sederyn jest człowiek pewny — rzekł Villequier — można polegać na nim.

— A na jego zręczności? — spytał król.

— Zarówno — rozśmiał się Souvray. — Patrząc na niego, niktby o przebiegłość i rozum tego otłętego rzeźnika nie posądził, a jednak...

Bellièvre, który dotąd słuchał milczący, przybliżył się powolnymi krokami.

— A ty co mówisz na to? — zapytał król.

— Nic, oprócz iż dla mnie osoba W. Król. Mości nadto jest drogą, abym się o nią nie lękał. Dlatego życzę rozpatrzyć wszystko dobrze i ważyć jak najmniej. Znam Polaków.

— Pochlebiam sobie, że i ja ich przynajmniej tak dobrze znam jak wy — odezwał się Pibrak. — Są gwałtowni, obawiałbym się ich i ja, gdyby nie byli tak dobroduszni, tak łatwowierni, że ich zawsze na słowa zręczne wziąć można. Spytajcie biskupa Walencyi co im wmawiał i przyrzekał.

Są tak dziecinnie ufni, iż wierzą co im kto powie.

— Ale zwiedzeni i oburzeni — dodał Bellièvre — w namiętności nie znają miary. Naówczas są to Zborowscy.

Reszta Francuzów milczała, ocenienie to charakteru polskiego, w grubych rysach, było dosyć trafne, nic mu zarzucić nie mógł żaden.

— Ucieczka króla, niema wątpliwości — dodał Bellièvre — przyprowadzi ich do rozpaczy. Mówmy prawdę, król ma już wielu nieprzyjaciół, pomnoży ona ich liczbę. Polskę potrzeba uważać za straconą.

Pibrak głową potrząsał.

— Może nie — rzekł krótko.

— A gdyby tak nawet być miało — odezwał się Villequier — lepiejże ważyć utratę francuskiej korony?

— Tej nic nie grozi? — przerwał Bellièvre — królowa matka choćby rok cały regentką być miała, potrafi na wodzy utrzymać tych, którychby się można obawiać.

Radzę ostrożność — dokończył poseł — przez miłość moją dla pana.

Skłonił się nisko.

— Nie mówię o koronie polskiej — dodał — ale z tą gwałtownością Polaków, którzy o cześć swoją stoją wielce, ostrożnie poczynać trzeba. Osoby króla nie poszanują gdy się obrażonymi uczują, a wątpliwości nie ulega, iż za obrazę wezmą pogardę ich kraju, korony i przysięgi im złożonej.

Henryk słuchał tych wywodów Bellièvre z widocznym zaszewieniem i niezadowoleniem. Poseł spostrzegł to w końcu i umilkł.

— Nie wiem — odezwał się kwaśno król — co postanowią senatorowie, ale mi to wszystko jedno. Jechać muszę, jechać chcę i pojadę. Proszę was tylko panowie, aby o tem postanowieniu mojem nikt nie wiedział.

Souvray, Villequier... pomogą mi.

Wtem król, jakby coś sobie przypomniał, wtrącił żywo, zwracając się do Villequiera.

— Mówcie o tem z dowódcą mojej gwardyi, z kapitanem Larchant.

Skłonił się Villequier.

— A przedewszystkiem muszę dziś jeszcze zobaczyć się z Sederynem — dodał. — Bez niego nie zrobimy nic, ani ja, ani Larchant, ani Souvray.

Po krótkim milczeniu, król oczyma obszedłszy przytomnych, rzekł jeszcze.

— Wyjazd więc mój jest postanowiony. To rozstrzygnięte. Według mnie, im on prędzej nastąpi tem lepiej. Przy największem staraniu o zachowanie tajemnicy, nie utrzyma się ona, gdy się przeciągnie.

Narada zdawała się skończoną, a jednak nikt odchodzić nie śmiał.

Król biegł po pokoju zaszewiony.

— Trzeba wszystko przewidzieć — rzekł cicho. — Polacy będą się gniewać na mnie... a w gniewie pomiarkowania nie mają. Gotowi mi nawet to co mam a pozostawię zabrać; klejnoty, które przywiozłem z sobą, byłyby stracone. Wiele z nich mają dla mnie wartość pamiątek.

— Potrzeba już teraz odesłać je do Francyi — rzekł Villequier.

— Ardier des Isoires — zawołał Souvray — wybierał się do Paryża oddawna, można mu je powierzyć.

Król potwierdzająco skłonił głowę.

Bellièvre się żegnał, chcąc odchodzić.

— Panowie moi — rzekł król zwracając się do nich — pamiętajcie mi zachować tajemnicę. Rachuję na to.

Villequier po krótkiej, cichej rozmowie z Souvrayem, który pozostał u króla, wybiegł natychmiast.

Nie wstępując nawet do mieszkania, nie zmieniając sukni, zbiegł zaraz ze wschodów, aby się udać na miasto.

Wieczorami wrota na zamku, chociaż były zawczasu zapierane, ciągle dla Francuzów wychodzących i powracających, niemal przez całą noc, przez strażę otwierane być musiały.

Nie było tajemnicą dla nikogo, że król sam nawet często nocą się udawał na miasto, a dopiero nad rankiem powracał, że Francuzi rozmaite osoby z sobą przyprowadzali tu... i że ciemności nocne pokrywały swawolę.

Spadała wina tych wybryków na młodzież, która królowi towarzyszyła, chociaż ona go tylko naśladowała.

Nie było trudno panu Villequier wysunąć się z zamku, a że mu o pośpiech chodziło, siadł na pierwszym lepszym koniu, jakiego w stajniach znalazł osiodlanego.

W Starej Mynicy u Sederyna świeciło się jeszcze, a dla ciepła zbytniego okna były pootwierane. Zabawiano się, spodziewając że świeżo przybyli z Francyi posłańcy zajrzą tu i coś z Paryża przyniosą. Tymczasem ani Chemerant, ani de Neufvy, nie pokazali się w gospodzie.

Oba oni wyprzedzając się aby być pierwszymi u króla, złamani podróżą odpoczywali, przeklinając cesarza Maksymiliana, który obu ich z wiadomością tą uprzedził.

Villequier wprost pobiegł na górę, ale zamiast szukać Sederyna w izbie, w której gwar Francuzów zgromadzonych słychać było, wywołał go z niej przez służbę.

Sederyn wyszedł powolnym swym krokiem, nie domyślając się nic zbyt ważnego.

Ponieważ Villequier był w wielkich u króla łaskach, szanował go wielce i kłaniał mu się nisko właściciel Starej Mynicy. Zobaczywszy go i postrzegłszy na twarzy wyraz jakiegoś zniecierpliwienia, otworzył nie pytając go drzwi osobnej komory, w której zwykle narady wymagające czterech oczu załatwiał.

Izba była, istne kafarnaum, pełna sepetów, szaf, koszów, skrzynek, broni i rozmaitych rupieci do przechowania Sederynowi dawanych. Weszli do niej nim przyniesiono światło, potracając o porozstawiane sprzęty... lecz tuż i chłopak wbiegł ze świecami. Villequier rzucił na stół kapelusz.

Sederyn stał ręce w tył założywszy, przewidując że szło o coś ważnego, ale czekał długo nim Villequier namyślił się i przemówił.

— Mości Sederynie — rzekł w końcu zbliżywszy się do niego stłumionym bardzo głosem — albo szczęście sobie możesz zapewnić (*voire fortune est faite*), albo możesz nas i siebie zgubić. Przychodzę do ciebie od króla w bardzo, bardzo ważnej sprawie.

Sederyn się skłonił. Nawykły do przesady w słowach Francuzów, którzy wszystko powiększali, nie przywiązywał nadzwyczajnej wagi do zapowiedzi tej Villequiera.

— Jestem na rozkazy — rzekł chłodno. — Wiecie że służyć zawsze gotówem.

Villequier palec położył na ustach.

— A naprzód, milczenie! pod gardłem.

Sederyn wciąż odpowiadał głową tylko.

Villequier namyślał się, marszczył i słów dobierał.

— Król prawdopodobnie w tych dniach, jak najrychlej, przypuścimy najdalej za parę dni, musi jechać do Francji. Król brat jego umarł, korona francuzka spada na niego. Musi ztąd precz. Polacy go pewnie wypuścić nie zechcą, on czekać na ich pozwolenie nie może. Należy obmyśleć środki ucieczki... zwróciłem się o to do was. Kapitan Larchant wam pomoże.

Z natężoną uwagą słuchał w początkach Sederyn, ale zrozumiałszy o co szło, zbladł jak trup, ręce podniósł, pochwycił się za głowę — milczał długo.

Villequier zląkł się tego milczenia.

— Panie Sederynie — zawołał — mów, nie mam czasu do stracenia. Król rachował na was.

Sederyn bełkotać zaczął — potniał i czoło ocierał.

— Panie hrabio — rzekł głosem zadławionym — panie hrabio, jestem cały oddany królowi, ale... znam Polaków i Polskę. Ważyć muszę nietylko mój majątek, wszystko co mam, ale zarazem życie, gardło.

Jeżeli król potajemnie uciecze, ci co mu pomogą będą najsurowiej sądzeni.

Na p. Villequier nie robiło to wrażenia.

— Rzecz naturalna — rzekł obojętnie — iż życie swe ratować musisz, to wasza sprawa! Co się tyczy majątku, straty wam król francuzki potrafi nagrodzić i zapłaci za polskiego króla.

Pomimo tego uspokajającego zapewnienia, Sederyn nie przestawał pot ocierać i stękać cicho. Zapatrzył się w podłogę.

— Tak prędko — zawołał — urządzić rzecz tak trudną!

I ręce szeroko wyciągał.

— Albo prędko, póki nic się nikt nie domyśla, lub później wcale nie będzie można — dodał Villequier.

Spoglądał na Sederyna, który jeszcze do siebie przyjść nie mógł.

Zbliżył się potem i położył rękę na jego ramieniu.

— Królowi o to najmocniej chodzi, aby się co prędzej dostał do Francji — rzekł — powinieneś to zrozumieć. Niech kosztuje co chce. Wdzięczność będzie nieograniczona.

Mówmy jak i co poczniemy!

Sederyn jeszcze nie całkiem oprzytomniał.

— Nie dziwujcie się — odezwał się po długim przestanku — że mi niełatwo przychodzi zebrać myśli. Dom, handel, majątność, siebie, życie, wszystko stawić muszę. Stawka wielka.

— Ale wygrana pewna i stokroć ją przewyższająca — przerwał Villequier.

Sederyn, jakby pokrzepienia lub czasu do namysłu potrzebował, wysunął się obiecując natychmiast wrócić, i powrócił w istocie niosąc kubki i wino. Jeden z nich sam wychylił.

Zamyślony stał jeszcze trochę.

Villequier coraz to go budził.

— Cóż więc? cóż więc?

Sederyn z oczyma w stół wlepionymi, po którym palcami przebierał, nie odpowiadał. Naostatek ochłonawszy z pierwszego wrażenia, otworzył usta.

— Za królem nieochybnie pogoń się puści — rzekł. — Potrzeba się zabezpieczyć, ażeby jak najpóźniej się opatrzone, a drogę tak oznaczyć, ażeby jak najprędzej można doścignąć granicy. Na polskiej ziemi jeżeli króla dogonią, nie puszczą go dalej.

Villequier potakiwał.

— Któż to mógł przewidzieć — dodał Sederyn pośepnie — że przyjdzie do potajemnej ucieczki? Nikt się nie gotował do tego... a tu pośpiechu potrzeba.

— Jak największego — potwierdził Villequier.

— Konie przodem wysłać musimy, bo jedne nie starczą — mówił Sederyn. — Ile osób będzie przy królu?

— Gromadka nie wielka, sądzę — odparł Villequier — ale nic jeszcze nie oznaczono. Koni może nam Larchant dostarczyć.

Rozpoczęli mówić o szczegółach, których się tyle nastęrczało, iż Sederyn ręce łamał co chwila. Villequier w imieniu króla na pośpiech i na tajemnicę nalegał. Nie dawał na przygotowania więcej nad dni trzy. Znał króla i jego temperament niecierpliwy.

W końcu Sederyn głosem znużonym zapytał.

— A cóż z Polską będzie?

Nie odebrał na to odpowiedzi rychło.

— Nie wiem — rzekł w końcu Francuz obojętnie — to zależy od panów Polaków. Jeżeli się zgodzą na warunki króla Francyi, mogą pozostać pod jego panowaniem. Spodziewam się, że to dla nich dosyć byłoby zaszczytnem... jeżeli się burzyć i wicherzyć będą...

Wskazał ręką, iż o to nie dbał, naturalnie król i on.

Sederyn posmutniał.

— Nie znacie Polaków — odparł. — Wcale się oni choćby wobec i w porównaniu do Francyi upośledzonymi nie czują. Jeżeli król lekceważeniem ich obrazi, zrzucą go... zrzucą. Przyjdzie tem łatwiej detronizacya, że dotąd go niektóre ziemie znać nie chcą i uznawać. Polska stracona! — zamknął Sederyn.

— Ja po niej płakać nie będę — odezwał się Villequier — a sądzę że i król prędko się pocieszy.

— W pierwszej chwili rozżalenia i sromu doznanego — dodał Sederyn — na tych, których Polacy w rękach mieć będą, pomszczą się okrutnie. Pamiętajcie o tem. Nie mówię o sobie, choć ja pierwszy zgubionym zostanę, ale i o tych, których król tu zostawić musi, boć wszystkich nie zabierze, potrzeba myśleć.

— Mamy przecież i przyjaciół tutaj — przerwał Francuz. — Biskup kujawski, podkomorzy Tęczyński...

— Ci się wszyscy przeciw wam obróć — mówił Sederyn — będą musieli bronić siebie, bo króla obraniać nie znajdą sposobu. Przysiągł Polakom.

Zmarszczył się mocno Villequier.

— Zamiast być mi pomocą, zatrważasz mnie trudnościami — zawołał gniewnie. — Nie po to tu przyszedłem?

Sederyn podszedł parę kroków, ujął jego rękę i w ramię go pocałował.

— Uspokójcie się — rzekł — trzeba przewidzieć wszystko.

— Ale nie tak widzieć czarno — sprzeciwił się Francuz. — Polacy pogniewają się, to pewnie, ale mi się zdaje, że ocenić też powinni tę cześć i korzyści, jakie pozyskają, gdy król Francyi razem będzie ich królem.

Potrząsał głową Sederyn.

— Nie znacie ludzi — powtórzył.

— Mniejsza o to, gotujcie konie do granicy cesarskiej — zakończył. — Raz ją przekroczywszy jesteśmy bezpieczni. Cesarz pierwszy dał dziś znać królowi o śmierci brata i niewątpliwie dalszą mu podróż ułatwi.

— Nie wątpię i ja o tem — rzekł uśmiechając się Sederyn. — Cesarzowi to będzie na rękę, bo starał się o tron Polski, a przewiduje już, że opróżnionym zostanie. Dostarczy koni i ludzi!

Zmarszczył się Villequier.

Rozmawiali jeszcze, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Larchant, którego Souvray przysyłał.

Larchant średnich lat mężczyzna, żołnierz od dzieciństwa, odważny, zapamiętały, pełen próżności, samochwał wielki, wyglądał na zucha, który się musiał miłować w niebezpieczeństwach. Śpieszył on tu, bo awantura była dlań pożądaną, a nadzieja wydobycia się z Polski, gdzie mu się nie wiodło i kilka już razy nieprzyjemne zetknięcia się z rębaczami naprzykrzyły wielce się uśmiechała. Larchant przychodził rozpromieniony.

Widząc go tak ochoczym do dzieła, gdy Sederyn chodził zafrasowany i przybity, Villequier wskazał mu gospodarza.

— Weźże go, kapitanie, i otrząśnij ze złych myśli! Czasu nie mamy do stracenia.

— A farsą taką doskonałą do odegrania! — podchwycił śmiejąc się Larchant. — Proszę sobie wystawić, tych drogich Polaków moich, nazajutrz rano, gdy im króla zabraknie!

A, cóżbym dał, aby na to patrzeć i pocieszyć się odwetem. Nadokuczali nam dosyć swoją butą nieznośną. Na nieszczęście ja tego nie zobaczę, bo królowi towarzyszyć muszę i inaczej go nie puszczę.

Koni potrzeba dobrych, to nie ulega wątpliwości — dokończył nalewając sobie wina — ale i kilka silnych rąk niezawadzi.

Podniósł krzepką pięść do góry.

Sederyn stał ciągle chmurny.

— Mości Sederynie, *a nous deux!* — począł Larchant — obmyślajmy, liczymy, a żywo! a żywo!

— Tak — zamruczał Sederyn — wamby się chciało jak najprędzej ztąd wyrwać, rozumiem, ale ja też myśleć muszę o tem, że mogę się zostać i wpaść w ręce zemsty chciwym.

Larchant mrugnął na Villequiera i klapnął silnie po ramieniu gospodarza.

— Odwagi! Nic się wam nie stanie — zawołał. — Nie zdradzi was przecie król, i nikt wiedzieć nie będzie kto nam pomagał.

Niedowierzająco potrząsł głową Sederyn, ale już Larchant, nie tracąc czasu, o liczbie koni i sposobie ich zebrania rozprawiać i badać zaczął. Żądał mieć zapaśne wierzchowce, chciał jak najwytrzymalszych i rączych.

Roztrząsano potem w ilu i jakich miejscach konie się postawić miały, kto mógł króla prowadzić po nocy, jaka droga była najbezpieczniejsza.

— Tego bądźcie pewni — dodał Sederyn po namyśle — że gdy się o ucieczce króla dowiedzą, gdy alarm się zrobi, nie jeden ktoś, ale całe tłumy pobiegną na wszystkie drogi, łapać i chwytac, że tym Francuzom i przyjaciółom króla, którzy pozostaną w rękach Polaków, niewygodnie będzie i ciężką chwilę przeżyć będą musieli.

Sederyn nie mógł się uspokoić.

Dniało już i Villequier zabierał się na zamek powracać, bo przewidywał, że król też spać nie będzie i zawoła go rano, a Larchant jeszcze nieszczęśliwego Sederyna męczył, usiłując mu dodać męztwa.

Nie przyszło mu to łatwo. Kapitan gwardyi rad był, iż powracał do swojej Francyi z kraju piwa i niedźwiedzi, jak go nazywał, a Sederyn przewidywał, że Polskę, w której dorobił się mienia, majątek, dom, wszystko porzucić będzie musiał, gardło w dodatku ważąc.

Znał nadto dobrze tych wśród których żył, by powątpiewać, iż mu zdrady nie przebaczą. Królowi, bądź co bądź, nie mogli uczynić nic, jemu groziło co najmniej ubóstwo i włóczęga bezdomna, bo wiedział, że na wielką wdzięczność rachować było trudno.

Rzadko się trafiało, ażeby król sam zwoływał panów senatorów na radę, najczęściej oni sami prosić musieli o posłuchanie i rozwiązanie spraw pilnych. Niewielu ich znajdowało

się naówczas w Krakowie, i wszyscy we wtorek rano odebrawszy zaproszenie na zamek, mocno się temu zdziwili.

Łagodny i dobroduszny ks. biskup chełmski uradował się temu pomyślnemu symp-
tomatowi.

— Dzięki Bogu — rzekł ubierając się, aby na zamek pośpieszyć. — Dobry znak, zaczyna się poczuwać do królewskich swych obowiązków, które zaniedbywał potroszę. Łaska Boża!

Spotykający się już w podwórcach zamkowych Zborowski wojewoda krakowski, Tęczyński, Pstrokoński, witali się pytaniami.

— Nie wiecie po co nas król wzywa?

Zwracano się szczególnie ku panu podkomorzemu, o którym wiedzieli wszyscy, iż miał króla zaufanie i łaskę.

Tęczyński nie wiedział o niczem.

— Widziałem króla wczoraj wieczór — odparł — był zmęczony i smutny, ale o żadnej tak pilnej sprawie nie wspominał.

— Znudziły go zabawy — przerwał szydersko nieco kasztelan czerski Pstrokoński — chce się rozerwać słuchając polskich mów, których rozumieć nie będzie.

— Ręczę wam — stanął w obronie Tęczyński, który zawsze króla się starał osłaniać — że radby mowy naszej się nauczyć.

— Niema na to lepszego sposobu — dodał Pstrokoński, gdy już na salę wchodzili — jak się z Polką ożenić. Niech ślub z Infantką przyśpieszy. *Probatum est.*

Sala senatorska dosyć obszerna, ozdobna, wydawała się smutną i pustą. Kurz leżał na ławach i pomimo okien otwartych, woń pustki niezamieszkaney, pyłu i zapomnienia przejmowała powietrze.

Zwolna ściągali się panowie senatorowie, przewidując, iż liczba niewielką będzie.

Wsunął się cicho marszałek Firlej, i zaledwie pozdrowiwszy tych, których zastał, zajął miejsce na stronie ku pierwszej ławie. Wszedł potem Ostafi Wołłowicz trocki kasztelan, witając Zborowskiego, który jeszcze z Tęczyńskim rozmawiał, za nim zjawił się Zaliński kasztelan gdański, dosyć pokorny i skromny.

Niewielu więcej spodziewać się było można. Zapytywano napróżno o kilku, dowiadując się, że ich w mieście nie było.

Ważniejszych narad nikt się nie spodziewał, a wiosna wyzywała wszystkich na wieś.

Król zwykle dość długo na siebie czekać dawał, i tym razem nie spodziewano się go rychło. Panowie senatorowie chodzili i siedzieli, pozbierawszy się w małe gromadki, gdy Tęczyński wyszedłszy na chwilę, powrócił oznajmując króla.

Drzwi otwarto szeroko. Henryk szedł wiodąc za sobą Pibraka, jako tłumacza do pomocy.

Spojrzenie na niego wskazywało, że przybywał z czemś ważnem, twarz miał posępną i uroczystą.

W dodatku strój niezwyčajny oczy zwracał. Ubrany całkiem czarno, bez łańcucha nawet na szyi, król na ramionach miał ciężki płaszcz jakiś czarny, wlokący się za nim, jakiego nigdy nie nosił.

Zaledwie panowie senatorowie zajęli miejsca, gdy Henryk głosem wymuszonym, ponurym, mówić począł.

— Przychodzę się z wami, panowie senatorowie, podzielić boleścią moją. Doszła mnie od królowej matki wiadomość smutna, że najukochańszy brat mój, król Francyi, żyć przestał. Nie wątpię, iż oddacie mu należną cześć, gdyż Polskę miłował równie jak Francję i był jej najżyczliwszym.

Chwilę się zaledwie zatrzymawszy, Henryk dał znak Pibrakowi, aby mu w pomoc przybył. Senatorowie spoglądali po sobie siedząc w milczeniu, wszystkich ich ogarnęła jakaś trwoga i niepokój.

Lecz Pibrak już listy z Francyi dobywszy rozpoczął ich czytanie.

Przeczuwano, iż król domagać się będzie zapewne pozwolenia wyjazdu dla objęcia panowania, i senatorowie badali się oczyma, usiłując porozumieć co czynić i jak odpowiadać mają, gdy król sam po Pibraku głos zabrał.

Uderzał nadzwyczajny, prawie nienaturalny spokój i rezygnacya z jaką mówić począł.

— Będę zmuszonym — rzekł — udać się do Francji, to niewątpliwa; tymczasem jednak rejencya jest w rękach mojej matki, w kraju panuje spokój, nic nie zagraża. Mam więc czas czekać, aż się mój wyjazd obmyśli i postanowi.

Przedewszystkiem — dodał zwracając się ku tym, których sobie szczególnie pragnął pozyskać — przedewszystkiem należy sprawy tego królestwa tak ułożyć, aby mu pokój i rząd dobry był zapewniony. Jest to moim obowiązkiem i pilno się tem zająć musimy.

Wszystko co mówił było tak piękne, rozsądne, tak pochlebne, iż nikt z senatorów nie zebrał się na odpowiedź. Milczeli pod wrażeniem wiadomości, która ich wcale niespodzianie spotkała, a byli w tak małej liczbie, iż obawiali się rozstrzygnąć cokolwiekbądź.

Król westchnął.

— Mamy czas — powtórzył — nic dotąd nie nagli — rzekł po małym przestanku — jednakże nic przewidzieć niepodobna. Dla spraw królestwa mojego francuzkiego mogę się stać potrzebnym, prosilbym więc was, abyście zwołanie sejmików i sejmów przyspieszyli.

Po przemówieniu króla panowało milczenie, szeptano naradzając się kto odpowie. Przypadło to na Zborowskiego, który począł od wyrażenia żalu i współczucia dla króla.

— Miłościwy panie — dodał — dozwolisz, abyśmy tak niespodzianie zaskoczeni, naradzić się mogli. Sprawa wielkiej wagi, nas gromadka mała, a odpowiedzialność ciężka ważna.

Usłyszawszy to król, jakby rad był od dalszych rozpraw się uwolnić, powstał żywo i oświadczył przez Pibraka, iż pozostawia panów senatorów dla dalszego roztrząsania co czynić mają, a sam zabrał się do wyjścia.

Zgromadzeni panowie w milczeniu pożegnawszy Henryka, pozostali na swoich miejscach i po oddaleniu się jego siedzieli strwożeni, niepewni co począć, jakby grom padł między nich.

Na twarzach widać było pomięszanie. Karnkowski szczególnie biskup kujawski blady, drżący, zdawał się tą nowiną do rozpaczki przyprowadzony.

Należał on do tych, co z Tęczyńskim króla popierali i największe na nim pokładali nadzieje. Sama myśl, iż Henryk mógłby się oddalić i zaniedbując polskie sprawy poświęcić cały Francji, przerażała biskupa.

Wkrótce po wyjściu króla zagotowało się od namiętych rozpraw w sali senatorów i trzy godziny trwały głosy różne, utyskiwania, obawy, przewidywania, które się tem skończyły od czego się rozpoczynały — potrzeba było co najrychlej zwołać panów, rozesłać listy do szlachty, zgromadzić naród, aby rozstrzygnął, czy może dopuścić nowo obranemu królowi swojemu wyjechać do Francji, gdzie mógł być narażonym na wojnę domową i na niebezpieczeństwo.

W chwili gdy okryty płaszczem żałobnym król kroczył do sali oznajmić o śmierci brata zwołanej radzie, tajemnica dotąd zachowywana o nadeszłych z Francji wiadomościach dłużej się już utrzymać nie mogła.

Zdradzili ją Francuzi sami.

Ochmistrz Koniecki, który właśnie szedł do Infantki, spotkał w korytarzu Tęczyńskiego. Błady i pomięszany podkomorzy zatrzymał go i szepnął smutną nowinę.

Koniecki, człowiek słaby i trwożliwy, zapytał, podnosząc ręce do góry.

— Panie hrabio! a cóż będzie z Infantką? z królem? ze ślubem?

Tęczyński poruszył ramionami.

— Król do Francji chce jechać! — odparł odchodząc śpiesznie.

Nie mogąc od nikogo się o niczem więcej dowiedzieć, ochmistrz pośpieszył na górę do swej pani.

Tu nie wiedziano, nie domyślano się nic jeszcze. Donoszono tylko Annie, iż wczoraj kilku posłów przybiegło z Francji.

Krajczyzna z Zosią Łaską stały oczekując na królownę, gdy Koniecki wpadł ręce łamiąc.

— Król francuzki umarł! — zawołał — wiadomość przyszła z Paryża. Nasz Henryk zmuszony czy po dobrej woli wybiera się do Francji. Matka go powołuje.

Kończył te wyrazy, gdy weszła powolnym krokiem Anna, zbladła dosłyszawszy co przyniósł i Łaska musiała ją podtrzymywać, bo się złękła, ażeby nie osłabła.

Królowna, pobożna zawsze, zaledwie ochłonawszy, z rezygnacją uklękła przy krześle najbliższym stojącemu i począła modlitwę za duszę zmarłego. Za przykładem jej poszli wszyscy.

Pragnęła dowiedzieć się szczegółów, bo Koniecki tak jak nic nie przyniósł, oprócz wiadomości o śmierci. Nie było kogo posłać, do kogo się zgłosić o szczegóły. Król zanadto zajęty sobą, o Infantce zapomniał.

Ochmistrz przypomniał sobie dopiero teraz, iż kolebkę biskupa chełmskiego widział w podwórku i domyślił się, że musiał się w senacie znajdować; poszedł do niego.

Wprędce powrócił z nim razem.

Biskup, jak inni senatorowie, był jeszcze pod wrażeniem trwogi, jaką obudziło w nich żądanie króla. Biskup kujawski właśnie był rozpoczął rozprawy od tego, iż należało zwołać co rychlej sejm, ale o ile możliwości starać się króla zatrzymać.

Tęczyński i inni zdawali się obawiać, aby król, zwłoką zniecierpliwiony, nie postąpił samowolnie.

Trzeba mu było ułatwić podróż.

Biskup kujawski się temu sprzeciwiał, miał przecucie, choć się z nim nie objawiał, że raz wyjechawszy z Polski, król do niej nie powróci.

Od biskupa chełmskiego niewiele się mogła dowiedzieć królowna, mówił tylko, że choć król zdawał się cierpliwie chcieć czekać na zezwolenie wyjazdu, widać było, iż go pilno potrzebował.

W duszy Anny razem z pierwszą wieścią o śmierci króla wstąpiło przekonanie, iż marzenie o Henryku, o małżeństwie, o przyszłości było skończone! Nie pozostawało jej nic już nad serce boleśnie ściśnięte ostatnim zawodem w życiu.

Na powiekach kręciły się łzy, których nie chciała przed ludźmi pokazać, wstydząc się swojej słabości.

Z zamku odgłos o śmierci francuzkiego króla, razem już o żądaniu wyjazdu Henryka, z szybkością błyskawicy przeszedł do miasta.

Niepodobna odmalować wrażenia jakie uczynił.

Niechęć ku Francuzom była i tak już podniecona, wybuchła ona zaraz gwałtownie, bo wnet zaczęto, uprzedzając najmniejszą oznakę prawdopodobieństwa, wołać, że król niezawodnie Polskę opuści.

Jedni się tym niemal cieszyli, drudzy chcieli gwałtem wstrzymywać Henryka!

W jednej chwili na Rynku, po ulicach, w Sukiennicach, na Ratuszu, ludzie się gromadzić, zbiegać, rozprawiać zaczęli, przybierając tak groźne postawy, jak gdyby już się coś stało, albo natychmiast zagrażało.

Ruch, który panował między Francuzami, a z tym się oni nie mogli ukryć, usprawiedliwiał poniekąd niepokój miasta.

Oprócz tego z zamku, ze dworów senatorów, około południa zaczęto wyprawiać gońców, listy, posłańców na wszystkie strony.

Sederyn postrzegłszy co się dzieje, co najprędzej wyprawił na zamek, zaklinając Henryka, aby czynił co tylko było w jego mocy dla uspienia podejrzeń, dla uspokojenia ludzi, którzy już odgadywali ucieczkę.

Co do osoby swej, Henryk nadzwyczaj umiejętnie panujący nad sobą, był pewnym, że się nie zdradzi; im niecierpliwszy był, tem udawał spokojniejszego, ale Pi brak i inni nie umieli, choć się o to starali, ukryć gorączki, jaka ich paliła.

Król musiał kazać natychmiast zawołać Larchanta i zalecił mu, aby we dnie najmniejszych przygotowań, najmniejszego krzątania się i ruchu nie było na zamku.

Krassowski karzeł, który naówczas w kamienicy Zborowskich mieszkał, i tam się o śmierci Karola dowiedział, nim miał czas, ubrawszy się żalobnie, do króla z kondolencją pośpieszyć, z kilku różnych ust dowiedział się, jakoby za najpewniejsze, że Henryk jedzie do Francji, a jeżeli mu pozwolenia odmówią, gotów uciekać.

Krassowskiemu, który lepiej niż inni znał Henryka, wydało się to prawdopodobnem, ale oburzyło go.

On, tak samo jak biskup kujawski, jak Tęczyński, jak wszyscy przyjaciele króla, narażonym był srodze, odpowiedzialnym prawie, gdyby on lekceważąc Polskę, miał ją opuścić.

Krassowski pierwszego co mu o tem powiedział zgromił, ale nim się dostał do zamku, pięć czy sześć osób spotkanych po drodze powtórzyło mu, że Henryk niezawodnie uciekać myśli.

Jeden z panów (był nim młody Radziwiłł Sierotka) szepnął na ucho karłowi, że przygotowania nawet pewne dostrzeżono na zamku i u Sederyna.

Krassowski co najprędzej pognał na zamek, ale król właśnie po naradzie senatorów słuchał sprawozdania biskupa kujawskiego, dostąpić do niego nie było można.

Karnkowski zaklinał Henryka, aby miał cierpliwość, aby nie czynił nic bez zgody senatorów.

Z uśmiechem jako odpowiedź uspokajającą, Henryk przewidując już potrzebę tego, wskazał biskupowi świeżo przez Pibraka wygotowany akt, którym królowej matce dawał pełnomocnictwo do rejencji.

— Widzisz, ojcze mój — rzekł — że gdybym nie chciał pozostać i cierpliwie czekać co postanowicie, nie potrzebowałbym wysłać matce tego aktu, który Bellièvre dziś z sobą zabiera. Proszę więc was, pokażcie to senatorom, uspokójcie ich, zapewnijcie, że nie uczynię żadnego kroku bez wiedzy waszej.

Karnkowski wyszedł dziękując Bogu, iż król się okazał tak powolnym, gdy niemal gwałtem wtargnął na pokoje karzeł i padł Henrykowi do nóg.

Począł od oplakiwania Karola, dla którego król łez nie miał już... zmarszczył się smutnie tylko.

— Najjaśniejszy panie — dodał natychmiast karzeł podskakując aby się lepiej dać słyszeć — Na Boga w Trójcy jedyne, po całym mieście krąży pogłoska, że chcesz ujechać, ludzie mówią uciekać! Zlituj się nad sobą i nad nami!

Łamał ręce zrozpaczony.

Henryk parsknął doskonale udanym śmiechem.

— Oszalałeś, *petit Jehan!* — zawołał — oszalałeś! Jakże możesz ty, co mnie znasz od tak dawna, posądzić o coś podobnego? Ja? uciekać? Godziź się, abyś ty to powtarzał!

Na co uciekać mam, gdy mi niezawodnie jechać pozwolą, a sejm już dziś zwołują.

Król mówił z takim przekonaniem, z taką gorącością, tak oburzony razem, iż Krassowski, choć znał jego umiejętność oszukiwania ludzi, bo nieraz padł jej ofiarą, uwierzył mu i pocałował ręce białe całować.

— A! królu mój! panie mój — odezwał się z zapalem. — Nie wierzyłem temu, ale po całym mieście niegodziwi o tem trąbią, lud się rozgorączkowuje, nieprzyjaciele podpalają.

— Nic dziwnego, że głupia gawiedź takie niedorzeczności wymyśla — zawołał król — ale *petit Jehan* nie powinienby ich powtarzać.

Mój drogi, królowie nie uciekają, a ja nie mam żadnego powodu tak się na złamanie karku śpieszyć do Francji. Królowa matka mnie zastępuje, d'Alençon tak dobrze jak pod strażą, inni w Bastylli już lub w ucieczce. Nie obawiam się nikogo, mogę czekać.

Uspokoił się Krassowski.

— A! tak! — zawołał z zapalem — czekaj królu mój, najpiękniejszy orszak Polaków będzie ci towarzyszył, zyskasz ich miłość, nie czyni im sromu.

Henryk śmiać się zaczął znowu.

— Proszę cię — przerwał — jak ja, śmieję się z tego... niema w tem sensu co ludzie plotą!

Od króla rozgorączkowany karzeł biegł prosto do królowej. Obawiał się, aby do niej nie doszła wiadomość ta o zamyslanej ucieczce, śpieszył uspokoić Annę.

Był tu pożądanym bardzo gościem, bo u królowej łaknęli wszyscy wieści, a nikt nie przychodził, czuła się opuszczoną. Kto żył, około króla i jego dworu szukał lepszego obeznania się z położeniem.

Wszystkie panie i sama Anna wyszła do Krassowskiego, który ledwie dyszał ze zmęczenia.

— Wprost przychodzę od króla — pocałował żywo. — Niegodziwi ludzie rozpuścili już wieść, jakoby król uchodził zamysł, nie czekając zezwolenia na podróż od panów senatorów. Ale Henryk mój śmieje się z tego i ani myśli się ztąd ruszać. To są potwarze.

Spytała królowa, czy mocno był zasmucony zgonem brata, boleścią jakiej musiała doświadczyć matka, dotknięta tym zgonem?

Na to naiwne pytanie karzeł nie umiał odpowiedzieć, tak dowodziło nieznanostwo wielkiej stosunków rodziny. Objasnić zaś królowę, że matka nie kochała syna, że sama spiskowała przeciw niemu, że brat nie cierpiał brata i że się cieszyć mógł z jego zgonu... nie mógł Krassowski. Spuścił oczy i milczał.

Gdy się to działo u królowej — na dole u króla, w mieście nieustannie mieniali się przybywający i odjeżdżający. Francuzi jeden po drugim opuszczali Kraków.

Panowała między nimi jakby panika jakaś, która sprawiała, że jeden przed drugim prosili się, domagali, błagali, aby ich do Francji puszczono.

Bellièvre pierwszy pożegnał króla, zabrał listy i jawnie w biały dzień ruszył z pośpiechem wielkim, ale to się tłómaczyło potrzebą wysłania przez niego listów pełnomocnych.

W istocie zaś powierzonom mu było zapewnienie się, iż konie dla króla przysposobione zostaną na drodze.

Na Sederyna i Larchanta nie można się było całkiem spuścić, bo król naglił, nie dając im czasu do przygotowania przepręgów.

Bellièvre miał czekać na Henryka u granicy. Tego nikt się nie domyślał.

Wkrótce po nim potajemnie pozawijane w tłumoczeki i skrzynki, klejnoty, perły, łańcuchy, co Henryk miał najdroższego — obawiając się, aby mu tego nie zatrzymano — wyprawił powierzony zaufanemu Ardier des Isoires, który dla bezpieczeństwa innym miał się udać gościńcem.

Naostatek pod wieczór de Neufvy wyprawiony został wprost do Wiednia, do cesarza, oznajmując mu o rychłym przybyciu króla.

W tym samym dniu gdy panów senatorów łudził zapewnieniami że nie potrzebuje się śpieszyć wcale, że czekać będzie cierpliwie aż sejm postanowi o wyjeździe, król już stanowczo się ważył na ucieczkę.

Wszystkie do niej przygotowania były poczynione.

Z nadzwyczajnego ruchu i niepokoju na dworze można się było wprawdzie domyślać czegoś i ludzie podejrzewali Henryka, ale Tęczyński, biskup Karnkowski, Zborowski gromili tych, co śmieli przypuszczać nawet, ażeby miał tak sromotnie chcieć ich oszukiwać.

Podkomorzy przysięgać za króla był gotów, gardło dawać za niego; lajał i sprzeczał się, gdy mu wspomniano o tem, że króla należało pilnować.

Wielu w istocie było tego zdania.

Tęczyński, który sam nigdy nie kłamał, którego rycerskie słowo nie było nigdy złamanem, porywał się do oręża za cześć królewską.

Tak samo Krassowski teraz pozyskany i przekonany bronił Henryka.

Z twarzy Francuzów czytać można było co kto chciał. Jedni z nich chodzili posepni jak noc, co zdawało się dowodzić, że nie spodziewają się rychło zobaczyć Paryża, drudzy biegali, śpiesząc się, niecierpliwą, przygotowując zdając do podróży. Lecz, niektórzy z nich mogli bez króla być wysłani, i w istocie wielu z nich za pozwoleniem, a kilku podobno bez wiadomości, samowolnie się wymknęli.

U Sederyna teraz pełno ciągle było, a między Starą Mynicą i Wawelem jakby prąd płynął nieustający.

Sam tylko gospodarz, zdaje się naumyślnie, nastęczał się we wrotach oczom ciekawym, ażeby dowieść, iż nic nie robił i tak bardzo zajęty nie był.

W ciągu dnia Villequier i Souvray kilka razy przyjeżdżali od niego.

Francuzom pomimo to, zdawało się, że doskonale przygotowania były zatajone i nikt się niczego nie domyślał.

U królowej przez całą środę oczekiwano lub odwiedzin króla, albo wiadomości od niego. Koniecki jednak tłómaczył go, iż tak był z panami senatorami, z Francuzami odjeżdżającymi do Paryża, zajęty pisaniem listów, naradami, odprawą, że ani chwili wolnej nie miał.

Późnym wieczorem, gdy się już panie rozchodzić miały, a Annę krajczyną odprowadzić na spoczynek, oznajmiono Talwosza.

Czekał on na królowę, błady i smutny jak zawsze. Wysła sama do niego.

— Co mi tam przynosisz? — rzekła zbliżając się — pewnie ani dobrego nic, a wątpię, by co nowego. Na zamku tu dziś sądny dzień.

O! i na mieście nielepiej — odparł Litwin — chyba gorzej, bo tu niktby się tego nie ważył mówić, co w Rynku głośno krzyczą.

Królowna zbliżyła się z ciekawością, Talwosz głos zniżył.

— Niema wątpienia — rzekł — że król rychło nas porzuci.

— A! baśnie to są — przerwała Anna. — Był u mnie Krassowski, król się z tego śmieje i ani myśli śpieszyć.

— Wszystko to na oślepienie nasze się mówi i czyni — odezwał się Talwosz spokojnie.
— Wolno W. Król. Mości wierzyć mi albo nie, ale wiem o tem najpewniej, że Sederyn królowi i jego towarzyszom konie gotuje, i że, jeżeli nie dziś to jutro, nocą się wymknie.

Oburzyła się mocno królowna Anna.

— Mój Talwoszu — zawołała — już cię go takim oszustem i kłamcą nie godzi się czynić bez dowodu. Tego się on nie dopuści! to nie może być!

— Z pewnością się to stanie — rzekł Talwosz — ja wiem o tem najlepiej, a jedynym sposobem, aby temu zapobiedz, królowi sromu a nam też oszczędzić boleści i wstydu, jest zawczasu dać znać panom senatorom. Ja za małym jestem człowiekiem, abym się ważył na to, lecz nie chcę mieć na sumieniu, iż wiedząc, choć W. Królewskiej Mości o tem nie oznajmiłem.

Król uciecze...

Powtórnie zzymnęła się Anna.

— Nie mów mi takich rzeczy — odezwała się do Talwosza. — Zdawna to uważałam, że serca do niego nie masz, więc łatwo wierzysz złemu. Ludzie plotą...

Litwin się uśmiechnął.

— A gdy się sprawdzi? — spytał.

Anna stała zamyślona czas jakiś.

— Gdyby się to sprawdziło, zaprawdę byłoby dla nas nieszczęściem wielkiem, lecz Bóg wie co czyni, Jemu ufajmy.

Ja już nic słuchać nie chcę — dodała ręką mu dając znak pożegnania.

— Zdrów bądź, mój Talwoszu.

Skłonił się Litwin i odszedł.

Pomimo tego zgodzenia się z wolą Bożą, gdy królowna wróciła do krajczynej, wypieczone na jej twarzy rumieńce i oczy błyszczące, jakby przestraszeniem i niepokojem, zdradzały, że dusza silnie poruszona została.

Nie dowiedziała się od niej nic krajczyzna, gdyż uklękła zaraz na modlitwę.

We czwartek spokojniej było na zamku, po odjeździe kilku Francuzów, a żaden poseł nowy nie przybył.

Król przestrzeżony przez cały dzień ten udawał beczynnego i obojętnego, ruch około niego ustał, Francuzi siedzieli spokojnie, niektórzy z nich spali na zapas może, aby późniejszą bezsennością lepiej mogli wytrzymać.

Na mieście pomimo to, raz rzucona wieść że król uciekać chce, uporczywie się utrzymywała.

Okolo domu Sederyna krążyli ciekawi, na zamek zaglądali inni, szukano pozorów, aby się tu dostać, podsłuchać i podpatrzeć coś.

Larchant kapitan straży o ile mógł i umiał nie dopuszczał tu gawiedzi.

Przez cały dzień ten Tęczyński prawie nie odstępował króla. Trwożył się jakoś, przeczuwał czy go zaniepokojono, lecz okazywał się tak ciągle czujnym, niedowierzającym, że król pod wieczór zaczął mu czynić wymówki.

— Mój hrabio — rzekł do niego — nieufność względem mnie, innym być może przebaczoną, ale nie wam. Dałem wam tyle dowodów życzliwości mojej, iż mi trochę wierzyć powinniście. Zkąd ten niepokój? posadzacie mnie.

— N. Panie — zawołał Tęczyński — ja mam w was nieograniczoną ufność, słowo wasze dla mnie święte... lecz mimowoli ulegam temu co mnie otacza. W mieście niewysłowiona panuje trwoga, senatorowie jej ulegli. Ślą do mnie, dowiadują się, niepokoją.

Król, który śmiechem — bo mu się łatwo zdobyć było na niego — zbywał najczęściej wszystko, rozśmiał się głośno.

— Co za dziwactwo! — zawołał.

Ale wnet rozmowa się zwróciła dziwnie.

Tęczyński niedawno przedtem darował był pięknego konia królowi.

— Bardzo żałuję, że go jeszcze nie mógł spróbować — rzekł Henryk — ale w tych dniach nie miałem ani godziny swobodnej. Wytrzymały on jest?

— Jak wszystkie nasze i wschodnie — zawołał Tęczyński — nie wymagają one zbyt-
nich starań, a często niemal samą wodą żyć umieją.

Nasi żołnierze zmuszeni w stepach wyschłych ścigać Tatarów, zimą czynić wycieczki, gdy strzechami domostw konie żywić potrzeba, muszą mieć też pod sobą szkapy tak wytrzymałe jak oni.

Zawczasu król ziewać począł, skarżył się na znużenie, i Tęczyński go do sypialni odprowadził. Tu już służba czekała na niego. Henryk położył się do łóżka. Podkomorzy tak był jeszcze niespokojny i strwożony, że dnia tego nie odjechał do domu i kazał sobie ladajką pościel rzucić w zamku na dole.

Do późnej nocy zasnąć nie mógł, zrywał się potem ze snu razy kilka i do dnia był na nogach.

Lecz cała ta trwoga okazała się próżną. Król wstał o zwykłej godzinie — nic nie zwiastowało, aby podejrzenia były uzasadnione.

Tęczyński znacznie się uspokoił.

Inni panowie trwali i w podejrzeniach i w obawie.

Biskup Karnkowski jak świt przysłał na zamek do podkomorzego, domagając się wiadomości o królu.

Henryk wstał dnia tego z pogodniejszą twarzą, weselszy i widocznie usiłował zadać kłam rozsianym pogłoskom.

Villequier przyszedł rano zafrasowany.

— Wszystko przygotowane — rzekł do króla — ale pomimo naszych starań, abyśmy po sobie nie dali poznać że się gotujemy uciekać, ktoś nas zdradzić musiał. Sederyn powiada, że senatorowie na noc domagają się straży przy zamku po wszystkich furtach. Tęczyńskiemu pokoju nie dają, czyniąc go odpowiedzialnym za wszystko.

Lękam się...

— Bądź co bądź — przerwał król niecierpliwie — co postanowiono trzeba spełnić. Dziś w nocy musimy uchodzić, jeden dzień dłużej, a wszystko się wyda.

Błąd popełniliśmy, iż tej nocy nie uszedłem. Idź, gotujcie się, to moje ostatnie słowo. Dziś.

I król słuchać już nie chciał swego ulubieńca, który odszedł zmieszany.

Po Villequier, Souvray przybył z tem samem doniesieniem i taką samą dostał odprawę.

Henryk zagryzał usta gniewny.

Pora obiadowa nadeszła, król jadł sam, paziowie mu posługiwali.

Zatopiony w myślach siedział niewiele mogąc wziąć do ust, gdy usłyszał chrząkanie od progu.

We drzwiach stał w fartuchu białym, z twarzą niewiele od niego różniącą się barwą kuchmistrz, którego król odziedziczył po Jagiellonach, pan Franciszek Allemani.

Zjawienie się niepowołanego przed oblicze królewskie mogło zdziwić zaprawdę. Musiał bowiem wtargnąć przebojem mimo służby.

Krół podniósł ciekawe oczy ku niemu. Sądził że przychodzi z jaką skargą na Francuzów, bo te się często trafiały.

— Co ty tu robisz? — zapytał król marszcząc się nieco. — Chcesz bym ci za obiad podziękował, którego nie jadłem.

Allemani dziwną twarz ułożył, bojaźliwie się oglądając dookoła.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się przystępując bliżej. — Najjaśniejszy panie, proszę o przebaczenie, sądzę że obowiązkiem moim było przestrzedz.

— O czym?

— Nie mówię o tem że na mieście, ale w kuchni i po zamku wszyscy rozgadują, że W. Król. Mość masz dziś nocą ujść z Krakowa!

Zzymnął się król z początku i rzucił gniewnie, ale natychmiast przyszedł do siebie, spojrział ostro na kuchmistrza i śmiać się zaczął.

— Dziękuję ci za przestrozę — odparł obojętność udając. — Tymczasem jednak proszę, abys obiad na jutro przygotował jak zwykle.

Allemani, uspokojony czy nie, miał odchodzić, gdy, choć to nie jego była godzina, wpadł Tęczyński.

— Najjaśniejszy panie — zawołał od progu — w mieście popłoch i żal okrutny. Wszyscy twierdzą, że chcesz nas porzucić i odjechać potajemnie.

Trwoga niezmierna.

Krół wstał od stołu posępny i z wyrzutem się zbliżył do podkomorzego.

— Mój hrabio — odezwał się poważnie — ludzie rozsądni jak wy nie mogą temu dawać wiary. Wiecie co rada senatorów postanowiła. Co się tyczy głupiego tłumu gawiedzi, która nie wie co plecie, dajcie jej pokój. Nie dbam o plotki, a idzie mi o dobre imię.

Tęczyński zdawał się uspokojonym i podziękował królowi.

— Bądź co bądź — rzekł — ponieważ pogłoski się szerzą a umysły burzą, muszę iść upewnić i zabezpieczyć lękliwych.

— Idź, mój hrabio — rzekł król — powiedz żeś się widział ze mną i co słyszałeś odemnie.

Po wyjściu hrabiego nadszedł Villequier i Souvray, oba dosyć niespokojni, potwierdzając to co mówił hrabia.

W chwilę potem przyłączył się do nich Larchant z oznajmieniem, że około wrót i bram stawiano wszędzie strażę.

Król spojrział na niego.

— Niemniej — rzekł stanowczo — com postanowił, spełnić się musi.

Larchant skłonił głowę w milczeniu.

— Będziemy szukać środków — rzekł i wyszedł.

Nadchodził wieczór. Król niespokojny przebiegał komnaty, to jednego, to drugiego ze swych dworzan przywołując i wyprawiając z cichymi rozkazami.

Zmierzchało gdy znowu powrócił Tęczyński, udając zupełnie uspokojonego, lecz nie mogąc zaprzeczyć się tego, iż drudzy senatorowie i miasto trwało w obawie.

— Ażeby raz was i wszystkich upewnić, że nie myślę wcale uchodzić — odezwał się król ziewając — zdaje mi się że najlepiej uczynię, gdy przy was pójdę do łóżka. Możecie pozostać na straży dopóki nie zasną, a spodziewam się wprędce zasnąć, bo jestem tem wszystkim znudzony i zmęczony.

Wkrótce potem wniesiono światło. Henryk kazał łóżko przygotować i w sypialni służbę zwykłą paziów postawić. Tymczasem spokojnie dość rozprawiał ze swym podkomorzym. Godzina do snu była zawczesna jeszcze, gdy na znak króla otworzono drzwi sypialni.

— Chodź ze mną — odezwał się do Tęczyńskiego.

U królewskiego łoża, którego firanki były rozsunięte, stali paziowie, którzy w nocy czuwać tu mieli, wedle zwyczaju. Król z gorączkową niecierpliwością, podzartowując sobie z bojaźni senatorów i Tęczyńskiego, zaczął się rozbierać i rzucił na łożo.

— Siadaj przy mnie — rzekł do hrabiego.

Mówili jeszcze chwilę o rzeczach obojętnych. Wtem wśród rozmowy, dosyć już ostygając, ujrzał Tęczyński, że król drzemać zaczął.

Odegrał komedię z wielką sztuką. Przebąkiwał coś niewyraźnie, słowa mu zamierały na ustach; powieki kleiły się i podnosiły, nareście opadły, usta otworzyły jakby mimowolnie, lekkie chrapanie słyszeć się dało.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, król spał.

Zupełnie już uwiedziony i spokojny podkomorzy podniósł się cicho, jak najmniej czyniąc szelestu, zwolna zasunął firanki, kazał w zwykłym miejscu ustawić światło, dwóch paziów posadził na straży, a sam na palcach wymknął się z sypialni, z zamku i udał do miasta.

Na zamku najgłębsze panowało milczenie, światła pogasły; służba zabierała się do snu.

Jeden pan Franciszek Allemani, który odprawiony szyderstwem przez króla odszedł nie zupełnie przekonany, a z natury był podejrzliwym, nie odszedł na spoczynek. Chodziło mu to po głowie, co w ciągu dnia widział i słyszał.

Uderzyło go, że Villequier, Souvray, Larchant, Miron i niejaki du Halle prosili wcześniej o wieczerzę, kazali ją sobie podać osobno, jedli i pili ciągle coś szepcząc i naradzając się, a natychmiast po skończeniu jej w różne strony rozchodzić się zaczęli z pośpiechem.

Ciekawy Allemani podglądał i niepokoił się wielce.

— Coś się święci — powtarzał w duchu — temu Francuzikowi dowierzać nie można. Wszyscy oni, począwszy od niego, kłamią bardzo zręcznie.

Coś się gotuje.

Poszedł obejrzeć się około wrót i bramy, wszędzie stały strażę, ale dowiedział się razem że Villequier, Miron i wszyscy, oprócz Souvraya, wysunęli się na miasto.

Allemaniemu zaręczał postawiony przez niego roztropny chłopak, że ci panowie nie musieli się w podróż wybierać, bo wyszli bez butów i bez ostróg.

— Jak gdyby butów i ostróg pod płaszczem nie można ukryć! — zamruczał Allemani, który ciągle jeszcze nie mógł się dać przekonać, że król uciekać nie myśli.

Jakieś przeczucie trzymało go na nogach.

Przypomniał sobie furtę nie zbyt strzeżoną i mało znaczną, która na Kaźmierz wychodziła. Poszedł sprawdzić, ale tu nie znalazł straży. Drzwi kute zaparte były drągiem i mocnym zamkiem obwarowane.

Wiedział że u burgrabiego były klucze. Świeciło jeszcze w oknie u niego. Allemani wszedł z pozdrowieniem. Nie chciał się zdradzić ze swem szpiegostwem, a pragnął czegoś dowiedzieć.

Burgrabia pacierze odmawiał, stojąc już w jednej koszuli.

Pan Franciszek go pozdrowił, byli ze sobą bardzo przyjaźnie.

— Gdybyście byli łaskawi klucza mi dać od furtki na Kaźmierz, mam sprawę do miasta — rzekł kłaniając się kuchmistrz.

Burgrabia przeżegnał się właśnie, kończąc pacierze.

— Ale ba! gdybym miał klucz, dałbym go wam chętnie — odparł — lichy nadało, że mi ten rozpustnik Suwra, czy jak się on tam zowie, który przy królu jest, tylko co go wyprosił. Powiada, że go jakaś mieszcza na wieczerzę w cztery oczy zaprosiła! O! ci Francuzi!

Allemaniemu ciarki poszły po grzbiecie.

— Masz tobie! — zawołał — Suwra! najpewniej dla króla.

Burgrabia jeszcze mu się uniewinniał i tłumaczył, gdy kuchmistrz już o furtę niespokojny, żegnał go, wyszedł co prędzej, i pośpieszył stanąć na straży.

Drąg założony na furtce dowodził, że Souvray nie korzystał jeszcze z klucza. Allemani postanowił ukryć się w ciemnym kurytarzyku, z którego furtę i drogę do niej przez podwórze prowadzącą dobrze widać było.

Serce mu biło żywo.

Nie lubił króla, a przywiązał się do Polski i dworu. Uciekać ztąd wydawało mu się zbrodnią nieprzebaczoną.

W zamku panowała cisza, którą zaledwie dalekie powolne stąpanie straży przerywało. Od miasta dolatywały dźwięki bijących zegarów. Allemani godziny już pogubił.

Noc była bardzo ciemna.

Stał już tu dosyć długo i zaczynał się namyślać, czy nie nadaremnie się trwożył, gdy ciche stąpanie kilku osób usłyszał. Ktoś szedł od zamku do furty. Allemani ustawił się tak, aby mógł widzieć jak najlepiej. Był pewien, że Souvray nadchodził i że nie był sam.

Zdała jak trzy cienie ukazały się niewyraźne trzy postacie.

W jednej z nich łatwo było poznać barczystego i silnego Souvray, drugiej Allemani nie umiał nazwać, ale był pewien, że królem być nie mogła, trzecia...

Pomimo płaszcza, mimo niezwykłego okrycia głowy, wzrost, ruchy, wszystko tak nadzwyczaj podobne było do Henryka, że Allemani ręce załamał. Gdy, idąc bardzo ostrożnie, oglądając się dokoła, zbliżyli więcej, kuchmistrz nietylko poznał już króla, ale stłumiony głos jego mógł rozeznąć. On to był! nie ulegało wątpliwości!

Trzy cienie z wielkimi ostrożnościami przysunęły się do furty, dwaj barczyści Francuzi odjęli drąg i baczenie, aby nie uczynić hałasu najmniejszego, złożyli go na ziemi.

Souvray dobył klucz z kieszeni, zwolna okręcił nim w zamku, drzwi się otworzyły. Król pierwszy lekko i pośpiesznie próg przeskoczył. Allemani słyszał zamykającą się furtę, chodzący w zamku klucz. Wszystko było skończone.

Przez chwilę Allemani tak zburzony był, że chciał krzyknąć i rzucić się na uchodzących, co niezawodnieby był życiem przypłacić musiał, lecz na myśl mu też przyszło, iż niekoniecznie wyjście z zamku nocne mogło oznaczać ucieczkę.

Wiedzieli wszyscy, że król miał kochanki w mieście, że nie jeden raz się do nich wmykał. Zrobić alarm nadaremny, króla sobie narazić, było nierozumnem.

Co teraz miał począć?

Pot kroplami spadał mu z czoła.

Namyślił się.

Miał na sobie suknie jeszcze, jak stał zwrócił się nazad do burgrabiego, który już do snu się zabierał.

— A wy tu jeszcze, Signor Allemani? — zamruczał stary dosyć kwaśno.

— Jak widzicie, powracam do was — odparł kuchmistrz. — Bądź co bądź, potrzebuję na miasto, otwórzcie mi którąkolwiek furtę, dajcie klucz jaki chcecie. Sprawa pilna, służba królewska.

Burgrabia na stole wśród mnóstwa rozrzuconych kluczy począł szukać pośpiesznie i naostatek podał Allemaniemu ogromny klucz, który mu inną furtę boczną miał otworzyć.

— Ale na miłość Bożą — dodał odprowadzając go do progu — zamykajcie za sobą i nie wpuszczajcie ani wypuszczajcie nikogo.

Zaledwie coś odpowiedział, kuchmistrz śpiesznym krokiem podążył ku furcie wskazanej. Otworzył ją z łatwością, lecz gdy próg przestąpił, dwóch ludzi wyskoczyło z obu stron z za przymurków i zaparło mu drogę.

Jeden z nich miał nawet latarkę przy sobie, i ogromną halabardę w ręku.

— A wy tu co robicie? — zapytał kuchmistrz.

— Postawiono nas na straży!

— Ale mnie wyjść nie możecie wzbronić — zawołał kuchmistrz — idę w pilnej potrzebie.

Ludzie znali go, bo należeli do służby zamkowej, nie odpowiedzieli nic.

— Szkoda, że nie od furty Kazimirskiej was postavili — mruknął Allemani — tambyście się byli może na co przydali.

Spuściwszy się szybko do miasta, dopiero na drodze pomiarkował niespokojny kuchmistrz, iż nie wiedział, gdzie miał Tęczyńskiego szukać. Do domu jego na Podwalu spory był kawał drogi na stare nogi. Nie miał jednak innego sposobu dostania się tam, jak pieszo i dosyć powoli.

U podkomorzego spało wszystko, ledwie się mógł dostukać. Narobił jednak takiego hałasu, że Tęczyński posłyszawszy go, w koszuli skoczył do okna wołając.

— Kto tam? czego?

Położył się do snu niespokojny i zaledwie drzemać zaczął gorączkowo, gdy Allemani go zbudził. Przeczuwał już coś złego.

— Allemani, do miłości waszej! Sprawa pilna, wstawajcie!

Bez namysłu podkomorzy przerwał mu ogromnym krzykiem.

— Król!

— Król uciekł! — odparł kuchmistrz.

Nie odpowiadając mu Tęczyński zbiegł na dół, otwarto drzwi, wszystka służba się zerwała.

— Koni! koni! — wołał podkomorzy, który szalał niemal.

Wybiegł w koszuli do Włocha.

— Możeż to być? — zawołał z rozpaczą.

— Widziałem na moje oczy króla wychodzącego furtą na Kazmierz ze Souvrayem i drugim Francuzem — odparł Allemani.

— Ale onże był?

— On sam.

Tęczyński ubierał się już rwiąc na sobie odzienie, dawał rozkazy poplątane, bezprzytomny, ludziom swoim dosiąć polecił koni i iść za sobą zbrojnym. Sam pochwycił oręż, ale jeszcze mu się wierzyć okropnej wieści nie chciało.

Dla Allemaniego zaprzężono wózek, aby go odwieźć do zamku, bo stary ledwie dyszał.

Czwałem biegł na Wawel podkomorzy. Tu wszystko spało w najuroczystszej ciszy i spokoju.

Tęczyński jak oszalały dopadł do ganku, pobudził służbę, kazał podać światło, i z niejaką obawą zbliżył się do drzwi sypialni króla. Zapukał.

Żadnej odpowiedzi.

Król mógł spać. Allemaniemu się przywidzieć mogło, budzić go postrachem po tak uroczysem poręczeniu nie śmiał Tęczyński. Wierzył królewskiemu słowu.

Zamiast więc dobijać się do sypialni, zwrócił się do znajomego sobie mieszkania Villequiera.

Zastał je puste. Nikogo!... a co więcej, wielu rzeczy brakło.

Villequier, myślał jeszcze, mógł się wymknąć na miasto. Zwrócił się do Souvraya. Nie było go także. Coraz niespokojniejszy biegł już do Mirona, nie zastał i jego.

Drzwi od mieszkania kapitana Larchant stały otworem, zajrzał tu i jego nie było na zamku.

Tęczyński przekonany, iż Allemani mówił prawdę, nie potrzebował już nic oszczędzać, nie oglądać się na nikogo. Zrobił alarm przywołując służbę a sam pobiegł do sypialni. Drzwi jej zamknięte były wewnątrz. Napróżno silił się je wyłamać.

Czasu nie chcąc tracić, okno w korytarz wychodzące wybić kazał i wpadł nareście do komnaty królewskiej.

Tu zastał wszystko tak jak odszedł, dwóch bladych paziów siedziało na swych miejscach u łoża na straży, paliły się świece.

Rozsunął firanki. Łóżko było puste.

Paziowie rzucili się mu do nóg, bo był tak wściekłym, iż się o życie swoje ułękli. Tłómaczyli się rozkazem króla. Zakazano im otwierać, aż pókiby dzień nie nadszedł.

W jednej chwili cały zamek roił się rozbudzonymi ludźmi.

Co pozostało w nim Francuzów, z obawy, aby w pierwszej chwili szału nie napadnięto na nich, pozabarykadowywali się w swoich mieszkaniach.

Tłum dworzan i czeladzi polskiej napełniał wschody, sienie, pokoje, dziedzińce.

Tęczyński bezsilny, zrozpaczony upadł na siedzenie, ledwie mając tyle przytomności, aby natychmiast rozesłać gońców do Zborowskich, marszałka i wojewody, do litewskiego marszałka, do biskupa kujawskiego, do wszystkich w mieście się znajdujących.

Noc była ciemna, konno poroższyłani ludzie pochwytili pochodnie i niosąc je zapalone puścili się na miasto.

Spotykanym ludziom, zapytującym z okien przestraszonym mieszkańcom krzyczeli.

— Król uszedł! król uciekł!

Co się naówczas stało w mieście, jaki alarm nagle poruszył je niewysłowioną trwogą i gniewem, tego opisać niepodobna. Wszystko się przyczyniało do powiększenia wrażenia, jakie ta wiadomość wyrzucić miała. Usposobienie wrogie mieszczan, obawy od dni kilku już szerzące się, godzina nocna, wrzawa, która dochodziła z zamku, przelatujące po ulicach złowrogie pochodnie, wszystko mnożyło zamieszanie.

Mnóstwo ludzi, nie wiedząc ani jak, ani dokąd króla gonić mają, zrywało się iść w pogoń na wszystkie strony, chwycić zbiega i jako więźnia i wiarołomcę nazad przyprowadzić.

W kilku kościołach domyślając się pożaru, nie wiedząc przyczyny alarmu i wrzawy, uderzono w dzwony.

Z panów senatorów, kto mógł tylko na pół odziany przybywał na zamek. Nie chciano wierzyć wiadomości... rozpacz tych, którzy zamek zastali pustym, była okropna.

Wszyscy ci, którzy dotąd króla bronili i opierali się przedsięwzięciu środków ostrożności, pokutowali teraz za zbytne swe zaufanie.

Na biskupa kujawskiego, na Tęczyńskiego wpadli inni, wyrzucając im opieszałość, a nawet zdradę.

Tęczyński nie umiał się tłómaczyć, nie chciał się uniewinniać — ludzie czekali w podwórku, natychmiast puścił się w pogoń za królem.

Łatwo się było domyśleć, że Henryk jak najkrótszą drogę do granicy cesarstwa wybierze.

Chciano przytrzymać Pibraka, którego nie bez przyczyny za współwinowajcę miano, lecz Guy już był ujechał także. Z Francuzów pozostali tylko ci, którzy pod rozkazami byli, a nigdy żadnych nie wydawali. Wszyscy króla ulubieńcy znikli.

Tęczyński z zamku wprost puścił się na miasto i pędził już ku przedmieściom, gdy ujrzał postać jakąś, jak mu się zdawało niewieścią, z krzykiem zastępującą drogę. Wybiegła ona z kamienicy i zuchwale rzuciła się na konia jego, tak że podkomorzy, choć wrzący gniewem i zniecierpliwiony, zatrzymać się musiał.

W istocie stała przed nim kobieta z rozpuszczonemi na ramiona włosami, w płaszczu białym, tak jak się z łożka zerwała.

— Król! król! gdzie jest król? Co się stało z królem? — krzyczała chwytając Tęczyńskiego i trzymając go zrozpaczona.

— Król uciekł! — odparł Tęczyński — puszczaj mnie! puszczaj!

— Panie! na Boga! — przeraźliwym głosem poczęła kobieta — weź mnie z sobą... Siadam na konia! daj mi konia! Ja za nim muszę! ja z nim muszę!

Odepchnął ją ze wzgardą i gniewem podkomorzy.

— Precz! precz! stratuję cię koniem. Ustąp!

W chwili gdy kobieta padła na ziemię, sobą mu zapierając drogę, koń Tęczyńskiego skoczył... krzyk tylko dał się słyszeć. Tatarowie, których miał z sobą, popędzili z nim razem. Kobieta zemdlna pozostała na ulicy.

Królowna Anna, która i tego dnia jeszcze napróżno się spodziewała odwiedzin króla, odmówiwszy modlitwy z krajczyną, po smutnej z nią rozmowie, udała się na spoczynek.

Niepokój, który od dnia odebranej wiadomości o śmierci króla Francji opanował umysły, dał się też czuć Annie. Nadzieje jej powoli rozwiewały się, pelzły, niknęły.

Napróżno przyjaciółki starały się ją w nich utrzymać; nie sprzeciwiała się, ale nie słuchała ich już prawie.

W pierwszym śnie królowna właśnie widziała przed sobą siostrę Katarzynę, wiodącą za rękę synaczka Zygmunta, który się jej uśmiechał, gdy wrzawa jakaś na zamku ją zbudziła.

W ciemnych oknach przeleciały jakieś światła pasy, jakby w podwórcach z ogniem ludzie biegali.

Żalińska twardym snem spała obok w drugiej komnacie. Anna zbudzona nagle, usłyszawszy wrzawę, ulękła się pożaru. Pamiętała, że zamek kilkakrotnie palił się za ojca.

Krzyknęła przestraszona.

Z dwu stron wbiegły ze świecami ochmistrzyni i krajczyna, która jeszcze ubrana była, bo ją alarm zastał nad listem od księżnej brunświckiej. Miała już czas wybiedz na kurytarz i dowiedzieć się o pogłosce, iż król uszedł.

Zdawało się to jednak krajczynie takim niepodobieństwem, tak niemożliwą i straszną rzeczą, że nie śmiała powtórzyć Annie o czym ją uwiadomiono.

Poczęła uspokajać tylko.

— Królowo moja — rzekła — już od dwóch dni plotą ludzie niechętni, nieprzyjaciele królewscy, że miał zamiar uciekać. Wiadomo, że mu się to ani śniło, ale zrobiono w nocy trwogę, wpadli senatorowie...

Wszystko to się wyjaśni i za chwilę uspokoi.

Krajczyna w istocie uwierzyć prawdzie nie chciała.

Anna z różanicem w ręku, drżąc zwróciła się do Żalińskiej.

— Idź, proszę cię, niech wiem prawdę. Wśród nocy, w pierwospy żeby się ważono na królewskim zamku na taką trwogę uderzyć! Niesłychana rzecz, powadze majestatu uwłaczająca.

Żalińska także do siebie przyjść nie mogła.

Pośpieszyła się przyodziać.

Krajczyna nie odstępowała już Anny, którą niepokój przejmował coraz większy. Chciała wstawać, ale Łaska jej nie dozwalała. Upierała się niewierzyć.

Długimi wydały się te minuty kilkanaście, które na powrót Żalińskiej oczekiwać musiano. Zeszła ona aż na dół i wpadła tam w taką ciźbę i zgiefk, iż się z początku nic dopytać nie mogła.

Znalazł się szczęściem nadbiegający już Koniecki, który był wszystkiego świadomy.

Nie było wątpliwości. Ochmistrz widział sypialnię pustą, słyszał co opowiadano o ucieczce. Allemani sam mu potwierdził co powiadano.

Szli więc nazad do królowej, która się ubrała naprędce i otoczona całym dworem stała jak ślup, nie mogąc jeszcze zebrać myśli.

Kobiety jedne płakały, drugie starały się ją pocieszać, ale jednych ani drugich nie słyszała.

Krajczyna głośniejsze nad inne powtarzała.

— Ale cóż znowu tak nadzwyczajnego! Nie chcieli króla wypuścić, pojechał i powróci. Korony tak, której poprzysiągł, nie porzuci i nie zrzecze się.

Patrzyła w oczy Annie, która nie spojrzała na nią.

Tymczasem z dołu to ten, to ów przybiegał z wiadomością o senatorach, którzy się zbierali, o pogoni, która miała wyjść za królem.

Wiedziano już, że Tęczyński się natychmiast wybierał pędzić za uciekającym.

Nikt już tej nocy nie pomyślał do łóżka powracać, i rozedniało rychło, a dzień znalazł miasto w stanie takiego zburzenia, jak gdyby nieprzyjaciel mu zagrażał.

Gawiedź coraz się okrutniej rozpalala przeciw królowi, przeciwko Francuzom.

Pierwszym skutkiem tego poruszenia było, że kupa czeladzi rzemieślniczej, prowadzona, jak się zdawało, przez kilku zamkowych dworaków, napadła na dom Sederyna, spodziewając się tam znaleźć Francuzów. Ale wrota znaleziono zamknięte i od dziedzińca mocno obwarowane, a okna żelaznymi okiennicami z wewnątrz pozabezpieczone.

Nie pomogło to. Zaczęto z drągami żelaznymi zbiegać się, aby wrota podważyć i choćby mur rozbijać.

W końcu, jak się łatwo było spodziewać, brama nie wytrzymała i pospólstwo się wdarło do Starej Mynicy.

Francuzi jacy tu byli czas mieli tyłami zbiedz i schronić się na zamek, a Sederyn, także nie czując się bezpiecznym, zniknął.

Gawiedź rozsypała się po izbach i śpichrzach plądrując, niszcząc, łamiąc i gruchocząc co napadła.

Z ludzi, oprócz miejscowej służby, nie znaleźli nikogo, na kimby mogli zemstę wywierać.

Mienia też Francuzów pono tu już nie było, i Sederynowe zapasy odpokutowały za jego miłość dla Francji.

Gdziekolwiek oprócz tego w mieście o Francuzach zasłyszano, gdzie się ich domyślano, wszędzie na domy napadano. Żadna siła ludzka tego zdziczałego od żalu i gniewu pospólstwa wstrzymać nie mogła.

Dość powiedzieć, że konno jadący co prędzej na zamek Karnkowski referendarz ledwie z życiem uszedł, bo go znając przyjacielem Pibraka, lud kamieniami obrzucił i konia raniono.

Biskup nawet w zamkniętej kolebce nie mógł się pokazać na miasto.

Oblegały tłumy domy Zborowskich i innych osób znanych ze stosunków z Francuzami.

Ci wszyscy niemal, przeczuwając co ich czeka, wczas jedni na zamek, drudzy do Lipomana posła weneckiego, do Dudycza i innych obcych musieli się schronić, szukając u nich opieki.

Niemożna było przewidzieć, aby się to rychło ukoilo, bo jak zawsze, gdy się lud zburzy, znaleźli się podżegacze, którzy go jątrzyli i podbudzali do gwałtów.

Długo tajona niechęć do Francuzów teraz się swobodnie rozpasala.

Po gromadach skupionych w Rynku słyhać było mowców wykrzykujących, którzy na próżne beczki albo na przekupek stolki wdrapawszy się, na króla i senatorów wymyślali.

Naprzeciwko Panny Maryi stał jeden, który gardło zrywał dowodząc, że z tego *Króla Nocy* nic nigdy dobrego być nie mogło.

— Ślepe Mazury go *po nocy* królem okrzyknęły — mówił — *po nocy* go koronowano i *nocą* też uciekł.

Nietoperz to a nie król.

Piasta nam potrzeba było a nie takiego przybłądy z za morza, nieznanym belkoczącego językiem.

Czemu go zaraz nie ożenili panowie senatorowie? którzy się dali pieniędzmi przekupić i krew Jagiellońską mu sprzedali. Gdyby sie był z królową ożenił, byłaby go ona umiała utrzymać. Ją trzeba było obrać królową, a chciałby mieć koronę, niechby ją był wziął.

Dalej ku ratuszowi gorzej było...

Tam na stolnicy, którą na fasach ustawiono, czeladź rzeźnicza zrobiła sobie teatrum.

Występował na niem z cienkimi jak patyki nóżkami, w śmiesznym stroju z jakichś oberwanych sukna kawalków niby król, Henryka przedrzeźniająca karykatura.

Chłopiec udający go wywijal się, kłaniał, brał w boki, tańcował, a gawiedź śmiała się do rozpuku.

Ta lalka tak się podobała, że do niej zaraz kilka innych się przyłączyło. Drugi udawał Psubrata (Pibraka), inny Souvraya. Znalazł się naostatek grający rolę francuzkiej dziewczyny, bez której się naturalnie obejść nie mogło.

Ale to było tylko zabawką, gorzej na bocznych ulicach się działo, gdzie do domostw szturmowano, domyślając się w nich schronienia Francuzów. Nie schwytano ludzi, bo ci przestraszeni życie ratowali ucieczką do zamku, po klasztorach i dworach posłów, ale mienia już jak do wyjazdu poukładanego, rozchwymano dużo.

Wśród tego rozruchu, który ani panowie, ani burmistrz i starszyzna nie mogli uspokoić, zmuszając tłumy aby się rozeszły, znalazł się Talwosz zbudzony zawczasu.

Równy z innymi miał do Francuzów i do króla niechęć wielką, ucieczka go napęliła gniewem, ale nie widział do czegooby mogło doprowadzić wicherzenie i krzyki uliczne.

Próbował więc przemawiając do najbardziej rozjątrzonych nakłonić ich do uspokojenia. Nikt nie słuchał.

Błądził po ulicach przypatrując się temu co się gdzie działo, razem z kilku dawnymi towarzyszami i znajomymi do służby królewskiej należącymi — gdy Tęczyński wyleciał jak piorun z zamku ze swymi Tatarami i służbą. Stanęli aby się dowiedzieć dokąd i po co tak śpieszył, gdy o kilkanaście kroków od Talwosza kobieta owa z krzykiem się rzuciła chcąc podkomorzego zatrzymać.

Usłyszawszy głos jej Talwosz zadrżał. Począł zaraz rozpychając tłum biedz ku temu miejscu, w którym Tęczyński się zatrzymał, gdy padła na ziemię i cały oddział podążający za panem przeleciał za nim, czy tratując leżącą na ziemi, czy wymijając ją, tego nie mógł dostrzedz Litwin.

Litością zdjęty, gdy już w ulicy nie było przy leżącej kobiecie nikogo, nadbiegł, chcąc ją ratować.

Chociaż noc była bardzo ciemna, pochyliwszy się nad zemdloną, Talwosz o mało nie krzyknął, poznając w niej Dosię Zagłobiankę.

Leżała biała, martwa, tak jak bez życia... ale krwi i ran nie mógł dostrzedz.

Drzwi domu, z którego wybiegła zastępując drogę Tęczyńskiemu, stały otworem jeszcze, gdy inne wszystkie były pozamykane, bo właściciele kamienic obawiali się wszyscy zburzonego spóółstwa.

Z pomocą dwóch towarzyszków, którzy nadeszli, Talwosz podniósł z ziemi niedającą znaków życia dziewczynę, i kazał szukać w otwartym domu jej mieszkania a światła.

Wybiegli też zaraz gospodarze z kagankiem i Zagłobiankę we trzech dźwigając zupełnie odrętwiałą i martwą, po wschodach zaniesiono do izb, które na piąterku zajmowała.

Gospodyni napróżno oblewając ją wodą ocucić chciała z omdlenia. Zdawało się, że życie z ostatnim krzykiem rozpaczy z niej uciekło.

Talwosz jednak upierał się ratować i jednego z towarzyszków posłał po lekarza, a sam co tylko mógł wymyśleć próbował dla przywrócenia jej zmysłów.

Długo wszystkie te usiłowania były próżnemi, a wyprawiony po doktora tak długo nie wracał, iż drugiego przyjaciela za nim wysłać musiał Litwin, sam jeden z Dosią pozostając.

On i zrozpaczona a rozplakana stara gospodyni pracowali tak dobrze około zemdlalej, iż w końcu życie jej powracać zaczęło.

Konie leżącej wśród ulicy szczęściem nie zgnioty, czego się Talwosz obawiał, omdlenie było skutkiem wzruszenia jakiego doznała.

Zaledwie otworzywszy oczy i oprzytomniawszy, Zagłobianka gdy przypomniała sobie co ją tak przeraziło, zerwała się z krzykiem z łóżka i padła na nie bezsilna.

Talwosz począł ją, jak umiał pocieszać i uspokajać. Rozlała się cała we łzy i jęki.

Mówił jeszcze do niej, gdy się zerwała.

— Król? król? co się z królem stało? To nieprawda! Nie mógł ujść!

Załamala ręce.

Litwin nie wiedział sam co miał odpowiadać.

Przypadła do niego z rękami zaciśniętymi, błagając.

— Król? powiedz mi co się z nim stało? Ci źli ludzie, ci nieprzyjaciele jego, oni gotowi...

— Królowi się nic stać nie mogło — odparł Talwosz — bo uszedł z wieczora i już go ani Tęczyński, ani nikt nie dogoni.

Dosia słuchała, patrząc osłupiałemi oczyma.

— Król, król uszedł? — przerwała — może to być?

— Cały zamek splądrowano, niema wątpliwości, nie znaleziono go nigdzie.

Zagłobianka oczy wlepiła w ziemię. Łkanie ustawało, bo gwałt sobie zadawała. Wargi powtarzały szepcząc — Król... król uszedł...

Ani słowa... ani znaku życia... Na zawsze.

Dla Litwina, któremu serce się krajało, nie ulegało wątpliwości, iż ze wszystkich Francuzów król jeden ją tylko obchodził. Poskromił się, aby jej próżnych nie czynić wyrzutów.

Po chwili wróciła ślaniając się na łóżko i twarz kryjąc w poduszki, płakać zaczęła.

Ponieważ wysłani po lekarza nie powracali i mało się ich powrotu mógł Talwosz spodziewać, powierzwszy dziewczę gospodyni, zdawało mu się iż najlepiej uczyni, gdy ją samą zostawi.

Po cichu wysunął się z izby i zszedł w ulicę znowu, myśląc się udać na zamek i zobaczyć co się u królewnej działo.

Zdawało mu się że Dosia raz pierwsze wrażenie zwyciężwszy powoli do siebie przyjdzie i uspokoić się potrafi.

Przez Rynek i teraz jeszcze przebić się nie było łatwo, spokój w mieście nie powracał, kupy ludu krążyły po nim z krzykami, odgrażając się przeciwko Francuzom. Po drodze na zamek ciągle spotykał gromady takie rozjuszone, które kolebki senatorów zatrzymywały i żadnym słowem dobrem nie dawały się pohamować.

We wrotach zamku musiano silną straż postawić, aby cisnących się tam nie dopuszczała.

Hamowano ciżbę tem, iż królowa na zamku była i ją poszanować należało.

Jedno to imię teraz cokolwiek mogło rozbroić. Ci co się do zamku dostać nie mogli, oblegali go zewnątrz, nie chcąc i nie dając się rozproszyć.

Talwosz znajomy wszystkim, sam jeden się na zamek dostać potrafił.

Na górze zastał królową z dworem modlącą się. Koniecki uspokoił tem, że Anna wiadomość o ucieczce przyjęła nie okazując wielkiego żalu, a troszczyła się o to tylko, aby Francuzom krzywdy nie czyniono.

Ochmistrz, nie zbyt bystrego umysłu człowiek, domyślał się z tego, iż królowa może zawczasu wtajemniczona, o ucieczce wiedziała.

Litwin więc nie miał tu co robić i zszedł na dół, gdy Konrat, jeden z tych dwu, których posłał po lekarza dla Doroty, nadbiegł zdyszany i porwał go za rękę.

— Doktora nie napytałem nigdzie — krzyknął do Talwosza — ale bodaj go już nie będzie potrzeba.

Byłem tam, aby wam oznajmić iż żadnego nie znalazłem, a trafiłem na to, gdy ta twoja dziewczka, właśnie czyjaś szpadę porwawszy i utkwivszy ją przy ścianie, sama się nią przebiła.

Leży krwią oblaną i już nie wiem czy żywa.

Ledwie dosłuchawszy Talwosz, wypadł szukając konia, sam nie wiedział komu go z rąk w podwórzu wychwycił i skoczywszy na siodło, cwałem popędził, aby przekonać się, czy jeszcze nieszczęśliwej ratować nie będzie można.

Na górze zastał tłok ludzi i zawodzące kobiety, podłogę całą krwią zbroczoną, a Dorotę na pościeli i przy niej doktora, którego przypadkiem z ulicy ściągnięto.

Pierś była pod żebrami głęboko przebita, rana straszna, upływ krwi ogromny, ale dziewczę żyło jeszcze, a lekarz, mimo oporu jej, bo ręce kobiety musiały trzymać tak się wyrzywała, tamował już krew i zawiązywał ranę.

Talwosz w milczeniu stanął nad lożem. Spojrzał pytająco na lekarza, który mu wątpliwym odpowiedział znakiem.

Ponieważ człowiek był młody i nieznany, a z ubioru w nim Niemca poznał Litwin, dobył co miał pieniędzy i wcisnął mu je zapewniając go, iż dobrze wynagrodzony zostanie, byle nie opuszczał nieszczęśliwej.

— Królowa Anna, której ona była służką — poszepnął doktorowi — pewnie się zajmie jej losem. Ja powracam na zamek, aby się postarać o to, wy tymczasem róbcie co można, aby jej ocalić życie.

Z pomocą gospodyni rozpędziwszy potem ciekawych, Talwosz powrócił do konia i pognał na zamek.

U królowej zastał płaczącego biskupa chełmskiego. Poczciwy staruszek, gdy mocniej wzruszonym był, zawsze musiał ulżyć sobie rzewnymi łzami.

Dał znak stary sługa królowi, iż chciał mówić z nią; wyszła zaraz do niego.

— Znalazłem Zagłobiankę — rzekł żywo — przychodzę dla niej prosić o opiekę i miłosierdzie. Biedna dziewczyna dowiedziawszy się o ucieczce Francuzów, przebić się chciała... raniła się niebezpiecznie. Niema komu czuwać nad nią.

Spojrzał, królowa Anna złożone ręce trzymała przy ustach słuchając go.

— Gdzie ona jest?

— Nie można jej na zamek przenieść? Lękam się aby sama sobie zostawiona, życia nie próbowała znowu odebrać.

— Gdzie ona jest? — powtórzyła Anna.

Królowa powołała krajczyńnię.

— Róbcie co można, ocalić potrzeba biedactwo! — zawołała wskazując jej Talwosza.

Pani Łaska podzielała uczucia królowej i z gorącością wielką wzięła się do spełnienia jej rozkazów. Zaprzężono kolebkę, wybrała się zaraz z Litwinem do Dosi, ale przed nocą nie można było przez pełne tłumów ulice przewieźć jej na zamek.

Najmniejsza rzecz drażniła gawieź, a ranna kobieta, w którejby się ofiary Francuzów domyślano, mogła wywołać nową burzę.

Dopiero więc ciemną nocą, małemi uliczkami mogła krajczyzna niepostrzeżona z chorą się dostać do zamku.

Doktor zaręczał, że życie jej ocalić może, jeśli nowym jakim porywem nie zaszkodzi sobie. Ale w komorze przy mieszkaniu królowej, w której Dorotę położono, Anna kazała straż pilną trzymać u łóża.

Po wyjeździe Tęczyńskiego długo żadnej pewnej wiadomości o królu nie było.

Co godzina prawie ktoś inną i sprzeczną przywoził. Niepewność ta trzymała miasto i panów senatorów w gorączce, której nic ukoić nie mogło.

Z najrozmaitszych źródeł przybiegały wieści, które zdawały się prawdziwymi, dopóki nowe a całe różne nie nadeszły.

Zrana opowiadano, iż Tęczyński zdołał króla pochwyć, uprosić czy zmusić do powrotu, że król był tak jak więźniem podkomorzego i z nim razem zbliżał się do Krakowa.

W kilka godzin potem najpewniejsze posły przybiegały z nowiną, iż król zbiegł, a Pi-braka tylko po drodze schwytano i odarto.

Francuzów też kilku, którzy się ze strachu na różne strony porozbiegali, w pierwszej chwili popłochu, poobdzieranych, pieszo przyprowadzano po jednemu do Krakowa, zbiedzonych, głodnych i wściekłych.

Uspodobienie mściwe względem Henryka i Francuzów ten wywołało naprzód skutek, iż wszystkich oczy zwróciły się na królową Annę.

Publicznie wyznawano błąd ten, iż ją jak Jadwigę nie wybrano królową, zobowiązując elekta aby ją poślubił.

Nie widziano teraz innego ratunku nad Infantkę, w niej była wybawienia nadzieja.

Mówiono o tem głośno, tak głośno, iż ciągle na górę do Anny dochodziły te spóźnione żale, które ona smutnym, zrezygnowanym przyjmowała uśmiechem, chłodnym i obojętnym.

Nie miała już żadnych nadziei, nie chciała ich mieć, aby potem nie oplakiwać, a powtarzającej z rozrzewnieniem krajczyńnej te życzenia senatorów i szlachty odpowiadała potrząsając głową w milczeniu.

Myślała o siostrzeńcu Zygmuncie.

Dla siebie przestała marzyć o czemkolwiek... dla krwi swej tylko tron utrzymać pragnęła.

Zygmus, Zygmus modlący się po polsku stał przed jej oczyma. Gotową była rzec się wszystkiego dla niego.

Pomiędzy senatorami zdania i przewidywania były bardzo różne.

Jedni jeszcze się spodziewali porozumienia z Henrykiem i powrotu, drudzy natychmiast gotowi byli ogłosić tron opróżnionym i zwołać wybory nowe.

Niektórzy obawiali się, aby lekkomyślny Francuz roszczęcy sobie prawa do korony, chociaż sam ją porzucił tak haniebnie, nie chciał frymarzyć nią z cesarzem lub innym jakim księżęciem.

Wstrzymywano się jednak z wyrokowaniem o tem co czynić należało, dopóki by Tęczyński nie powrócił.

Królowi Henrykowi po wymknięciu się jego furtą Kazimirską niebardzo się wiodło szczęśliwie, czemu się dziwić nie można, bo zuchwale i nie zbyt starannie obmyślana była ucieczka.

Villequier, Pibrak i inni Francuzi mający królowi towarzyszyć, przodem się przed nim wymknęli i mieli na niego czekać po drodze. Wychodząc miał z sobą tylko Souvraya, Larchanta, Mirona i du Hallea.

Żaden z nich, choć tu już przebywali od kilku miesięcy, nie znał tak dobrze miasta i okolicy, aby wśród bardzo ciemnej nocy, przy pośpiechu i obawie, pewnym był iż nie zbłądzi.

Król biegł niezmiernie żywo i nagił.

Zaledwie uszli kilkanaście kroków, gdy tuż za sobą usłyszeli przyśpieszonym biegiem idącego kogoś, który się zdawał w ślad iść za nimi. Henryk a z nim wszyscy dobyli szpady, gotowi się bronić; sądzili, że ich już Polacy gonią. Dosiadali właśnie koni. Wśród ciemności dopiero nadbiegającego już na nich poznali Francuza d'Ermenville, który, chociaż nie wybrany do orszaku króla, przypadł zaklinając i prosząc, aby go wziął z sobą.

Henryk właśnie dosiadać miał konia, który tak był gorący, kręcił się i spinał, iż po kilkakroć napróżno się chciał dostać do siodła.

— Nastraszyłeś nas — zawołał do nadchodzącego — siadaj na koń, a prędzej. Nie mamy czasu do stracenia.

Koń królewski tymczasem tak dokazywał, że Souvray musiał podać mu klacz świeżo podarowaną przez Tęczyńskiego!

Los tak chciał, aby na niej zbiegł Henryk i zdradził tego, który mu ją ofiarował.

Villequier, Pibrak i kilku innych, z przewodnikami, których miał dać Sederyn, oczekiwając przyrzekli przy figurze nad drogą, u zrujnowanej kapliczki, z obrazem matki Boskiej.

Ale ani Villequier, ani Pibrak, a co gorzej, przewodnicy też się nie znaleźli na miejscu.

Czekać? nie było podobieństwa, czas upływał, król pierwszy ofiarował się jechać na oślep w kierunku ku granicy, spodziewając się, że go albo napędzą, lub się gdzieś z nimi spotka.

Noc chmurna i ciemna z trudnością nawet wybitą drogę znaleźć dozwalała.

Kilkanaście zaledwie kroków ubiegłszy król i towarzysze jego ugrzęźli w błocie, z którego ledwie się wydobyć potrafili.

D'Ermenville pobiegł szukać gościńca i udało mu się go znaleźć. Puścili się czwałem, gnając konie bez miłosierdzia, a jazda ta szalona, w milczeniu, wśród ciemności, około dwóch godzin trwała.

Las stał czarny przed nimi, a w nim dróg krzyżowało się kilka. Niepewność którą obrać. Souvray najszerzej wybitą wskazał, ale ta prowadziła do porębu, z którego drzewo budulcowe wywożono. Nagle, obalonych kilkanaście ogromnych sosen, kłody, pnie i gałęzie nagromadzone zaparły dalszą drogę.

Król zmęczony, podrażniony, zeskoczył z konia. Souvray i Larchant pieszo także poczęli błądzić, starając się wyszukać nową jakąś ścieżkę.

Szcześnie natrafili na chałupkę węglarza; ale dosyć hałaśliwie i orężem pobrzękając gdy się do niej zbliżyli, strwożony biedaczysko skoczył na wyżki, skrył się na nich i drabinę wciągnął za sobą. Larchant aby się do niego dostać musiał szturmem brać chałupę.

Porwanego biedaka przyprowadzono przed króla, który mu obiecywał nagrodę znaczną, byle im dalszą pokazał drogę.

D'Ermenville wziął na konia węglarza, wyjechał naprzód... pędzono czwałem znowu.

Zaczynało dnieć, gdy dzięki przewodnikowi dostali się do Zatora.

Wzruszenie, szybka jazda nocna, obawa pogoni nieustanna, niepewność co począć dalej, brak przewodników, zabłąkanie się Pibraka, króla Henryka, rozpieszczonego i nie

nawykłego do takich wysiłków, tak znużyły i odjęły mu siły, że choć pośpiech był konieczny, zwątpili towarzyszący mu czy dalej wydoła.

Złamany jazdą konną, chociaż na pół omdlały, kazał sobie skronie natrzeć winem, napił się go trochę i musiał siadać aby pędzić znowu, bo każda chwila niebezpieczeństwo zwiększała.

Droga do Oświęcimia dniem i gościńcem większym, stosunkowo była już łatwiejszą.

Tu naostatek znaleźli się straceni Villequier, Pibrak, Caylus, Beauvail i Nangis, stanowiący resztę gromadki. Potrzebowali oni tu spocząć, gdyż przebyli także nocą przygód i utrapien wiele. Król nie zatrzymując się dla nich, z Souvrayem, Larchant i du Halle popędził dalej natychmiast.

Wszystkie te zwłoki tyle czasu zabrały, że chociaż król o trzy godziny wyprzedzał Tęczyńskiego, pogoń zbliżyła się i groziła. Słyszano ją już nadciągającą. Villequier i Pibrak ledwie mieli czas skoczyć na konie i ukryć się w pobliskim lesie; inni ruszyli doganiać króla, aby mu być pomocą.

Miron jadący przodem, krzyczał na całe gardło.

— Prędziej! prędziej!

Nie mogąc zdyszany nic więcej wymówić.

Souvray, który za królem jechał na ostatku, zatrzymał się posłyszawszy wołanie i począł pytać Mirona co się stało.

Prerażony doktor nie zatrzymując się, krzyknął.

— Cała Polska goni za królem... nadjeżdżają... pędzą... Villequier i Pibrak wzięci w niewolę.

Tymczasem król strwożony nie zatrzymując się, z Larchantem i du Hallem pędził ciągle co konie mogły wyskoczyć.

Na drodze tuż za Oświęcimiem most na rzeczce Souvray kazał rozrzucić, ażeby goniących zatrzymać.

Zbliżał się tymczasem coraz Tęczyński, który z licznego orszaku po drodze zgubił część większą, wiele koni padło, inne ustały ze znużenia. Podkomorzy tylko z kilku po tatarsku ubranymi i uzbrojonymi ludźmi biegł, co chwila się zbliżając i zyskując pośpiechem na królu.

Do Oświęcimia dobiegł właśnie, gdy oni wyjeżdżali z miasteczka. W Oświęcimiu Tęczyński zaalarmował ludność, kazał zawołać starostę i zażądał świeżych koni, gdyż te, które miał, już dalej iść nie mogły.

Podstarości dowiedziawszy się że uchodzącym był król, puścił się natychmiast na przelaj bez drogi, i dopadł wkrótce do zburzonego mostu.

Tuż za nim widać było uchodzących Francuzów. Sądząc że pomiędzy nimi król się znajduje, puścił się wplaw do rzeki, wołając po łacinie.

— Najjaśniejszy panie! czego uciekasz? (*Serenissima Majestas, cur fugis?*)

Król zdaleka widząc brodzącego w wodzie z łaciną szlachcica, pomimo trwogi i znużenia nie mógł się wstrzymać od śmiechu, ale nie myśląc stanąć, biegł dalej.

Granica już była niedaleko, tam czuł się bezpiecznym. Przed nimi widać było Pszczynę.

Tęczyński na złamanie karku gonił Henryka, chcąc koniecznie go ubiedz; miał już przy sobie tylko czterech Tatarów z łukami i strzałami.

Postrzegłszy go coraz się zbliżającego Bellièvre, który miał parę pistoletów w olstrach, jeden z nich dał Larchantowi, drugi Souvrayowi.

— Brońcie się, panowie — zawołał — mnie szpada wystarczy.

Wtem Francuz poznał dobrze sobie znanego podkomorzego.

— Jako przyjaciel czy jako wróg przybywasz? — krzyknął do niego.

— Jako wierny sługa króla! — odparł Tęczyński.

— Każde Tatarom łuki spuścić, bo do nas mierzą! — zawołał Bellièvre.

Podkomorzy krzyknął na Tatarów swoich, ale musiał im powtórzyć rozkaz nim go zrozumieli i usłuchali.

— Souvray! — począł zwracając się do niego — na Boga! muszę z królem mówić!

Henryk stanął poznawszy Tęczyńskiego. Ten chciał zsiąść z konia, ale król kazał mu pozostać jak był i zbliżyć się.

Podkomorzy, pomimo całego poszanowania jakie miał dla króla, poruszonym tak był i rozpaczonym ucieczką, iż niebardzo mógł i umiał w początku ważyć słowa.

Silił się na to, aby nie wybuchnąć, lecz mimowoli wyrwały mu się wyrażenia, które tylko położenie nadzwyczajne i rozpacz mogła tłómaczyć.

Miłość jaką miał dla króla, pokładane w nim zaufanie, odpowiedzialność za ucieczkę jaka na nim ciążyła, Tęczyńskiego w szal niemal wprawiały.

— Najjaśniejszy panie — począł drżącym głosem — panowie senatorowie wysłali mnie za W. Król. Mością ogarnięci rozpaczą, iż nie zasłużyli na to abyś im zaufał i kraj ten umiłował, który cię za pana obrał.

Cześć nasza i W. Król. Mości domaga się tego, abyś nas nie opuszczał, abyś powrócił. Wystawiasz nas na niebezpieczeństwo, na pośmiewisko. Pomnij na złożoną nam przysięgę, która cię wiąże. Jeżeli nas opuścisz, a i tego za czem gonisz nie osiągniesz... królu... będziesz od ludzi wzgardzonym, brzydzić się tobą będą... *jak psem*.

Tęczyński mówił z namiętnością, i sam może nie wiedział jak mu z ust wyrwało się to pogardliwe słowo. Król zbladł straszliwie, ale milczał, tylko Bellièvre oburzony przerwał.

— Panie hrabio, król was zawsze miłował, a ty go za to psem zowiesz? (*te rex amavit plurimum, et tu illum canem vocas!*)

— Bóg mi świadek — krzyknął Tęczyński rozgorączkowany — nie do króla to stosowałem, ale do postępuku.

Łzy mu stanęły w oczach i łkanie przerwało mowę.

— Najjaśniejszy panie — wołał — ja jako podkomorzy, jako stróż osoby twojej, za ciebie odpowiadam. Ludzie mnie uczynią zdrajcą... a jam tem tylko zawinił, żem ci ufał i wierzył słowu twojemu.

Królu, zaklinam, błagam, wróć do nas, znajdziesz w tym kraju posłuszniejszych i wierniejszych ludzi, niż w tym, dla którego nas chcesz porzucić.

Henryk bez gniewu wysłuchał poplątanej i pełnej goryczy mowy Tęczyńskiego, który rzucał się, poruszał, krzyczał, prawie nieprzytomny.

On zachował teraz, pewnym będąc że go Tęczyński zatrzymać nie może, całą krew zimną człowieka, który nie dba o nic, oprócz by dokonał co zamierzył.

— Hrabio, przyjacielu mój — począł. — Jadę objąć to co na mnie dziedzictwem spada, ale się nie wyrzekam kraju, który mnie obrał. Bóg łaskaw dozwoli, że zachować potrafię korony obie; ale Francya pierwsza ma prawo do mnie, krew moja wiąże mnie z nią i zmusza ratować. Tam są pierwsze obowiązki.

Musiałem to uczynić com zrobił. Conde z ośmiu tysiącami rajtarów od Falcgrafa ciągnie do Francyi. Matka mi pisze, że dwanaście tysięcy Helwetów czeka w Metz.

Brat mój d'Alençon i król Nawarry spiskują.

Henryk mięszał się tłómacząc i śpiesząc zakończyć rozmowę, gdyż Bellièvre i Souvray dawali mu znaki, obawiając się zdrady. Sądziło, że Tęczyński umyślnie przedłuża rozmowę, aby dać innym nadciągnąć i króla wziąć w niewolę.

Tęczyńskiemu rozżalonemu, zbolełemu, trudno było poprzestać mówić.

Począł znowu króla zaklinać.

— Hrabio, przyjacielu — odparł Henryk — zaręczam i przyrzekam najuroczyściej, najdalej za trzy miesiące powrócę do was.

— Panowie senatorowie — przerwał podkomorzy — strwożeni są, abyś w Wiedniu nie był wystawionym na pokuszenia cesarza, który starał się o tę koronę i nie omieszcza frymarczyć aby ją dostać.

Z dobrze odegranem oburzeniem król dalej mówić mu nie dał.

— Korona ta jest mi równie droga jak dziedziczna — zawołał — nie myślę się jej pozbywać, a czuję siłę, abym obie dźwignął.

Tęczyński raz jeszcze, składając ręce, nalegać począł.

— Najjaśniejszy panie! Zlituj się, wróć! wróć! senatorowie zgodzą się na wyjazd ciebie godny, będziemy ci towarzyszyli.

Wtem Henryk przerwał zniecierpliwiony nareszcie, głos podnosząc.

— Panie hrabio, nadto już jestem daleko, abym się wracał. Gdyby całe wasze siły polskie stanęły tu, nie cofnę się, a pierwszemu, coby mnie śmiało do tego nakłaniać, mieczbym w piersi utopił!

Proszę was o jedno, zabierzcie ludzi waszych i jedźcie nazad, a miejcie staranie o tych sługach moich, którzy w Krakowie pozostali.

Rozpoczęła się tedy scena pożegnania, ze strony podkomorzego szczerza i łzawa, którą król conajprędzej chciał skończyć. Zbliżył się Tęczyński do Henryka płacząc i dobywszy tulicha z za pasa, uderzył się nim w rękę aż krew wytrysła, którą wyssał, przysięgając na nią, że królowi wiernym pozostanie.

Król też, który do zakłucia ręki był nawykłym, bo krwią listy do kochanek pisywał, odpłacił Tęczyńskiemu wzajemnością.

Hrabia na pamiątkę ofiarował mu bransoletę z kamieni rzeźbionych, prosząc o jakiś mały upominek.

Souvray coprędzej chcąc to skończyć, zawołał, iż nie ladajaka ale jak najdroższa pamiątka należy podkomorzemu.

Henryk zdjął z palca pierścień z dyamentem kosztowny (1200 talarów) i podał go Tęczyńskiemu, który ciągle łkając i płacząc, rękę całując jego rozstał się nareszcie.

— Odemnie, panie hrabio — dodał Souvray — przyjmijcie zbroję, którą zostawiłem w mojem mieszkaniu na zamku w Krakowie.

Henryk skinął na swoich i natychmiast ruszył dalej ku granicy morawskiej, gdzie postawione przez Bellievrea konie i kolebka czekały.

Nie potrzebował śpieszyć z powrotem Tęczyński, wioząc smutną tylko odprawę, jaką mu dano.

Wszyscy ci co po Tęczyńskim wyjechali także chcąc napędzić króla: dwaj marszałkowie koronny i litewski, starosta krakowski, kasztelanowie czerski i gdański, wielu szlachty ochotników, razem kilka tysięcy koni, przekonawszy się, iż Henryka nie potrafią doścignąć, od Zatora i Oświęcimia popowracali.

Podkomorzy ciągnął nazad, wiedząc co go w Krakowie czeka. On, biskup kujawski, Zborowsy mieli wiele do zniesienia, im przypisywano wszystko złe.

Zaledwie powróciwszy do Krakowa, podkomorzy musiał się udać na zamek, aby zdać sprawę królowi z rozmowy swej z królem, z jego uroczystych przyrzeczeń, którym teraz nikt wierzyć nie chciał. Sam Tęczyński, chociaż starał się Henryka bronić i uniewinniać, w duszy swej mało miał nadziei, aby na niego rachować można.

Gdy króla nie stało teraz, a sprawy jego, tryb życia i postępowanie w Krakowie zaczęły na jaw wychodzić, charakter też Henryka odsłaniał się z całą swą przewrotnością, lekkomyślnością i zepsuciem.

Tęczyński jednak milczeć musiał i choć dla własnej godności stawać w jego obronie.

Anna z ciekawością, której nie ukrywała oczekiwała na podkomorzego. Nazajutrz po powrocie stawił się u niej.

Anna, pani krajczyna, kilka starszych pań wyszły naprzeciw niemu. Liczny fraucymer, nie mogąc do sali się wcisnąć, pozostał pode drzwiami.

Gorączka i rozdrażnienie jeszcze nie opuściły biednego Tęczyńskiego, łączył się z niemi tylko teraz wielki żal do króla. Na twarzy zwykle spokojnej i wesołej podkomorzego widać było znużenie podróżą i doznany zawodem.

— Napróżno puściłem się za królem — rzekł smutnie — tyle tylko że go widziałem raz jeszcze, alem ani zakłęciami, ani prośbami, ani groźbą wymódz na nim nie potrafił, aby powrócił. Obiecał wprawdzie, że za trzy miesiące najdalej przyjedzie do Polski, ale...

Tęczyński spuścił głowę i nie dokończył; nie chciał przyznać, że już ani przyrzeczeniom, ni przysięgom nie wierzył.

Zaczął potem opisywać szczegółowie pogoń swą, w której z kilkudziesięciu towarzyszy ledwie czterech mu pozostało gdy Henryka dognał.

Powtórzył potem rozmowę swą, słowa króla i wspomniął o tem, że w końcu napomknął mu o listach, które zostawił do panów senatorów.

Zarumienił się mówiąc to Tęczyński, bo nie śmiał powiedzieć prawdy, że listów tych napróżno szukano we wszystkich pokojach, i że je przypadkiem odkryto w małym wychodku, w czeluści pieca ukryte.

Królowna sądząc, że i do niej pismo powinien był zostawić, zarumieniła się mocno. Nie śmiała sama zapytać o to. Podkomorzy się domyślił pytania tego i zřęcznie odpowiedział na nie.

— Sądziłem — rzekł — że między listami, które nie bez trudności dobrze ukryte znaleźliśmy nareszcie, będzie i pisanie jakie do W. Kr. Mości, ale żadnego nie było.

Królowna przerwała głosem drżącym.

— Jam się żadnego nie spodziewała, a Henryk teraz nadto jest swoją francuzką koroną zajęty, aby o polskiej mógł pamiętać. Bóg jeden wie przyszłość, mnie się zdaje, iż wmość na niego niewiele rachować możecie i że wprędce za nowym królem obejrzyć się będziecie musieli.

— Juści my go prawie jednozgodnie obrali — odezwał się podkomorzy — nauczeni popełnionym błędem, powinniśmy byli W. Kr. Mość wybrać sobie, zaczemby wszystko, przy błogosławieństwie Bożem, lepiej poszło.

Rumieniec znowu wypłynął na lice zbladłe Anny.

— O mnie nie myślcie — rzekła z godnością — ale o tej osieroconej Rzeczypospolitej, która dziś tak jak wdową jest, bo ma króla a pozostała bez niego.

Ja wam z sobą nic przynieść nie mogę, a rychlejby oczy wasze zwrócić się powinny na tego, którego ja jak własne uważam dziecię, na małego Zygmunta, synaczka siostry mojej. Toć także Jagiellońskiej, choć po kądzieli, krwi potomek, a z nim takby wam Szwecya przyszła, jak z nami niegdyś Litwa.

— Mały jest jeszcze i nieletni — odparł Tęczyński — nam pilno, choćby dla wojny z Moskwą, dzielnego rycerza i wodza potrzeba, inaczej, to co nam już zabrano przepadnie, a i dalszych zaborów nie unikniemy.

Mówili znowu o Henryku, a królowa z dobrego serca wspomniała o Francuzach, którzy w wielkim strachu napaściom rozżalonego ludu zaledwie się oprzeć mogli, prosząc, aby ich oszczędzano.

— Król mi ich także polecił — rzekł Tęczyński — mieć będę o nich staranie, choć pospółstwu się dziwować nie mogę, bo i w naszych piersiach żal i ból zmysły nam mięsza.

Odszedł opowiedziawszy wszystko podkomorzy, a gdy się za nim drzwi zamknęły, królowa długo siedziała sparta o stół, zadumana, nie mówiąc ani słowa.

Zegnała się z marzeniami swemi, dziwiąc teraz, że je kiedykolwiek powzięć i tak długo trwać w nich mogła. Z tą samą siłą, z jaką w początku przywiązała się do Henryka, oddała całe serce swe siostrzeńcowi.

Chciała mu być przybraną matką, opiekunką i wszystko poświęcić, aby jego a nie kogo innego na tron wprowadzić.

Z posłuchalnej sali udała się powolnym krokiem do sypialni, padła przy klęczniku, złożyła ręce i rozplakawszy się, w duszy powtarzać zaczęła — Zygmunt! Zygmunt!

Ofiara dokonana została.

Codzień teraz jakby na pokuszenie królowej odzywały się głośniejsze żądania wszystkich, aby nie kogo innego obrano tylko Annę królową, a przysłemu panu zaślubienie jej położono za warunek.

Pochlebiali to spóźnione praw jej uznanie Annie, ale po ciężkiej próbie, jaką przebyła, prawie obojętnie przyjmowała te dowody przywiązania do dynastji.

Na myśli miała teraz Zygmunta.

Mało kto się ludził powrotem Henryka, a stronnictwo rakuzkie nowe powziąwszy nadzieje, krzątało się już czynnie, prawie pewne tego, iż większość mieć będzie za sobą.

Cesarz nawet tak dalece był spokojny o to, tak się ubezpieczył, że zbytnich nie myślał czynić zabiegów. Obawiano się, aby Henryk wprost nie sprzedał praw swoich do korony księciu Ferrary, o czem wkrótce potem poszły pogłoski, lub ich nie ustąpił bratu d'Alençonowi, którego rad się był pozbyć. Lecz w Polsce o takim frymarku słyszeć nie chciano.

Stronnictwo królowej potężniało i rosło, chociaż ona sama bynajmniej się o to nie starała.

W kilka miesięcy po ucieczce Henryka dwór i Anna wybierała się do Warszawy. Czyniono przygotowania do podróży.

Talwosz jednego dnia stanął, jak dawnych czasów, w progu królowej.

Spojrzała na niego ze współczuciem. Przyniósł jej z sobą wspomnienia smutnych i ciężkich chwil, przeszłych bezpowrotnie.

— Cóż ty mi powiesz? — odezwała się przystępując do niego. — Mówiono mi, że miałeś ochotę powrócić na Litwę?

— Sam nie wiem — cichym głosem rzekł Talwosz i westchnął. — Mam prośbę do W. Kr. Mości.

— Radabym ci ją nie słuchając nawet uskuteczniła — odezwała się Anna.

Chwilkę namyślał się Litwin, jakby mu ciężko było się tłumaczyć.

— Wiadomo W. Kr. Mości — rzekł po namyśle — jak dawno i wiernie miłowałem Zagłobiankę. Nie poszczęściło mi się z nią, niestety! Taka była wola Boża!

Dzięki opiece W. Kr. Mości panna Dorota przychodzi do zdrowia. Choć ja jej nie widuję, bo wiem, że widok mój przyjemności jej nie uczynił, wiem od innych, że się ma lepiej.

Anna poruszyła rękami.

— A, mój Talwoszu — rzekła — życie wprawdzie uchowało się, ale co się z nią stało biedną! Jak zmieniona na ciele i na duszy, jak upokorzona i znękana, tego ludzki język nie wypowie.

— Bądź co bądź — począł Litwin — ja trwam w mojem dla niej przywiązaniu i własnie łaski i pośrednictwa W. Kr. Mości przychodzę prosić, bo pragnę ją poślubić.

Pojedziemy na Litwę, tam jej nikt nie zna, nikt nie wie co się stało, a ja tej przeszłości pamiętać nie będę.

Pokłonił się Talwosz.

— Przemówcie za mną — rzekł do królowej, która stała zamyślona.

— Uczynię to chętnie — odezwała się Anna — chociaż z góry przewidyuję, że się to na nic nie przyda.

— Niech mi pozwoli chwilę rozmowy z sobą — dodał.

— Przyjdź jutro po odpowiedź.

Nazajutrz krajczyna przychodzącemu Litwinowi dała znać, że z Dorotą się widzieć może.

W ciągu tych kilku miesięcy Talwosz dowiadywał się tylko o nią, ale jej nie widział wcale. Wszedł do komnaty przyciemnionej z bijącym sercem.

Przed nim stała w ciemnej sukni, jakby zakonnego kroju, blada i zmieniona do niepoznania, jakby jej nagle lat dziesięć przybyło, Zagłobianka.

Twarz miała przerażającą wyrazem jakiejś rezygnacyi trupiej, ostyglej, obumarłej.

— Chcieliście widzieć się ze mną — zaczęła pierwsza — a ja też wam za ocalenie życia pragnęłam podziękować. Jesteście dobroczyńcą moim, boście mi dali czas do pokuty.

— Panno Doroto — głosem przejętym uczuciem odezwał się Talwosz — nie mówmy o przeszłości. Ja przychodzę was prosić, abyście mi podali rękę do ołtarza.

Spojrzała na niego wejrzeniem długim Dosia i poczęła głową poruszać.

— Sądzisz, że przeszłość można zmasać i zapomnieć? Myślisz, że dosyć jest powiedzieć jej: precz! aby odeszła na zawsze? A! nie... nie... przyjacielu! Wsiąka ona w całą istotę naszą i przejmuje do kości. Ja szczęśliwą nigdy być nie mogę, a tobiebym szczęścia nie przyniosła. Nie, nie...

— Panno Doroto, jeśli uznajecie, żem wam wiernie i poczciwie służył — dodał Talwosz — należy mi się zapłata, bądźcie moja! Proszę was, błagam! Pojedziemy na Litwę, do matki mojej. Siądziemy w cichym zakątku; wiercie mi, nigdy słowem, niczem te nieszczęśliwe przebyte czasy się nie przypomną.

Przykląkł przed nią. Dosia obie ręce wyciągnąwszy zmusiła aby się podniósł.

— Nie mogę — rzekła — nie mogę. Serce mi wyszło! Nie wierzę w nic, nikomu, nie chcę się nic spodziewać.

Łzy się jej z oczów puściły.

— Dlaczego wam o tem nie powiedziano — odezwała się ocierając je — ja oddawna postanowiłam do klasztoru wstąpić, i gdy królowa do Warszawy, ja do Nowego Sącza pojedę. Dałam w duszy słowo Bogu i nie złamię go.

Wierz mi, Talwosz, tak lepiej, to był jeden koniec, który serce uspokoić może... grób!

Napróżno Litwin wszelkimi sposobami starał się ją sam i przez królową nakłonić, aby postanowienie zmienić. Dorota pozostała przy swym ślubie niewzruszoną.

W kilka dni potem krajczyna i Żalińska towarzyszyły jej do Nowego Sącza, gdzie królowa wychowawicy swej przyjęcie zapewniła.

Talwosz natychmiast potem ruszył na Litwę i tam się na wsi zagrzebał.

Annę Jagiellonkę czekały jeszcze w dziwnie wiążącym się życiu nowe nadzieje i zawody. Wybrana królową, zostawszy żoną Stefana Batorego, w czasie panowania jego żyła w ciszy, na ustroni, wśród małego kółka, jakie sobie stworzyła.

Śmierć męża, nagła, przedwczesna, rozbudziła, odżywiła nadzieje wprowadzenia na tron siostrzeńca, do którego, nie znając go, coraz się mocniej przywiązywała.

Niema wątpliwości, że jej staraniom i zabiegom Zygmunt III. wybór swój był winien. Przyjęła go przybywającego jak dziecię własne, on kochał ją i szanował jak matkę.

W tem złudzeniu macierzyństwa dożyła do końca, i serce jej nareście znalazło kogoś, komu całe oddać się mogło.

Drezno, 1884.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/infantka-tom-trzeci/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Infantka*: powieść historyczna (Anna Jagiellonka), tom III, Kraków: Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff: M. Glücksberg [etc.], 1884 (Kraków: W. L. Anczyc).

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródeł wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okladka na podstawie: Ricardo Camacho, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0439-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.